INDEKS

PISMO UNIWERSYTETU OPOLSKIEGO
 # 5–6 (245–246) czerwiec 2024

ISSN 1427–7506

24 **Adam Dybek**
Głosy oddane w ryzykowny depozyt

30 **Sławomir Czapnik**
Potęga kłamstwa

33 **Barbara Stankiewicz**
Człowiek, któremu nie należy śpiewać „Sto lat”

78 **Jan Miodek**
Kontent z powieści – kontent powieści

97 **Elżbieta Trela-Mazur**
Wyblakłe zdjęcia, żywe wspomnienia

>>> SPIS TREŚCI

1
Kilka pożegnalnych zdań / ***Barbara Stankiewicz*** 4
KRONIKA UNIWERSYTECKA 5
Przystań przeszłości. Jubileusz dziesięciolecia Muzeum UO / ***Tomasz Chabior*** 20

2
PUBLICYSTYKA, SZTUKA 23
Głosy oddane w ryzykowny depozyt / ***Adam Dybek*** 24
Potęga kłamstwa / ***Sławomir Czapnik*** 30
Człowiek, któremu nie należy śpiewać „Sto lat" / ***Barbara Stankiewicz*** 33
Pośmiertne życie przesiedlonych miejscowości / ***Stanisław S. Nicieja*** 43
Wagonem do lodowatego piekła / ***Ludwik Kozołub*** 57
Wiersze / ***Joanna Matlachowska-Pala*** 61
Obrzeża / ***Agnieszka Kania*** 62
NOTATKI PASIECZNE: Most / ***Elżbieta Olak*** 65
Alexander von Humboldt w Ozimku / ***Józef Tomasz Juros*** 67
Za szybkie pisanie (80) / ***Adam Wierciński*** 73
Kontent z powieści – kontent powieści / ***Jan Miodek*** 78
INDEKSOWA GALERIA SZTUKI: ***Ilustragan 8 –„Botanika"*** 82
Jacy jesteśmy? / ***Bartłomiej Kozera*** 84
SKRYPTY (12): „Epitafia" Kamińskiego / ***Bartosz Suwiński*** 85
Mazurowie i Kozołubowie / ***Stanisław S. Nicieja*** 87
NASI ABSOLWENCI: 895 kilometrów do życia / ***Alfred Michler*** 92
NASI ABSOLWENCI: O prof. Władysławie Studenckim prywatnie / ***Piotr Obrączka*** 95
NASI ABSOLWENCI: Wyblakłe zdjęcia, żywe wspomnienia / ***Elżbieta Trela-Mazur*** 97
Studenckie wojsko / zdjęcia z zajęć Studium Wojskowego WSP w Opolu z lat 1967–1969 102
LISTY, POLEMIKI 105

3
RELACJE, RECENZJE, NOTY 107
ODESZLI: Prof. Edward Boroński 108
ODESZLI: Mgr inż. Andrzej Lamenc 110
Ciepło, cieplej, gorąco! / ***Grzegorz Hebda*** 111
Imponująca rocznica partnerskiej uczelni. 525-lecie Uniwersytetu w Walencji / ***Stankomir Nicieja*** 114
Prezydencja FORTHEM na spotkaniu w Walencji 117
Opole w Sewilli, czyli studia w rytmie Andaluzji / ***Wiktoria Podboraczyńska*** 119
Międzynarodowy tydzień na Uniwersytecie Opolskim / ***Karolina Młotek, Paulina Panic*** 121
CAMINO. Dwie dekady kulturowej różnorodności w zjednoczonej Europie / ***Łukasz Łukasik, Stankomir Nicieja*** 124
Studenckie Koło Naukowe Onoma. O tym, jak działa jedno z najstarszych kół na Uniwersytecie Opolskim / ***Lilianna Chomicz*** 127
Pomaganie ma moc / ***Maria Pacławska, Angelika Kulak*** 130
Co zobaczyły oczy Mony? Książka dla wszystkich wnuków / ***Jerzy Duda*** 131
NOWOŚCI WYDAWNICZE 133
NOTY O AUTORACH 135

Ilustracja na okładce: Weronika Kuliberda, *Drzewostan*, 2024. Ilustracja z projektu *Ilustragan 8*, wspólnego przedsięwzięcia Wydziału Sztuki UO i Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu.

1

INDEKS

KRONIKA UNIWERSYTECKA

Wydarzenia
Wiadomości
Sylwetki

Kilka pożegnalnych zdań

To mój ostatni „Indeks". Mój w tym znaczeniu, że przeze mnie redagowany. Robiłam to przez niemal ćwierć wieku. Już choćby tylko z tego powodu rozstawać się nie jest łatwo.

Przyszłam do „Indeksu" za pierwszej rektorskiej kadencji prof. Stanisława S. Niciei, z którego inicjatywy czasopismo powstało i niezmiennie doświadczało wsparcia.

Redagując „Indeks", starałam się dbać o zachowanie równowagi między powinnością kronikarsko-dokumentacyjną wobec uczelnianej codzienności a wspieraniem roli uniwersytetu jako placówki o ambicjach kulturotwórczych, uzasadnionych nie tylko potencjałem, ale zwłaszcza dokonaniami naukowymi i dydaktycznymi.

Z biegiem lat przybywało autorów i czytelników, szczególnie od kiedy każdy papierowy numer miał w internecie wersję elektroniczną, odnotowując po kilka tysięcy pobrań.

Przyjaciołom wspierającym jednoosobową załogę „Indeksu", jego Autorom i Czytelnikom (a i kolejnym władzom uczelni też) za te wszystkie lata i numery – serdecznie dziękuję.

Barbara Stankiewicz

10–12.04 Dr Barbara Curyło (koordynatorka Forthem i szefowa Forthem Coordination Commision na poziomie międzynarodowym) oraz dr Sylwia Frach (menedżerka misji Forthem Research, Innovation and Transfer, która koordynowała proces aplikacyjny UO do EUA) reprezentowały Uniwersytet Opolski podczas prestiżowej konferencji European University Association w Uniwersytecie w Swansea, podczas której omawiano tematy strategiczne dla przyszłości europejskich uniwersytetów i ich sojuszy: integralności badań naukowych z procesami dydaktycznymi, budowie agendy rozwoju badań i innowacji w kontekście inicjatyw Unii Europejskiej oraz systematycznym wdrażaniu sztucznej inteligencji do świata nauki. Była to pierwsza konferencja EUA, podczas której Uniwersytet Opolski był reprezentowany jako pełnoprawny członek sojuszu. Organizacja European University zrzesza ponad 800 europejskich uniwersytetów, jest forum debaty nad obszarem nauki i szkolnictwa wyższego w Europie. Pełni też rolę jednego z kluczowych partnerów Komisji Europejskiej w procesach budowy inicjatyw edukacyjnych i badawczych, które promuje Unia Europejska.

11–12.04 Ponad 60 prelegentów z całej Europy przyjechało na konferencję *Perspektywy językowe, literackie i międzykulturowe. Język niemiecki w kontekstach międzykulturowych i wielojęzycznych regionach Europy Środkowej*. Towarzyszyła jej debata *Okrągły stół. Język niemiecki a rozwój gospodarczy województwa opolskiego*. Niemcy, Czechy, Słowacja, Węgry, Chorwacja, Włochy, Szwecja i Polska – te państwa reprezentowali prelegenci dwudniowej konferencji w Katedrze Języka Niemieckiego i Katedrze Literatury Niemieckojęzycznej UO. Jej tematami były: kryzysy międzynarodowe, polityka państwowa i przeobrażenia kulturowe i związane z tym zmiany ról i funkcji języka niemieckiego widziane przez pryzmat lingwistyki, literaturoznawstwa i kulturoznawstwa. Szczególny nacisk położono na język niemiecki w kontekstach międzykulturowych i wielojęzycznych regionów Europy Środkowej. Drugiego dnia odbyła się debata z udziałem przedstawicieli biznesu, instytucji wspierających biznes, samorządu, oświaty i środowiska naukowego, której moderatorem był dr Jarosław Bogacki. Konferencja odbyła się w ramach XI Międzynarodowych Warsztatów Germanistycznych. Współorganizowały ją: Katedra Języka Niemieckiego UO, Katedra Literatury Niemieckojęzycznej UO, Uniwersytet w Erfurcie (Niemcy) i Uniwersytet Śląski w Opawie (Czechy), a wsparła Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej. Debatę przy okrągłym stole przygotowały Katedra Języka Niemieckiego UO i Katedra Literatury Niemieckojęzycznej UO. Partnerem wydarzenia była Fundacja Uniwersytetu Opolskiego, finansowo zasiliły je też Fundacja Rozwoju Śląska oraz Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej.

11 IV 2024. W trakcie konferencji *Perspektywy językowe, literackie i międzykulturowe*. Na zdjęciu, od lewej: dr Mariola Majnusz-Stadnik, prof. Jolanta Nocoń, prof. Daniel Pietrek, prof. Gabriela Rykalová, prof. Csaba Földes, dr Małgorzata Jokiel

12.04

Fizjoterapeuci, logopedzi i ortodonci spotkali się na konferencji *Język w 3D* w Auli Błękitnej Collegium Maius. Prelegentkami były: lek. dent. Jolanta Jarka, dr Magdalena Czajkowska i dr Barbara Sambor. Lek. dent. Jolanta Jarka jest od 36 lat lekarką dentystką, a od 30 – specjalistką ortodontką, kieruje Opolskim Regionalnym Kołem Polskiego Towarzystwa Ortodontycznego i wykłada podstawy ortodoncji na Wydziale Filologicznym UO. Dr Magdalena Czajkowska to fizjoterapeutka kliniczna, neurologopedka i osteopatka, a dr Barbara Sambor jest logopedką medialną, neurologopedką, nauczycielką akademicką i aktorką. W konferencji uczestniczyło ok. 140 osób, w tym studenci i pracownicy Uniwersytetu Opolskiego. Wydarzenie zorganizował Wydział Filologiczny UO wraz z Polskim Towarzystwem Ortodontycznym.

12 IV 2024. Rozpoczęcie konferencji *Język w 3D*. Na zdjęciu, od lewej: lek. dent. Jolanta Jarka, prof. Jolanta Nocoń i dr Magdalena Czajkowska

16.04

Prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO, uczestniczyła w posiedzeniu Kolegium Prorektorów Uczelni Wrocławia i Opola – obradowano w Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu.

● Prorektor ds. rozwoju i finansów dr hab. inż. Rafał Matwiejczuk, prof. UO, wziął udział, na zaproszenie Studenckiego Koła Naukowego LogPoint, w trzecim etapie ogólnopolskiego konkursu *Od technika do logistyka 5.0*, który odbył się w DS Łącznik Politechniki Opolskiej.

● Rektor prof. dr hab. Marek Masnyk był gościem Radia Opole – tematem rozmowy były plany rozwoju Uniwersytetu Opolskiego.

16–17.04

Polska teologia: z nadzieją ku przyszłości – pod tym hasłem w Centrum Kultury i Nauki Wydziału Teologicznego UO w Kamieniu Śląskim obradowali uczestnicy Kolegium Dziekanów Wydziałów Teologicznych polskich uczelni. Gościem spotkania był rektor prof. dr hab. Marek Masnyk.

17–19.04

W Instytucie Nauk o Zdrowiu UO trwała konferencja pt. *Nowoczesne trendy badawcze w naukach biomedycznych: holistyczne ujęcie opieki zdrowotnej*. Dyskutowano m.in. nad psychologicznym i socjologicznym podejściem do zdrowia, w programie były też panele na temat nauk biomedycznych, w tym nauk o zdrowiu oraz chemii i fizyki. W konferencji uczestniczyli pracownicy akademiccy, studenci i przedstawiciele służby zdrowia z 11 państw: Polski, Francji, Włoch, Armenii, Hiszpanii, Bułgarii, Litwy, Stanów Zjednoczonych, Australii, Japonii i Tajwanu. Wśród nich znaleźli się reprezentanci Instytutu Nauk Medycznych, Instytutu Nauk o Zdrowiu, Wydziału Chemii i Farmacji oraz Instytutu Psychologii. Konferencję swoim patronatem objęli: rektor UO prof. dr hab. Marek Masnyk i prezydent Uniwersytetu Naukowo-Technologicznego Tzu Chi w Tajwanie – prof. Wen-Jui Lo.

17 IV 2024. Uczestnicy konferencji pt. *Nowoczesne trendy badawcze w naukach biomedycznych: holistyczne ujęcie opieki zdrowotnej*

17–24.04

Arty na stół – jak się sprzedać? – to wydarzenie, na które złożyły się wystawa, spotkania i panele dyskusyjne. Ich tematem było życie zawodowe artystów, a odbywało się w Galerii M oraz na Wydziale Sztuki UO. Uczestnicy rozmawiali o prawach autorskich, pozyskiwaniu środków na swoją działalność, umowach, komunikacji z klientem i instytucjami kultury oraz realiach pracy w branży komercyjnej i kulturalnej. Podczas wystawy *Kup se* można było obejrzeć i wylicytować prace artystów i artystek związanych z Wydziałem Sztuki UO. Odbyły się też spotkania z Martą Miś i dr. Andrzejem Drzewieckim oraz dwa panele dyskusyjne – z udziałem Patrycji Kostyry, Katarzyny Mular, Marka Szymczaka, Łukasza Różańskiego, Marii Bitki, Natalii Krawczyk i Ignacego Nowodworskiego. *Arty na stół* to inicjatywa wykładowczyni Patrycji Kostyry oraz studentek Wydziału Sztuki UO: Emilii Piątek, Kamili Kostruch, Małgorzaty Miś i Marii Kołodziej.

18.04

Konferencja *Rodzicielstwo zastępcze – teoria i praktyka* obradowała w Studenckim Centrum Kultury. Było to spotkanie teoretyków i praktyków (ponad 220 osób), zajmujących się rodzinną pieczą zastępczą, mające na celu integrację, wymianę poglądów i propagowanie idei rodzicielstwa zastępczego na Opolszczyźnie. Wzięli w nim udział studenci, opolscy samorządowcy, a także rządowe, samorządowe i pozarządowe organizacje zajmujące się rodzicielstwem zastępczym. Konferencję, której gościem był także rektor prof. dr hab. Marek Masnyk, otworzyli: Gerard Wilczek, prezes Stowarzyszenia Rodzin Zastępczych Dobra Rodzina w Kędzierzynie-Koźlu oraz dr hab. Edward Nycz, prof. UO, dyrektor Instytutu Nauk Pedagogicznych UO. Wykład wprowadzający pt. *(Nie)łatwe rodzicielstwo zastępcze w dobie przemian* wygłosiła dr Patrycja Kaszubska-Dziergas. Jako pierwsze prelekcje wygłosiły: dr hab. Anna Weissbrot-Koziarska, prof. UO (*Problemy rodzin zastępczych wyzwaniem dla lokalnej polityki społecznej*), dr Agata Skalec-Ruczyńska (*Profesjonalizacja rodzicielstwa zastępczego jako kierunek zmian systemu pieczy zastępczej*), dr Marta Gawlik (*Diagnoza i terapia zaburzeń zdrowotnych dzieci w rodzinie zastępczej*) oraz dr Katarzyna Jarosz (*Logoprofilaktyka jako przykład koncepcji projektowania wsparcia odporności psychicznej dzieci i młodzieży*).

W drugim bloku wykłady wygłosili: dr Aleksandra Wilk (*Prawna perspektywa relacji między rodzicem zastępczym a rodzicem biologicznym*), Danuta Hryniewicz (*Rodzic zastępczy – zawód czy hybryda?*), Aleksandra Nawrocka (*Mam umowę na zastępstwo – między rodzicem a urzędnikiem*) oraz Gerard Wilczek (*Dzieci wychowują się w rodzinie*). Głos w dyskusji zabrali m.in. dr Dorota Piechowicz-Witoń z Centrum Dialogu Obywatelskiego, mgr Aleksandra Nawrocka z Fundacji Przystanek Rodzina, dr Zdzisław Markiewicz – dyrektor Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie w Opolu oraz mgr Gerard Wilczek – prezes Stowarzyszenia Rodzin Zastępczych Dobra Rodzina w Kędzierzynie-Koźlu. Konferencji towarzyszyło przedstawienie *Historia pewnego jajka* przygotowane przez podopiecznych Stowarzyszenia Rodzin Zastępczych Dobra Rodzina w Kędzierzynie-Koźlu.

18 IV 2024. W Studenckim Centrum Kultury obradowała konferencja pt. *Rodzicielstwo zastępcze – teoria i praktyka* (fot. Tomasz Chojnowski)

● Jak zbudować pewność siebie, poradzić sobie ze stresem i przekuć go w sukces?– to temat bezpłatnych warsztatów dla maturzystów, które zorganizowano na Wydziale Nauk o Polityce i Komunikacji Społecznej UO; prowadziły je Anna Bereźnicka i Maria Serotiuk.

● Dr Sylwia Kruk i dr Artur Bartosiewicz byli prelegentami piątej debaty (*online*) z cyklu *Porozmawiajmy o ekonomii*, zorganizowanej przez opolski oddział Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. Jej tematem były współczesne zagadnienia dotyczące źródeł finansowania działalności gospodarczej; moderatorką debaty była Małgorzata Romanowska – dyrektorka Biura Zarządu Oddziału PTE w Częstochowie i członkini PTE.

● Uniwersytet Opolski i Publiczne Liceum Ogólnokształcące nr 1 im. M. Kopernika w Opolu zawarły porozumienie o współpracy. Podpisały je dyrektorka szkoły Bernarda Zarzycka i prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO. Celem porozumienia jest *integrowanie szkolnych i pozaszkolnych działań dydaktycznych wychodzących naprzeciw pasjom i zainteresowaniom uczniów, co przyczyni się do ich rozbudzania, ukierunkowywania i poszerzania, ma też umożliwić podjęcie świadomej decyzji dotyczącej kierunku dalszej edukacji oraz ułatwić osiąganie sukcesów w konkursach i na olimpiadach*. Koordynatorkami współpracy zostały Krystyna Waindzoch z Instytutu Biologii i wicedyrektorka LO nr 1 Agnieszka Pawelec. Umowa przewiduje m.in. organizację staży i praktyk studenckich w szkole oraz warsztaty dla młodzieży szkolnej (głównie w zakresie chemii, biologii, fizjoterapii, dietetyki, matematyki, fizyki oraz przedmiotów humanistycznych i społecznych).

● Gościem rektora prof. dr. hab. Marka Masnyka był konsul honorowy Republiki Czeskiej w Opolu dr Artur Żurakowski – w rozmowie, która dotyczyła współpracy z naszą uczelnią uczestniczyły także dr hab. Grażyna Balowska, prof. UO, dr hab. Aleksandra Pająk-Głogiewicz, prof. UO, i prof. dr hab. Joanna Czaplińska.

● Uczniowie z Opolszczyzny (251 osób z 16 szkół) rywalizowali w LVII Międzyszkolnym Turnieju Fizycznym. Półfinał i finał, do którego przystąpiło sześciu uczniów, odbyły się w Instytucie Fizyki UO. Pytania ułożyli jurorzy: dr hab. Ewa Pawelec, prof. UO, dr hab. Adam Bacławski, prof. UO, dr hab. Wiesław Olchawa, prof. UO, oraz dr Ireneusz Książek, do jury dołączył także dr Grzegorz Engel. Turniejowi towarzyszyły wykłady, m.in. o sztucznej inteligencji, cyberbezpieczeństwie, optyce, efekcie motyla i teorii chaosu. Międzyszkolny Turniej Fizyczny jest organizowany na naszej uczelni nieprzerwanie od 56 lat przez pracowników Instytutu Fizyki i członków Oddziału Opolskiego Polskiego Towarzystwa Fizycznego. Tegoroczny odbył się w ramach XXI Opolskiego Festiwalu Nauki, którego partnerem jest PGE Górnictwo i Energetyka Konwencjonalna SA. Laureaci: Maciej Łachut z I Liceum Ogólnokształcące im. Jana III Sobieskiego Carolinum w Nysie (I miejsce), Kamil Połacik z Zespołu Szkół Elektrycznych im. T. Kościuszki w Opolu (II miejsce) i Kacper Brożek z Publicznego Liceum Ogólnokształcącego nr 1 im. M. Kopernika w Opolu (III miejsce). W rankingu zespołowym I miejsce zajęło Publiczne Liceum Ogólnokształcące nr 2 z Oddziałami Dwujęzycznymi im. M. Konopnickiej w Opolu, II – Zespół Szkół Elektrycznych im. T. Kościuszki w Opolu, III – Publiczne Liceum Ogólnokształcące nr 1 im. M. Kopernika w Opolu.

22.04

W Studenckim Centrum Kultury wystąpiło 30 wokalistek i wokalistów z Uniwersytetu Opolskiego i Opolskiego Studia Piosenki oraz zespół rockowy Dopamina. Podczas charytatywnego koncertu zbierano pieniądze na rehabilitację i leczenie podopiecznych Fundacji Iskierka. Na scenie pojawili się m.in. dr Marcin Deutschmann z Wydziału Nauk Społecznych i Anna Maczura ze Studium Języków Obcych. Organizatorzy koncertu: Opolskie Studio Piosenki, Koło Naukowe Kwadratura z Katedry Nauk Socjologicznych i Wydział Nauk Społecznych UO.

22 IV 2024. Charytatywny koncert dla podopiecznych Fundacji Iskierka (fot. Marta Gabriel)

24.04

Prof. Michał Podpora z Katedry Informatyki Politechniki Opolskiej wygłosił w Muzeum UO wykład pt. *Sztuczna inteligencja. Ewolucja czy rewolucja?* Było to kolejne spotkanie w ramach Opolskiego Festiwalu Nauki.

24–25.04 Perspektywy finansowe i cele strategiczne sojuszu FORTHEM po 2030 r., projekt European Degree i wspólne wzmacnianie doskonałości akademickiej na szczeblu międzynarodowym – to główne tematy spotkania na Uniwersytecie w Walencji, podczas którego podpisano też *Statut Sojuszu FORTHEM*. Uniwersytet Opolski reprezentowali: rektor elekt prof. dr hab. Jacek Lipok, dr Barbara Curyło, która w spotkaniach prezydencji FORTHEM uczestniczy jako przewodnicząca Komisji Koordynacyjnej, a także prorektor ds. rozwoju i finansów dr hab. inż. Rafał Matwiejczuk, prof. UO, oficer komunikacyjna FORTHEM Agnieszka Kalemba, menedżerka FORTHEM Patrycja Bochenek i Iryna Shvets z Biura Marketingu i PR UO. Więcej na str. 117.

25–26.04 Katedra Systemów Politycznych i Administracyjnych Instytutu Nauk o Polityce i Administracji była organizatorem XII Zjazdu Katedr i Zakładów Systemów Politycznych *Współczesne systemy polityczne: kryzys czy szansa na nowe rozwiązania?*, który odbył się w opolskim hotelu De Silva Premium. Debata przebiegała w trzech panelach: *Mechanizmy kontroli i równowagi; Wybory – procedury i aktorzy* oraz *Decentralizacja*.

● Ogólnopolski Zjazd Katedr i Zakładów Teorii Polityki obradował w Instytucie Nauk o Polityce i Administracji, a jego tematem przewodnim była *Teoria polityki wobec współczesnych zmian społeczno-politycznych*. Dyskusja toczyła się w czterech panelach dyskusyjnych: *Zmiana technologiczna a polityka*; *Zmiany klimatyczne jako zmiany polityczne*; *Demokracja wobec współczesnych zmian społeczno-politycznych*; *Dydaktyka wobec zmian i zmiany w dydaktyce w zakresie teorii polityki*.

25 IV 2024. Uczestnicy Ogólnopolskiego Zjazdu Katedr i Zakładów Teorii Polityki na spacerze w opolskim amfiteatrze (fot. Daniel Socha)

26.04 Nauczyciele języka angielskiego i studenci kierunków anglistycznych z modułem nauczycielskim spotkali się na V Konferencji Metodycznej Nauczycieli Języka Angielskiego w Collegium Maius UO. Na konferencję złożyły się trzy wykłady i osiem warsztatów praktycznych, które poprowadzili: Russel Stannard (*teacher trainer*), Patryk Mauer (PO), Alicja Wujec-Kaczmarek (UO), dr Aleksandra Szymańska (UO i Miejskie Centrum Wspomagania Edukacji w Opolu), dr Magdalena Szyszka (UO i LO nr 1 w Opolu), Magdalena Kaźmierkiewicz (Stowarzyszenie Nauczycieli Języka Angielskiego w Polsce), Dorota Kamińska (UO), dr Anna Kozioł, dr Małgorzata Adams-Tukiendorf (UO), Marta Nakonieczna (MCWE w Opolu) oraz Anna Mróz (UO). Prelekcje i warsztaty dotyczyły metod nauczania i uczenia się języka angielskiego z wykorzystaniem sztucznej inteligencji. Organizatorzy spotkania: Wydział Filologiczny UO i Miejskie Centrum Wspomagania Edukacji w Opolu we współpracy z Konsulatem Generalnym Stanów Zjednoczonych w Krakowie.

● W Auli Błękitnej Collegium Maius oraz *online* obradowała I Międzynarodowa Konferencja Naukowa *Finanse i nowe technologie – aspekty prawne i ekonomiczne*. W pięciu panelach dyskusyjnych uczestniczyli prelegenci m.in. z Kanady, Francji, Polski i Europejskiego Banku Centralnego. Pierwszy dotyczył cyfrowej waluty banku centralnego (CBDC), drugi –rozporządzenia o rynku kryptoaktywów (MiCA), trzeci – robodoradztwa inwestycyjnego, a czwarty oraz piąty – podatków i nowych technologii (moderatorami byli: dr Tomasz Tomczak, dr Andrzej Michór, dr Robert Poskart, dr Piotr Stanisławiszyn i dr Zbigniew Witczak). Michał Sas z Biura Rzecznika Finansowego wygłosił wykład pt. *Pozyskiwanie danych biometrycznych a ochrona prywatności klientów podmiotów rynku finansowego*, a reprezentantka Banku Gospodarstwa Krajowego Anna Grabowska – prelekcję o zielonej transformacji miast, w tym o programie krajowego planu odbudowy. Konferencję otworzyli: dr hab. Piotr Stec, prof. UO (dyrektor Instytutu Nauk Prawnych UO), dr Andrzej Michór (opiekun Koła Naukowego Rynków Finansowych UO) i Hanna Salera (przewodnicząca Koła Naukowego Rynków Finansowych). Organizatorami spotkania byli: Koło Naukowe Rynków Finansowych wraz z Katedrą Prawa Gospodarczego i Finansowego Wydziału Prawa i Administracji UO, Fundacją UO, Wydziałem Ekonomicznym UO oraz Kołem Naukowym SKN Aurum.

26 IV 2024. W Auli Błękitnej obradowała I Międzynarodowa Konferencja Naukowa *Finanse i nowe technologie – aspekty prawne i ekonomiczne*

8.05 Krótkowzroczność była tematem wykładu prof. Hansa-Jürgena Greina w sali widowiskowej Studenckiego Centrum Kultury. Ta przypadłość jest określana jako epidemia XXI wieku.

9.05 W auli im. prof. Andrzeja Steciwki Wydziału Nauk o Zdrowiu UO odbyło się symboliczne czepkowanie studentów I roku pielęgniarstwa (74 studentki i czterej studenci), połączone z obchodami Święta Symboliki Zawodu Pielęgniarki i Położnej. W trakcie uroczystości dr n. o zdr. Elżbieta Szlenk-Czyczerska wygłosiła wykład pt. *Współczesny wymiar pielęgniarstwa i jego rola w koordynowanej opiece zdrowotnej*. Oprócz studentów i ich rodzin, nauczycieli akademickich i władz wydziału w auli obecni byli przedstawiciele Urzędu Wojewódzkiego, Urzędu Marszałkowskiego i Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego.

● Osiem uniwersytetów z ośmiu państw uczestniczyło w projekcie Camino z okazji 20. rocznicy przystąpienia Polski i dziewięciu innych krajów do Unii Europejskiej. W tym dniu w krajach, które uczestniczą w projekcie, zorganizowano również spotkania taneczne – w Opolu, pod Studenckim Centrum Kultury i Collegium Maius, do melodii *Oda do radości*. W drugim z tych miejsc hymn Unii

Europejskiej został też odśpiewany, a zrobili to podopieczni Ludmiły Wocial z Państwowej Szkoły Muzycznej w Opolu. Wydarzenie wspólnie otworzyli rektor prof. dr hab. Marek Masnyk, prezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski oraz konsul Republiki Federalnej Niemiec w Opolu Peter Herr. Uniwersytet Opolski w projekcie Camino reprezentują: dr Elżbieta Szymańska-Czaplak, prof. UO (dziekan Wydziału Filologicznego), dr hab. Stankomir Nicieja, prof. UO (Wydział Filologiczny), Zuzanna Notka (studentka Wydziału Filologicznego), Emilia Gonsior (studentka Wydziału Filologicznego), Hubert Pieczyński (student Wydziału Filologicznego) oraz Łukasz Łukasik (student Wydziału Nauk o Polityce i Komunikacji Społecznej). Więcej o Camino na str. 124.

● W Muzeum Uniwersytetu Opolskiego świętowano jubileusz dziesięciolecia tej placówki. Była to okazja do wspomnień, które w filmie pt. *Obiektywem w historię. 10 lat Muzeum Uniwersytetu Opolskiego* zobrazował Filip Ożarowski z Biura Marketingu i PR. Pamiątkowe zdjęcia zaprezentowano także na okolicznościowej wystawie. Udział w spotkaniu wzięli m.in. rektor elekt prof. dr hab. Jacek Lipok, b. senator RP prof. dr hab. Dorota Simonides, prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja, dr Wanda Matwiejczuk oraz dyrektorka Biblioteki UO Danuta Szewczyk-Kłos. Więcej na str. 20.

10.05

Z okazji jubileuszu 67-lecia Radio-Sygnałów gościem tej jednej z najstarszych w Polsce rozgłośni studenckich był rektor prof. dr hab. Marek Masnyk.

13–14.05

Uniwersytet Opolski był współorganizatorem *Dni użytkowników Omegi-PSIR* (system do zarządzania bazami wiedzy, z którego korzysta 47 polskich uczelni), konferencji, która obradowała na Uniwersytecie Gdańskim. Podczas spotkania dyrektorka Biblioteki UO Danuta Szewczyk-Kłos omówiła rolę użytkowników systemu Omega-PSIR w jego funkcjonowaniu i rozwoju (prelekcja pt. *Makrokorzyści z mikrowspółpracy na rzecz użytkowników systemu)*. Podczas działań towarzyszących wydarzeniu Ewelina Pisarek, kierowniczka Działu Bazy Wiedzy i Analiz Bibliometrycznych, była konsultantką w obszarze sprawozdawczości dorobku publikacyjnego do bazy Polskiej Bibliografii Naukowej. Wydarzenie współorganizowali: Uniwersytet Opolski, Uniwersytet Gdański, Biblioteka Główna Politechniki Warszawskiej, Politechnika Warszawska oraz firma Sages.

14.05

Gościem spotkania w Centrum Aktywizacji Społecznej w Opolu była prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, która opowiadała o swojej książce pt. *Polski akcent w American Expeditionary Forces. Historie prawdziwe, fascynujące i prawie zapomniane.*

● *Poetyckie światy wojny* – to tytuł wykładu prof. dr. hab. Piotra Śliwińskiego wygłoszonego w cyklu *Spotkania z literaturą* (w ramach XXI Opolskiego Festiwalu Nauki) w Auli Błękitnej Collegium Maius. Prof. dr hab. Piotr Śliwiński jest pracownikiem naukowym Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, jednym z największych znawców literatury współczesnej w Polsce, członkiem Zespołu Nauk Humanistycznych w Radzie Doskonałości Naukowej, dyrektorem Szkoły Doktorskiej Nauk o Języku i Literaturze UAM oraz autorem licznych i prestiżowych publikacji o współczesnej literaturze polskiej.

● Współczesne zagadnienia dotyczące finansów osobistych były tematem szóstej debaty *(online)* z cyklu *Porozmawiajmy o ekonomii*, z udziałem ekspertów: dr. inż. Tomasza Nawrockiego (adiunkt w Katedrze Ekonomii i Informatyki na Wydziale Organizacji i Zarządzania Politechniki Śląskiej, wiceprezes Zarządu Oddziału PTE w Gliwicach) i Małgorzaty Romanowskiej (dyrektorka Biura Zarządu Oddziału PTE w Częstochowie, członkini Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego). Debatę moderowała dr Sylwia Kruk (adiunkt w Katedrze Ekonomiki i Organizacji Przedsiębiorstw Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, członkini Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego).

● Prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO, gościła prorektorów uczelni Wrocławia i Opola na posiedzeniu Kolegium Prorektorów, które obradowało w Parku Nauki i Rozrywki w Krasiejowie.

15.05

W budynku przy ul. Oleskiej trwała Giełda Pracy zorganizowana przez Akademickie Centrum Karier UO dla studentów i absolwentów opolskich szkół wyższych, którzy mogli spotkać się z potencjalnymi pracodawcami oraz wziąć udział w szkoleniach: *Chemiczne spojrzenie na farby graficzne*; *Przyszłość wisi w powietrzu, czyli jak drony zmieniają nasz świat!*; *Techniki prezentacji, czyli prezentacje biznesowe bez tajemnic* oraz *Kultura lean management w organizacji*. Dostępne były również konsultacje CV z przedstawicielami sześciu firm zajmujących się rekrutacją pracowników: Umicore Battery Materials Poland, Nutricia, Wazdan, Nowa Itaka, Ionway i DaVita.

15 V 2024. Giełda Pracy (organizator: Akademickie Centrum Karier UO) w budynku przy ul. Oleskiej

16.05

Historyk, dyplomata, b. ambasador RP w Republice Czeskiej dr Andrzej Krawczyk był kolejnym gościem Złotej Serii Wykładów Otwartych UO. Tytuł wykładu, który wygłosił w Auli Błękitnej Collegium Maius: *Od Masaryka do Havla. Prezydenci Czechosłowacji. Co biografie prezydentów mówią o historii i charakterze kraju?* Przed wykładem gość spotkał się z rektorem prof. dr. hab. Markiem Masnykiem. Dr Andrzej Krawczyk był dyrektorem gabinetu ministra Aleksandra Halla w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, doradcą premier Hanny Suchockiej, dyrektorem generalnym w Kancelarii Sejmu (twórca Biura Studiów i Ekspertyz), prezesem Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie oraz ambasadorem w Pradze, Bratysławie i Sarajewie.

● Studenci zagraniczni uczestniczyli w pierwszych warsztatach z cyklu *Course for Diversity* zorganizowanych przez pełnomocniczkę rektora ds. równości dr Marzannę Pogorzelską – tematem spotkania były różnorodność i wrażliwość społeczna.

16–17.05

Prorektor ds. nauki prof. dr hab. Jacek Lipok wziął udział, we Frankfurcie n. Odrą, w uroczystości wręczenia XXIII Nagrody Viadriny prof. dr. hab. Klausowi Ziemerowi oraz w dyskusji *20 lat po rozszerzeniu Unii Europejskiej – krytyczne spojrzenie na porozumienie polsko-niemieckie*.

● W Sali Herbowej Urzędu Wojewódzkiego rozpoczęły się obchody 90-lecia Instytutu Śląskiego – w programie znalazła się m.in. laudacja dla prof. dr. hab. Michała Lisa, koncert uczniów Publicznego Liceum Ogólnokształcącego nr 5 w Opolu oraz wręczenie wyróżnień, w tym Nagrody im. Jana i Wojciecha Wawrzynków za najlepszą pracę magisterską obronioną w 2023 r., dotyczącą dziejów politycznych, kultury i problemów społecznych Śląska. Kolejnego dnia w Instytucie Śląskim odbyła się międzynarodowa konferencja *W służbie polskiej nauki i kultury – Instytut Śląski 1934–2024* z udziałem naukowców z Instytutu Śląskiego, Uniwersytetu Opolskiego, Politechniki Opolskiej, Uniwersytetu Opawskiego, Uniwersytetu Ostrawskiego, Uniwersytetu Wrocławskiego, Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach, Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytetu Szczecińskiego, Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, Uniwersytetu KEN w Krakowie.

17.05

W Dniu Otwartym na Wydziale Ekonomicznym kandydaci na studia mogli poznać ofertę wydziału – w tym kierunki: finanse i rachunkowość, logistyka, ekonomia, zarządzanie, *international business* i *sustainable development*. W programie znalazły się m.in. wykłady, warsztaty, zwiedzanie wydziału oraz rozmowy z pracownikami naukowymi i studentami, także członkami kół naukowych: Studenckiego Koła Naukowego AURUM, Koła Naukowego Ekonomistów, Koła Naukowego Gospodarki Przestrzennej i Koła Naukowego Logistyki LogPoint.

17 V 2024. Dzień Otwarty na Wydziale Ekonomicznym UO

● Podczas Nocy Nauki w budynku Uniwersytetu Opolskiego przy ul. Oleskiej dostępnych było 11 stref tematycznych: biologia, chemia, medycyna, ekonomia, inżynieria środowiska, nauki pedagogiczne, nauki teologiczne, prawo, sztuka, informatyka i matematyka, fizyka, astronomia i optometria. Na to nocne wydarzenie, które było częścią Opolskiego Festiwalu Nauk, złożyły się wykłady i szkolenia, warsztaty oraz atrakcje dla dzieci.

17 V 2024. Noc Nauki w budynku Uniwersytetu Opolskiego przy ul. Oleskiej

17–18.05

Prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO, uczestniczyła w posiedzeniu Uniwersyteckiej Komisji Kształcenia, która obradowała w Uniwersytecie Szczecińskim.

19.05

Z inicjatywy Komendy Wojewódzkiej Policji w Opolu w kampusie przy ul. Oleskiej pojawił się *escape-van*, czyli mobilny pokój zagadek (wyjście z niego wymaga grupowej współpracy i logicznego myślenia). Scenariusz do zagadek, jakie trzeba rozwiązać w *escape-vanie*, którego tematem jest los ofiar handlu ludźmi, opracowano na podstawie realnych *modus operandi* przygotowanych przez funkcjonariuszy Komendy Głównej Policji oraz Straży Granicznej. Celem tego projektu (powstał z inicjatywy holenderskiej Fundacji Reshape, w Polsce zainicjowany w 2023 r. przy ścisłej współpracy z Centrum Badań nad Handlem Ludźmi Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Polską Policją i Strażą Graniczną) jest przeciwdziałanie handlowi ludźmi.

21.05

Prorektor ds. rozwoju i finansów dr hab. inż. Rafał Matwiejczuk, prof. UO, spotkał się z dr. Markusem Ehmem, kierownikiem programu Europa Środkowa, dyrektorem Biura Fundacji im. Hannsa Siedla w Pradze. Rozmowa dotyczyła kontynuacji współpracy. W spotkaniu wzięli także udział: Martin Wycisk, pracownik naukowy Fundacji, dyrektor UCTWiT Marek Liśkiewicz oraz dr inż. Karina Bedrunka-Gudaniec.

21–24.05

Prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO, uczestniczyła w spotkaniu projektowym w ramach Konsorcjum FORTHEM w Palermo (Sycylia).

22–25.05

Tegoroczne Piastonalia, czyli Studencka Wiosna Kulturalna, rozpoczęły się na Politechnice Opolskiej 17 maja. Na Uniwersytet Opolski dotarły 22 maja wraz z tradycyjną żakinadą – kolorowy korowód przeszedł spod „Łącznika" Politechniki Opolskiej na uniwersytecki kampus, po czym na Rynku studenci odebrali z rąk prezydenta Opola Arkadiusza Wiśniewskiego symboliczny klucz do miasta. Wśród atrakcji tegorocznego święta studentów znalazło się 28 koncertów, zawody piłkarskie Orlikonalia, turniej siatkarski z zawodniczkami Uni Opole, warsztaty taneczne *Latino Dance – daj się porwać!*, rozgrywki EA Sports™ FC 24 i flanek, wspólna zumba, bieg na dach najwyższego akademika, czyli *Niechcic Towerrunning*, Igrzyska Studenckie oraz szkolenie z samoobrony z ekipą Odra Opole Boxing Club.

22 V 2024. Żakinadą na opolskim Rynku rozpoczęły się tegoroczne Piastonalia. Na zdjęciu, od lewej: przewodniczący Samorządu Studenckiego UO Franciszek Posacki, przewodniczący Samorządu Studenckiego PO Wojciech Wojnar. Z tyłu, od lewej: rektor UO prof. Marek Masnyk, rektor PO prof. Marcin Lorenc i prezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski

23.05

Metoda Simontona, wsparcie psychologiczne poważnie chorych i radzenie sobie z emocjami – to tematy spotkania *online* z dr. Mariuszem Wirgą, lekarzem psychiatrą, psychoonkologiem i psychoterapeutą, dyrektorem medycznym Oddziału Onkologii Psychospołecznej w Instytucie Onkologii im. Malcolma Todda w Long Beach (Kalifornia), szefem Wydziału Psychiatrii w Long Beach Memorial Medical Center.

● Miejska Biblioteka Publiczna w Opolu gościła wystawę studentów i pracowników Wydziału Sztuki – autorów 230 prac powstałych w ósmej już edycji *Ilustraganu* (temat: botanika). Wernisaż był wydarzeniem towarzyszącym opolskiemu Festiwalowi Książki – wystawę można oglądać do 29 czerwca br., a jej kuratorkami są dr hab. Magdalena Hlawacz, prof. UO, Ewelina Kędzia, Patrycja Kostyra, Katarzyna Mular i Magda Wolnicka. *Ilustragan* to cykliczny projekt Wydziału Sztuki UO prezentujący twórczość ilustratorską studentów, absolwentów, wykładowców i innych osób związanych z wydziałem. Każdego roku efektem ich pracy jest ilustrowana książka i wystawa. Tym razem współtworzyło ją 140 artystek i artystów. Więcej na str. 82.

● W Muzeum Diecezjalnym w Opolu odbył się wernisaż wystawy monograficznej dr hab. Łucji Piwowar-Bagińskiej, prof. UO, pt. *Chwiejna linia horyzontu – o twórczym myśleniu i działaniu*. To pierwsza ekspozycja tej artystki związanej z Wydziałem Sztuki UO, prezentująca przekrój jej malarskiego dorobku od 1982 roku do dziś.

● Aleksandra Kułakowska, Alicja Sierakowska i Rafał Rajski z VI roku kierunku lekarskiego otrzymali stypendia ministra edukacji i nauki – listy gratulacyjne ministra Dariusza Wieczorka odebrali z rąk rektora prof. dr. hab. Marka Masnyka przed posiedzeniem Senatu.

23–24.05

Na jubileusz 60-lecia chemii akademickiej w Opolu złożyły się trzy jubileusze: 37-lecia Instytutu Chemii, 16-lecia Wydziału Chemii i pięciolecia kierunku farmacja. Dwudniowe obchody rozpoczęły się mszą w intencji żyjących i zmarłych pracowników, studentów i absolwentów wydziału w kościele pw. Matki Boskiej Bolesnej i św. Wojciecha. W programie uroczystości (w Collegium Salutis Humanae), w której wziął udział także rektor prof. dr hab. Marek Masnyk, znalazły się m.in. wykłady (*Chromatograficzne badania aktywności biologicznej – jej znaczenie w analityce*; *Wpływ struktury związków boronowych na ich aktywność mikrobiologiczną* oraz *Sorbenty polimerowe z odciskiem molekularnym jako materiały łączące nie tylko związki chemiczne*). Historię wydziału, a także plany na przyszłość przedstawili m.in.: dziekan dr hab. Dawid Siodłak, prof. UO, dyrektor Instytutu Chemii prof. dr hab. inż. Piotr P. Wieczorek, prof. dr hab. inż. Krystyna Czaja i prof. dr hab. inż. Paweł Kafarski z Wydziału Chemicznego Politechniki Wrocławskiej (doktor *honoris causa* UO). Jubileuszowe uroczystości zakończyły się wspólną biesiadą *Spotkanie po latach*.

23–26.05

23 V 2024. Wydawnictwo UO na Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie reprezentowały: dyrektorka Natalia Musiał (z lewej) i redaktorka Karina Ćwirzeń

Pracownicy Wydawnictwa UO uczestniczyli w Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie. Wydawnictwo, które zaprezentowało ponad 140 tytułów z różnych dziedzin, miało swoje stoisko w strefie *Spotkania z Nauką* (projekt finansowany z budżetu państwa, ze środków przyznanych przez ministra edukacji i nauki w ramach programu *Społeczna odpowiedzialność nauki II – Popularyzacja nauki*).

25.05

Wizytą w Izbie Leśnej Nadleśnictwa Opole rozpoczęła się *Majówka akademicka* zorganizowana przez Duszpasterstwo Pracowników Akademickich. A później było nabożeństwo majowe, msza niedzielna w kościele pw. Matki Boskiej Fatimskiej w Opolu-Grudzicach i wspólna kolacja**.**

28.05

Wykłady, wystąpienia i zwiedzanie wydziałowych budynków – to główne punkty programu spotkania z okazji 25-lecia Wydziału Przyrodniczo-Technicznego UO, które rozpoczęło się w auli Collegium Biotechnologicum od wystąpienia dziekana dr. inż. Dariusza Suszanowicza. W uroczystości uczestniczył też m.in. rektor prof. dr hab. Marek Masnyk i b. dziekan wydziału – prof. dr hab. Stanisław Koziarski. Wykład pt. *Współczesne wyzwania inżynierii oraz ochrony środowiska* wygłosiła prof. dr hab. inż. Czesława Rosik-Dulewska, a dr Mateusz Antczak – *Chodź, pomaluj mój (prehistoryczny) świat*.

28 V 2024. Uroczystość 25-lecia Wydziału Przyrodniczo-Technicznego UO

1.06

Chór UO *Dramma per Musica* wystąpił w kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Pokoju w ramach XXI Festiwalu Muzyki Zabytkowych Parków i Ogrodów im. Carla Marii von Webera.

3.06

Prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO, gościła przedstawicieli PKA, którzy dokonywali oceny programowej na kierunku ekonomia (Wydział Ekonomiczny).

3–11.06

Warsztaty, dyskusje, spotkania, spektakle – to niektóre z propozycji Wiosny Kobiet na Uniwersytecie Opolskim, czyli wydarzeń zorganizowanych z inicjatywy dr Marzanny Pogorzelskiej, pełnomocniczki rektora ds. równego traktowania. A wśród nich była m.in. dyskusja *Płeć – jedno słowo, wiele wymiarów*, malowanie... złości, antykonferencja i warsztaty artystyczne *Wizerunek kobiet w popkulturze*, spektakl Teatru Forum i dyskusja *Jak reagować na sytuacje* oraz wieńcząca Wiosnę Kobiet dyskusja *Równość płci na Uniwersytecie Opolskim*.

4–6.06 Konferencja pt. *Zarządzanie kryzysowe – ochrona ludności – ratownictwo*, której współorganizatorem był Wydział Prawa i Administracji UO, obradowała na Wydziale Bezpieczeństwa, Logistyki i Zarządzania Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie. Oprócz paneli dyskusyjnych w programie znalazły się warsztaty techniki schronowej, wizyty w jednostkach odpowiedzialnych za bezpieczeństwo (Straż Graniczna w Warszawie-Okęciu) oraz wystawa sprzętu, broni i działań ratowników, służb specjalnych, inspekcji i straży.

6.06 Chór UO *Dramma per Musica* wystąpił w kościele pw. Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Opolu – koncert był uhonorowaniem 45 lat pracy dr Elżbiety Trylnik, twórczyni chóru i jego dyrygentki, a także jednym z wydarzeń towarzyszących jubileuszowi 30-lecia Uniwersytetu Opolskiego. Chórzyści sięgnęli po utwór Martina Palmeriego *Misa a Buenos Aires /Misatango*, a towarzyszyli im: Katarzyna Trylnik (sopran), Piotr Kopietz (bandoneon), Mateusz Rożek (fortepian), kwintet smyczkowy studentów Akademii Muzycznej w Katowicach i Hubert Prochota (dyrygent).

6–7.06 Na Uniwersytecie Opolskim trwały uroczystości poświęcone prof. dr. hab. Zdzisławowi Najderowi, conradyście, wieloletniemu pracownikowi Instytutu Filologii Angielskiej UO (zmarł w lutym 2021). W Collegium Maius odsłonięto pamiątkową tablicę (autor: prof. dr hab. Marian Molenda z Wydziału Sztuki), a w Muzeum UO udostępniono wystawę *Profesor Najder – Conradysta*. Tam też odbyła się konferencja pt. *Joseph Conrad i Zdzisław Najder: twórczość, analiza, interpretacja* (prelegenci: red. Małgorzata Sopyło, red. Karol Płatek, dr hab. Sylwia Wojciechowska, dr hab. Anna Szczepan-Wojnarska, prof. UKSW, dr hab. Brygida Pudełko, prof. UO i dr hab. Joanna Skolik, prof. UO).

7.06 W auli przy ul. Oleskiej odbyły się uroczyste promocje doktorskie – kolejnym doktorom i doktorom habilitowanym Uniwersytetu Opolskiego towarzyszyły rodziny, a władze uczelni reprezentowali: rektor prof. dr hab. Marek Masnyk, rektor elekt prof. dr hab. Jacek Lipok, prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO, prorektor ds. Collegium Medicum dr hab. Renata Szyguła, prof. UO, i prorektor ds. rozwoju i finansów dr hab. inż. Rafał Matwiejczuk, prof. UO.

7–8.06 VIII Festiwal Książki w Opolu za nami – wydarzenie było rekordowe pod każdym względem! Na trzy dni Plac Wolności w Opolu zamienił się w piękne miasteczko literackie. Gościliśmy ponad 120 wydawców z całego kraju, najpopularniejszych pisarzy, a także licznych artystów. Opolanie mieli okazję wziąć udział w ponad 150 spotkaniach z autorami, odbyły się też liczne warsztaty dla najmłodszych czytelników – jakość wszystkich wydarzeń festiwalowych potwierdza rekordowa frekwencja. Każdego dnia festiwal kończył się koncertem podkreślającym wyjątkowy i unikatowy charakter targów – symbiozę literatury z muzyką.

13.06 Prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO, uczestniczyła w uroczystości wręczenia Certyfikatów Doskonałości Kształcenia PKA w siedzibie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Certyfikat Doskonałości otrzymał Wydział Prawa i Administracji za kierunek administracja, studia I i II stopnia.

18.06 Minister nauki i szkolnictwa wyższego Dariusz Wieczorek spotkał się w Opolu z władzami oraz studentami opolskich wyższych uczelni. Nasz uniwersytet reprezentował rektor prof. dr hab. Marek Masnyk. W spotkaniu wzięli także udział przedstawiciele władz wojewódzkich i samorządowych.

- Hans-Gert Pöttering, dr *hc* UO, b. przewodniczący Parlamentu Europejskiego, b. prezes Fundacji Konrada Adenauera (dziś jej pełnomocnik ds. europejskich) wygłosił w Auli Błękitnej wykład pt. *Nasze wspólne zadanie na rzecz silnej Unii Europejskiej.*
- Prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO, wzięła udział w posiedzeniu Kolegium Prorektorów Uczelni Wrocławia i Opola. Spotkanie odbyło się w Centrum Edukacyjno-Rozwojowym w Pawłowicach, ośrodku Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu.
- Rektor prof. dr hab. Marek Masnyk uczestniczył w uroczystości jubileuszowej w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym (dawne Wojewódzkie Centrum Medyczne), który od siedmiu lat funkcjonuje w strukturze naszego uniwersytetu.

Dyrektor Instytutu Nauk Prawnych UO **dr hab. Piotr Stec, prof. UO**, został przewodniczącym zespołu doradczego ministra nauki do oceny wniosków o ponowne rozpatrzenie sprawy dot. przyznania środków finansowych na realizację niektórych zadań z obszaru szkolnictwa wyższego i nauki. Zespół, w pięcioosobowym składzie (członkowie: Anna Czarnecka, Jarosław Kucharski, Agnieszka Leśniak i Jerzy Zwoździak), został powołany zarządzeniem ministra nauki z 14 maja 2024 r. na trzy lata.

Dr hab. Agata Zagórowska, prof. UO, została członkinią prezydium Komitetu Nauk o Pracy i Polityce Społecznej Polskiej Akademii Nauk na kadencję 2024–2028 (to już jej trzecia kadencja w tym komitecie). Dr hab. Agata Zagórowska, prof. UO, kieruje Katedrą Rynku Pracy i Polityki Społeczno-Ekonomicznej, która działa w Instytucie Ekonomii i Finansów UO. Jest też prezeską opolskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. W swoich badaniach zajmuje się polityką społeczną, demografią, ekonomią rynku pracy i ekonomią społeczną. W 2020 roku otrzymała Medal im. Wacława Szuberta za wybitne osiągnięcia w dziedzinie nauk o pracy i polityce społecznej oraz działalność praktyczną z tego zakresu.

Projekt Koła Naukowego Chemików UO KORONAN z Wydziału Chemii i Farmacji UO znalazł się wśród laureatów IV edycji programu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego *Studenckie koła naukowe tworzą innowacje*. Autorem projektu jest opiekun koła **dr inż. Dawid Zych** (tytuł: *Synteza i charakterystyka związków termoczułych, czyli badania w kontekście innowacyjnych materiałów do zastosowań w pomiarach temperatury*), a na jego realizację ministerstwo przyznało 70 000 złotych.

Zebrała: **Barbara Stankiewicz**
Fot. **Sylwester Koral, Filip Ożarowski, Tomasz Chabior**

TOMASZ CHABIOR

PRZYSTAŃ PRZESZŁOŚCI

Jubileusz dziesięciolecia Muzeum UO

Rektor elekt prof. Jacek Lipok, kierowniczka Biblioteki UO Danuta Szewczyk-Kłos oraz dr Wanda Matwiejczuk (z prawej), pierwsza kierowniczka Muzeum UO (fot. Piotr Kasprzyk)

Premiera jubileuszowego filmu i okolicznościowa wystawa czekały na uczestników spotkania z okazji dziesięciolecia Muzeum Uniwersytetu Opolskiego. Był też czas na wspomnienia, podziękowania i gratulacje, a wszystko to w muzeum, 9 maja 2024 roku.

Film pt. *Obiektywem w historię. 10 lat Muzeum Uniwersytetu Opolskiego* był podsumowaniem dekady działalności tej jednostki. Przygotował go **Filip Ożarowski** z Biura Marketingu i Public Relations UO. Również wystawa, którą otwarto podczas spotkania, dotyczyła czasów od powstania muzeum aż do dziś, czyli funkcjonowania w 30-letnim uniwersytecie z 70-letnią tradycją.

– Na naszej uczelni trwa rok jubileuszy – zauważyła **Danuta Szewczyk-Kłos**, dyrektorka Biblioteki UO. – Za nami 30-lecie Uniwersytetu Opolskiego, a teraz świętujemy dziesięciolecie Muzeum UO. Zbliżają się też 60-lecie Wydziału Chemii i 25-lecie Wydziału Przyrodniczo-Technicznego. Cieszę się, że w tym całym łańcuchu jubileuszy przyjaciele uniwersytetu przybyli i tutaj. Jest z nami wiele osób, które bardzo przyczyniły się do powstania muzeum.

Na jubileusz przyszły władze uczelni, a także jej pracownicy naukowi i osoby związane z muzeum. Wśród nich byli: rektor elekt **prof. dr hab. Jacek Lipok**, były rektor i inicjator powstania muzeum **prof. Stanisław Sławomir Nicieja**, wieloletnia dyrektorka Biblioteki UO **dr Wanda Matwiejczuk**, b. senator RP, doktor *honoris causa* naszej uczelni **prof. Dorota Simonides**, fotografik **Jerzy Stemplewski** i kanclerz **Zbigniew Budziszewski**.

– Na studia przyjechałem tu w 1968 roku. Wybrałem to miejsce, bo kochałem polską piosenkę i pisałem teksty. W tamtej chwili uczelnia miała 14 lat – podkreślał prof.

Dr Wanda Matwiejczuk (z mikrofonem) dziękuje prof. Dorocie Simonides za dary przekazane Muzeum UO, obok – prof. Maria Rowińska-Szczepaniak (fot. Piotr Kasprzyk)

Na zdjęciu, od lewej: dyrektorka Biblioteki UO Danuta Szewczyk-Kłos, rektor elekt prof. Jacek Lipok i prof. Stanisław S. Nicieja (fot. Sylwester Koral)

Stanisław Sławomir Nicieja. – Gdy natomiast zostałem rektorem, byłem 13. osobą pełniącą tę funkcję, nie pierwszą i nie ostatnią. Pomyślałem więc, że trzeba pokazać, kto założył naszą uczelnię i kto później ją tworzył. Dotrzeć do jej korzeni i opisać jej historię. Dziś muzeum to serce tego uniwersytetu, nasza przeszłość.

Z okazji dziesięciolecia Muzeum UO rektor elekt prof. dr hab. Jacek Lipok wygłosił mowę okolicznościową. Przemawiały też dyrektorka Biblioteki UO Danuta Szewczyk-Kłos oraz dr Wanda Matwiejczuk, jej poprzedniczka i pierwsza kierowniczka muzeum. Oprócz nich głos zabrał prof. Stanisław Sławomir Nicieja, który podarował jednostce portret Ludwika van Beethovena namalowany w XIX wieku.

– Ktoś kiedyś powiedział, że muzeum to miejsce, w którym czas się zatrzymał. To, co tutaj widzimy, czego jesteśmy świadkami, te wydarzenia, która się toczą, przeczą temu stwierdzeniu – mówił prof. dr hab. Jacek Lipok. – Okazuje się, że to żywe miejsce, w którym czas pulsuje ze szczególną intensywnością. Miejsce, które odwiedza się, by mieć świadomość zdarzeń, które minęły i percepcję tego, co może wydarzyć się w przyszłości.

Podczas spotkania uhonorowano też osoby szczególnie zasłużone dla muzeum. Byli to: prof. Stanisław Sławomir Nicieja, dr Wanda Matwiejczuk, prof. Dorota Simonides i Jerzy Stemplewski. Przekazano im faksymile grafiki klasztoru dominikańskiego, którą w 1864 roku stworzył Franz Krüger. Ponadto przedstawicielki Urzędu Miasta Opola – w imieniu prezydenta Arkadiusza Wiśniewskiego – wręczyły kwiaty prof. dr. hab. Jackowi Lipokowi i Danucie Szewczyk-Kłos.

INDEKS

PUBLICYSTYKA, SZTUKA

Artykuły
Eseje
Wywiady
Felietony

ADAM DYBEK

GŁOSY ODDANE W RYZYKOWNY DEPOZYT

Kulejąca Polska Ludowa od pewnego czasu resztkami sił człapała za oddalającym się światem

Koniec maja 1989 r., w siedzibie Opolskiego Komitetu Obywatelskiego Solidarności (organizatora wyborów parlamentarnych). Siedzą (od lewej): Jan Całka, Kazimierz Kobiałko, Józef Skrzyniarz i Iwona Jelonek; stoją: Artur Słowik i Robert Fielding (fot. Ryszard Poliwoda)

Emocje politycznego świata i półświatka, towarzyszące niedawnym wyborom do Parlamentu Europejskiego, nie sprawiły jednak, że w rocznicowym kalendarzu zabrakło miejsca dla 4 czerwca 1989 roku. Czyli daty wyborów do tzw. sejmu kontraktowego. A ich wynik był przecież początkiem drogi prowadzącej Polskę ku Unii Europejskiej. Premier Tusk, ryzykując w tym roku frekwencyjną klapę, zwoływał do stolicy na manifestację tyleż rocznicową, co będącą elementem kampanii wyborczej, której wynik miał się ujawnić niebawem, bo już 9 czerwca. Tego samego dnia prezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski wręczył Lechowi Wałęsie „Nagrodę Wolności".

Do tegorocznej rywalizacji o miejsca w unijnym parlamencie gorąco zachęcali także ci, którzy datę 4 czerwca 1989 r. wciąż uważają za dzień zdrady ciążącej na części elit opozycyjno-solidarnościowych. Przeciwnicy wszelkich kompromisów mieli w roku 1989 mało skomplikowany przepis na walkę o lepsze jutro. Streszczał się hasłem: „wszystko albo nic". A ponieważ w ówczesnych warunkach osiągnięcie „wszystkiego" było niemożliwe – dzielnie i zgiełkliwie wypełniali treścią drugą część hasła.

***

Była końcówka lat 80. ubiegłego wieku. Trwał PRL. Po jego obu politycznych stronach, opozycyjnej i partyjnej, ochota do kontynuowania otwartej walki może i była, ale sił już brakowało. Jednym i drugim. Partia słabła kadrowo, bo rezygnacjom z przynależności nie było końca. Represyjny zapał z taktycznych względów zmalał, poluzowanie było wyczuwalne, dodawało animuszu środowisku związkowo-opozycyjnemu. Ale nie na tyle, żeby znowu poderwać miliony ogarnięte teraz zniechęceniem, brakiem wiary w możliwość zmian na lepsze, a i strachem też.

Prawdziwi patrioci, ale tacy Naprawdę Prawdziwi, nazywający ówczesnego premiera polskiego rządu, czyli generała Wojciecha Jaruzelskiego, zbrodniarzem i sowieckim pachołkiem, musieli być raczej zdumieni, że papież Jan Paweł II, nie jakiś zwykły papież, tylko prawdziwy, polski, kogoś takiego jak Jaruzelski w styczniu 1987 r. nieodpowiedzialnie przyjmuje w Watykanie, i to w ramach oficjalnej wizyty, jako głowę państwa. Mało tego: po zakończeniu papież stwierdzi, że audiencja ta była „niewątpliwie historyczną wizytą". Jednym z jej skutków stała się trzecia papieska pielgrzymka do Polski (8–14 czerwca 1987).

Solidarność przez małe s

Jan Paweł II podczas całej pielgrzymki nie zachęcał do konfrontacji, nawet najbardziej jej spragnieni w żadnej homilii czy wystąpieniu nie potrafili dosłuchać się śladów takiej zachęty. W Gdańsku, na Zaspie, powiedział: „Solidarność musi iść przed walką", a na krakowskich Błoniach apelował do zgromadzonej tam młodzieży, przywołując słowo solidarność w jego podstawowym znaczeniu: „W imię przyszłości człowieka i ludzkości trzeba było wypowiedzieć to słowo *solidarność*. Dziś płynie ono szeroką falą poprzez świat, który rozumie, że nie możemy żyć wedle zasady: *wszyscy przeciw wszystkim*, ale tylko wedle zasady: *wszyscy z wszystkimi*, *wszyscy dla wszystkich*". Porozumienie – zdaniem papieża – to jedyna droga, ale tylko przy poszanowaniu przez rządzących podmiotowości społeczeństwa i praw człowieka.

Porozumienie, nawet elementarne, wymagało rozmów. Prawdziwi Patrioci byli zdania, że „z komunistycznymi szulerami rozmawiać nie wolno".

Próbował ich mitygować Jan Nowak-Jeziorański, były dyrektor Radia Wolna Europa. Przypomniał, że z szulerami zasiadł do gry Józef Piłsudski, kiedy w 1920 r. negocjował z bolszewikami. A z kim grał prymas Wyszyński, „zawierający z rządem PRL dwukrotny rozejm, w roku 1950 i 1956?". A dlaczego – pytał Nowak-Jeziorański – „jakoś nikt dotychczas nie skrytykował robotników Trójmiasta i Szczecina, że w 1980 r. zasiedli z szulerami do stołu i podpisali pakt, który pozwolił na utworzenie Solidarności?".

Gadanie o rozmowach

Zapału do prawdziwych rozmów nie było po obu stronach. Władza, chcąc doprowadzić do niezbędnego przełomu politycznego, znalazła się w przymusowym położeniu. Jej ochotę hamował lęk przed powtórzeniem się sytuacji sprzed stanu wojennego i utratą kontroli. Uznano, że poluzowanie jest niezbędne, ale umiarkowane, ostrożne i na warunkach podyktowanych przez partyjną stronę.

Po stronie solidarnościowo-opozycyjnej brak negocjacyjnego entuzjazmu wynikał z obawy, że rozmowy przyniosą korzyść wyłącznie przeciwnikowi, nic się nie zyska, a tylko straci. Zaś do stracenia było już sporo. Wałęsie udało się zaktywizować związkową działalność, stanął na czele powołanej przez siebie Krajowej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność", skupił grupę doradców (Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki, Jacek Kuroń, Adam Michnik, Andrzej Stelmachowski, Andrzej Wielowieyski, Jan Lityński) umacniających go w przekonaniu, że głowa służy nie tylko do walenia w mur, który trzeba likwidować inną metodą: cegła po cegle. W całym kraju znowu powstawały w zakładach pracy komitety założycielskie Solidarności, ograniczenie represji ośmieliło wielu niedawnych konspiratorów do coraz bardziej jawnej działalności. Wieloletnie żądanie zalegalizowania Solidarności dobrnęło do momentu, że było już co legalizować i zabiegać o ponowną sądową rejestrację.

Sprzeciwy wobec ugodowości środowiska skupionego wokół Wałęsy dobiegały nie tylko z dołu. Na wiosnę 1987 została powołana Grupa Robocza Komisji Krajowej (Andrzej Gwiazda, Seweryn Jaworski, Marian Jurczyk, Jerzy Kropiwnicki, Grzegorz Palka, Jan Rulewski, Andrzej Słowik i Stanisław Wądołowski). Ich program w najwięk-

9 maja 1989 r. w auli opolskiej Wyższej Szkoły Inżynierskiej Adam Michnik przekonywał studentów do udziału w wyborach parlamentarnych. Po spotkaniu – w rozmowie z Janem Całką (fot. Ryszard Poliwoda)

szym skrócie: żadnych rozmów, żadnej współpracy; czekać, aż system sam runie.

Luz-mus

Scenariusz pisali rządzący. W zasobach IPN jest notatka opatrzona gryfem „Tajne, specjalnego znaczenia", datowana 15 grudnia 1988 roku. Dotyczy wstępnej koncepcji „warunków osiągnięcia porozumienia z konstruktywną opozycją poprzez zorganizowanie Szczytu Politycznego". Oto fragment zawartego tam podsumowania:

„– po debacie Miodowicz-Wałęsa i jego pobycie w Paryżu nie da się utrzymać dialogu z opozycją na dotychczasowym pułapie politycznym;

– nie będzie można uniknąć relegalizacji Solidarności (wynika to zarówno z uwarunkowań wewnętrznych, jak i międzynarodowych);

– istnieje niebezpieczeństwo wybuchu społecznego o podłożu ekonomicznym, z możliwością przekształcenia go w konflikt polityczny.

Radykalnym przełamaniem impasu, z jednoczesnym przejęciem inicjatywy politycznej przez Partię, mógłby być *szczyt polityczny* – protokolarne spotkanie przywódców głównych sił politycznych kraju".

Dochodzące z Warszawy okrągłostołowe odgłosy zaktywizowały zarówno zwolenników, jak i przeciwników tych przygotowań. Przeciwnicy byli głośniejsi. W Opolu na ul. Krakowskiej i pl. Wolności odbywały się przeróżne manifestacje, gromadzące uczestników i gapiów. Dominowała zniecierpliwiona młodzież, proponująca dorosłym wprowadzenie lepszej przyszłości już od jutra i mająca za złe Solidarności, że tyle czasu zmarnowała. Biuro Studiów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych alarmowało: „Niektóre kręgi młodzieży stały się bardziej radykalnie nastawione do partii niż ich duchowi ojcowie z lat 1980–1981", a lawinowo powiększające się środowisko młodzieżowych zwolenników opozycji „charakteryzuje radykalizm i zwalczanie wszystkich sił i osób o tendencjach ugodowych".

18 grudnia 1988 r. powstał w Warszawie, skupiony wokół Lecha Wałęsy, Komitet Obywatelski „Solidarność". W Opolu tymczasowe władze regionalnej Solidarności 19 kwietnia 1989 r. powołały Opolski Komitet Obywatelski Solidarność, a kierujący związkiem Jan Całka na przewodniczącego zaproponował Kazimierza Kobiałkę (rocznik 1944). W skład zarządu weszło także dwóch wiceprzewodniczących: Janusz Sanocki (szef nyskiej Solidarności) i Bronisław Wilk (inżynier z opolskiego Metalchemu, działacz Klubu Inteligencji Katolickiej).

Kwadratura okrągłego stołu

6 lutego 1989 r. w Pałacu Namiestnikowskim zasiadło 57 głównych uczestników operacji Okrągły Stół. Sztabem Solidarności kierował Lech Wałęsa, drugą stroną dowodził generał Czesław Kiszczak, minister spraw wewnętrznych.

Rządzący w roli gospodarzy spotkania byli tu trochę nieporadni, bo musieli teraz sadzać opozycjonistów w innej niż dotychczas scenerii, bez odbierania im sznurowadeł i głosu. Po stronie solidarnościowej kłopot czekał tych opozycjonistów, którym przy okrągłym stole wyznaczono miejsca z dala od Wałęsy. Bo podczas telewizyjnej relacji kamera zacznie omiatać okrągły stół i w pewnym momencie biedny widz nie będzie wiedział, czy pokazywany właśnie uczestnik to jeszcze opozycja, czy już strona partyjno-rządowa.

5 kwietnia 1989 r. dobiegły końca rozmowy Okrągłego Stołu. Podstawowe ustalenia wynegocjowanego tam kontraktu to ponowna legalizacja Solidarności, powołanie senatu (stuosobowego) i urzędu prezydenta (z szerokim zakresem uprawnień), wybory parlamentarne na nowych zasadach: 65 proc. miejsc w mającym powstać sejmie (który będzie liczył 460 posłów) przypadnie koalicji rządowej, a 35 proc. (161 miejsc) – kandydatom bezpartyjnym, czyli w praktyce kandydatom Solidarności.

Przeprowadzane w latach 1988–1989 badania opinii społecznej, robione przez CBOS na zlecenie władzy i do jej wyłącznego użytku, pokazywały, że niemal dwie trzecie ankietowanych uważało Okrągły Stół za przełomowe wydarzenie w wewnętrznej sytuacji kraju. Co do skutków – poglądy były zróżnicowane. Na początku kwietnia 1989 r. pytano ankietowanych, co ich zdaniem, przyniesie zapowiadana legalizacja Solidarności. Mieli wybrać jedną z następujących odpowiedzi: same korzyści (uzyskano 12,7 proc. wskazań), więcej korzyści niż strat (40), tyle samo korzyści co strat (15,4), więcej strat niż korzyści (3,3), same straty (0,3), trudno powiedzieć (27,4).

Urny z prochami partyjnych nazwisk

Gdy poznano wynik głosowania – sztabom obu stron z wrażenia odebrało głos. Za to natychmiast tu i tam odezwali się suflerzy, a najgłośniej ci, którzy jeszcze niedawno byli zajadłymi przeciwnikami siadania do Okrągłego Stołu i jakimkolwiek wyborczym negocjacjom. „Dobić s……ów!" – dopingowali zwycięzców. Suflerzy przegranych radzili równie radykalnie: „Towarzysze! Wybory trzeba natychmiast unieważnić!".

Rosjanie, na nasze szczęście, chyba machnęli już wtedy ręką na polityczny zamęt w Polsce, nawet król z tronem w Warszawie by im nie przeszkadzał, byle nie godził w ich interesy wojskowe i dał spokój szerokim torom kolejowym dla wagonów ze wschodu oraz sołdatom rozlokowanym w Polsce i NRD.

1 stycznia 1990 r. zaczęła obowiązywać nowa nazwa polskiego państwa, więc tego ranka budziliśmy się znowu, jak przed II wojną światową, w Rzeczpospolitej Polskiej, a nie w PRL. Niektórych tego dnia przywitał kac: jednych polityczny, innych – fizjologiczny, po przedawkowaniu na sylwestrowym balu.

W nowym ustroju bardzo różnie potoczyły się losy osób, które zakładały Solidarność, a potem w szczególnie aktywny sposób przyczyniały się do wzrostu jej znaczenia. Do istniejących między nimi różnorakich różnic doszła nowa, dotycząca oceny kompromisu w postaci Okrągłego Stołu i zgody na tylko częściowo wolne wybory parlamentarne 4 czerwca 1989 roku. Kto był tej drogi przeciwnikiem – temu nawet druzgocące dla władzy wyniki głosowania utrudniały poczucie się człowiekiem obozu zwycięzców. Najzagorzalsi wrogowie wszelkich kompromisów ogłosili się więc zwycięzcami moralnymi, zatrzymali zegar, który dla nich ruszy na krótko w 2005, a rozpędzi się dopiero po 2015 roku.

Akceptujący Okrągły Stół też byli zbiorowością bardzo zróżnicowaną. Niemało z nich nie odnalazło się, z różnych przyczyn, w nowych warunkach, niejeden poczuł się oszukany, zlekceważony, skazany na upodlającą biedę. Niby wszystkie te grupy łączył ten sam czas uczestnictwa w przeżyciu pokoleniowym, jakim była Solidarność, ale echom tego uczestnictwa późniejsze zdarzenia nadawały różną tonację. Mijały lata. Dawne spoiwo, jakim był wspólny udział w boju o lepszą Polskę,

w sposób naturalny i nieuchronny zaczęło kruszeć, bo tamte uskrzydlające emocje musiały robić miejsce przyziemnym sprawom, których i nowy ustrój dostarczał aż w nadmiarze.

Nadążać za zegarem

Topniały szeregi solidarnościowych weteranów, czasy ich sprawczej aktywności nabierały życia głównie w kombatanckich opowieściach i sporach, które trudno, ze względu na bezpardonowość, nazywać polemiką. Historia emocji i myślenia większości Polaków była już znacznie krótsza, za początek miała pierwsze, nie w pełni demokratyczne wybory parlamentarne i ich późniejsze skutki, bardzo niejednakowe dla różnych grup i środowisk.

Sporo osób opozycyjnie bardzo aktywnych, nawet tych, które głośno i publicznie protestowały przeciwko pomysłowi ugody okrągłostołowej i wyborom parlamentarnym z 4 czerwca 1989 r., obserwując późniejsze następstwa, nie polemizowało z faktami. Dr hab. Zbigniew Bereszyński (w wywiadzie dla „NTO", przeprowadzonym w 2021 r. przez red. Krzysztofa Ogiołdę): „Ja sam byłem przeciwnikiem tej ugody. Było wiadomo, o co chodzi komunistom. Chcieli część opozycji wyselekcjonować, wmontować ją do układu jako element zaplecza i tak zażegnać kryzys. Wydawało mi się, że możemy w ten sposób zmarnować historyczną szansę na niepodległość, a oni przetrwają. (…) Ale kalkulacje komunistów na przetrwanie nie sprawdziły się. Położył im kres wynik wyborów 4 czerwca 1989. Nikt się nie spodziewał – ani komuniści, ani opozycja – że Solidarność weźmie całą pulę. Nie żałuję, że byłem przeciwnikiem *okrągłego stołu* i ugody, ale mam też szacunek dla tych, którzy zapewnili nam sukces wyborczy. Komuniści przegrali sromotnie i już się nie pozbierali. Nie można wykreślać daty 4 czerwca z historii, bo się nie lubiło *okrągłego stołu*. Powtarzam, też go nie lubiłem. Ale 4 czerwca to jest data wielkiej porażki komunistów i początku końca systemu".

Lekcja historii przy pamiątkowej tablicy

W 2018 r. grupa 30 dawnych działaczy solidarnościowo-opozycyjnych wystąpiła do Rady Miasta Opola z postulatem zainstalowania w śródmieściu tablicy upamiętniającej datę 4 czerwca 1989 r., jako ważną i brzemienną w późniejsze skutki dotyczące całej Europy Wschodniej, z NRD włącznie. Postulat nie trafił pod obrady, bo w wersji tekstu na tablicę eksponowano rolę Wałęsy, a w tym czasie stała się głośna sprawa odnalezienia w mieszkaniu generała Kiszczaka akt „Bolka", tajnego współpracownika SB. Oficjalny powód odrzucenia postulatu to argument, że przecież radni już kiedyś docenili Wałęsę, nadając mu tytuł Honorowego Obywatela Opola.

Po jakimś czasie Roman Kirstein, jeden z opolskich weteranów solidarnościowych, argumentując zbliżającą się 30. rocznicą wyborów, skierował do opolskich radnych obywatelski wniosek o zainstalowanie takiej tablicy i załączył propozycję tekstu na nią.

Kirstein nie dożył realizacji tego projektu (zmarł nagle 5 kwietnia 2019). Rada Miasta podjęła stosowną uchwałę i tablicę zamontowano na pl. Wolności, u podnóża pomnika Bojownikom o Polskość Śląska Opolskiego, a jej uroczyste odsłonięcie nastąpiło w słoneczną niedzielę 2 czerwca 2019 roku. Rzeczniczka prasowa prezydenta Opola Arkadiusza Wiśniewskiego w rozmowie z dziennikarzem „Gazety Wyborczej" mówiła: „Pana Kirsteina z nami już nie ma, ale uzgodnienia pozostały. Można powiedzieć, że realizujemy jego testament". Przepytywany przy pomniku Janusz Wójcik, jeden z solidarnościowych weteranów, potem dowódca skutecznej obrony woj. opolskiego przed likwidacją, a potem pełnomocnik zarządu województwa ds. kombatantów, przekonywał dziennikarską młodzież, której w 1989 r. jeszcze na świecie nie było, że to tamte wybory, choć nie w pełni demokratyczne, wyłoniły sejm, który usunął z Konstytucji RP zapis o wiecznej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, przywrócił godłu Polski koronę. To się odbyło – mówił Wójcik – głosami różnych posłów, nie tylko Solidarności: „Zaczęliśmy wtedy budować inną, wolną Polskę. Już najwyższy czas, byśmy świętowali nie tylko klęski, ale i wielkie zwycięstwa".

Korektorzy

Na pamiątkowej tablicy jest taki napis:
„Wybory 4 czerwca 1989 r. przyniosły wolność, o którą walczyliśmy przez dwa wieki, najpierw z obcą, a potem z rodzimą tyranią. Zwycięstwo kandydatów Komitetu Obywatelskiego, ludzi Solidarności, ruszyło lawinę demokratycznych przemian. Wyrwało Polskę z kajdan niewoli, zerwało żelazną kurtynę, obaliło berliński mur i przyniosło koniec komunistycznej dyktatury w Europie. Piętnaście lat później Polska dołączyła do Unii Europejskiej. W 30. rocznicę wielkiego zwycięstwa, bohaterom tamtych wydarzeń – wdzięczni opolanie".

Okazało się, że nie Kirstein był autorem tekstu na tablicy. To plon zbiorowego natchnienia podczas dyskusji w gronie kilku kombatantów, którzy uznali, że nie

warto poprosić o pomoc jakiegoś zawodowca od takich inskrypcji. Dlatego na tablicy ta archaiczna poetyka, bardziej pasująca do podziemnych biuletynów z czasu początków Solidarności, ta „rodzima tyrania" i „kajdany niewoli".

Pojawiły się też bardziej istotne zastrzeżenia do treści napisu i samego faktu zainstalowania tablicy. Ukazał się bowiem list otwarty (z datą 22 lipca 2019) do Rady Miasta Opola. Zaczynał się tak: „My, niżej podpisani przedstawiciele środowisk kombatanckich i działacze niepodległościowi, wyrażamy zdecydowany protest przeciwko umieszczeniu w dniu 2 czerwca br. u stóp pomnika Bojownikom o Polskość Śląska Opolskiego tablicy upamiętniającej 30. rocznicę przeprowadzonych w 1989 roku kontraktowych wyborów, będących rezultatem zmowy okrągłego stołu".

Autorzy listu argumentowali, że upowszechnia się fałszywy mit o rzekomym zwycięstwie polskiego społeczeństwa i dobroczynnym wpływie wybranego wtedy kontraktowego parlamentu na bieg polskich spraw. Dlatego, ich zdaniem, data 4 czerwca 1989 r. „może być jedynie świętem wyobcowanych ze społeczeństwa fałszywych, egoistycznych elit. W rzeczywistości jest to data symbolizująca zdradę ideałów wolności i bezpowrotnego zaprzepaszczenia ogromnej szansy na jej odzyskanie w 1989 roku".

W poszukiwaniu wyobcowanych elit

Jakim by okiem na ten list nie patrzeć, to według logiki autorów płomiennego protestu Roman Kirstein, czołowy orędownik zainstalowania tablicy, zwolennik ustanowienia daty 4 czerwca 1989 r. dniem święta narodowego, stanowi lokalny przykład człowieka przynależnego do „wyobcowanych ze społeczeństwa fałszywych, egoistycznych elit". A są wśród tych „egoistycznych elit" nie tylko opolskie nazwiska.

Zbigniew Bujak: „Czerwcowe wybory oznaczały również przyjęcie przez Polaków zupełnie innej strategii w walce o niepodległość. Przyzwyczajeni byliśmy, że obalamy władzę w jakimś powstaniu. Tym razem szliśmy wybierać naprawdę, bo wcześniej też bywały wybory i też do tych wyborów szło dużo ludzi, nawet niekiedy 90 proc., i wszyscy mieli świadomość, że to nie ma żadnego znaczenia. Tym razem miało".

Władysław Frasyniuk: „4 czerwca powinien być datą ważną, jak odzyskanie niepodległości. Dlatego że to jest data przełomowa, która zamyka to wielkie powstanie narodowe, powstanie Solidarności, które przyniosło sukces. Te pierwsze wybory w 1989 roku były niedemokratyczne, ale do nich poszli pierwszy raz wolni ludzie, wolne społeczeństwo i to jest niezwykle ważne w procesie budowania demokracji".

Bronisław Wildstein: „Choć wybory te nie były w pełni wolne, to okazały się one dużo bardziej znaczące, niż się wydawało, ponieważ to było totalne odrzucenie komunizmu przez Polaków. I to było najważniejsze, to zupełnie zmieniło układ. Nikt nie wiedział, że tak druzgoczące będzie zwycięstwo Solidarności".

Cały protestacyjny list skierowany do Rady Miasta Opola był opublikowany w „Śląskim Kurierze WNET" (nr 61). Według tego źródła sygnatariusze listu to: „Wojewódzka Rada Konsultacyjna ds. Działaczy Opozycji Antykomunistycznej oraz Osób Represjonowanych z powodów Politycznych w Opolu – przewodniczący Rady Bogusław Bardon; Opolskie Stowarzyszenie Pamięci Narodowej – prezes Jerzy Łysiak; Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe „Polski Śląsk" – prezes Bogusława Nabzdyk-Kaczmarek; Klub Gazety Polskiej w Opolu – z-ca przewodniczącego Wiesław Ukleja".

***

Trzy lata później Cezary Michalski w tygodniku „Newsweek" opublikował tekst zatytułowany *Osierocona rocznica*. Artykuł miał podtytuł: *Jak 4 czerwca 1989 został zagłuszony przez fałszywy radykalizm polityki historycznej PiS*. Zdaniem autora (ale nie tylko jego): „Zbyt wielu ludzi pragnie żerować na głupocie i zapomnieniu, aby ta rocznica – będąca symbolem bardzo rzadkiego w naszej historii połączenia społecznej mobilizacji, rozsądku politycznych elit i geopolitycznej koniunktury – mogła zająć w polskiej pamięci należne jej miejsce".

SŁAWOMIR CZAPNIK

POTĘGA KŁAMSTWA

Leszek Ołdak, *Wiatrak polski*

Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli – te słowa Jana Ewangelisty współbrzmią z uwagą poczynioną przez św. Pawła w jednym z jego listów, gdy pisał o *obcych dla życia Bożego na skutek tkwiącej u nich niewiedzy, na skutek zatwardziałości serca*. Od czasów Karola Marksa jasne jest, że owa niewiedza ma charakter systemowy i w epoce nowoczesnej związana jest z kapitalizmem i nieodrodną jemu alienacją, ideologią i odczłowieczeniem.

Marksistowski filozof Adam Schaff w klasycznej pozycji *Alienacja jako zjawisko społeczne* wskazuje na encyklikę Jana Pawła II *Redemptor Hominis* jako dzieło**,** w którym znalazło się rozróżnienie między alienacją obiektywną i subiektywną. Zacytujmy dłuższy fragment analizy Schaffa: św. Augustyn „tłumaczy słowo *alloiosis* po łacinie *alienatio*: mówi o *alienatio mentis a sensibus corporis*, co znaczy, że duch (*mens*) w akcie ekstazy wznosi się od świata zmysłowego ku Bogu. Ta mistyczna doktryna sił nadprzyrodzonych występuje również u Ryszarda od Świętego Wiktora (Richard of Saint Victor), znajdujemy ją również u Grzegorza z Nysy, Dionizego Areopagity i św. Bonawentury. Alienacja w tym ujęciu jest stanem pozytywnym, gdyż umożliwia osiągnięcie jedności z Bogiem. Jest to jednakże wyobcowanie się ducha ludzkiego w stosunku do człowieka".

O ile alienację i kłamstwo kojarzy się w obecnej Polsce z realnym socjalizmem, rządami monopartii, a w przypadku wielu katolików ze zgniłym Zachodem, z którego idzie wszelkie zło – nic dziwnego, bo liderzy polskiego Kościoła ukształtowani zostali przez propagandę słusznie minionego ustroju – to jednak dzisiaj mamy do czynienia z nasileniem wyobcowania i idącego z nim ręka w rękę kłamstwa, co może (powinno?) budzić zaniepokojenie znacznie większe od tych sytuacji, gdy „internet płonie" w obliczu sukcesów Igi Świątek czy kolejnej pyskówki polityków, z której nic nie wynika.

Precz z komuną

Dużo i zwykle kłamliwie mówi się o PRL-u. Przemilcza jedne fakty, wyolbrzymia drugie. Czci się na ulicach i stadionach tzw. żołnierzy wyklętych niczym kiedyś, dość marginalne, jeśli chodzi o wysiłek walki z okupantem niemieckim, jednostki partyzantki komunistycznej. Zapomina o tym, że owi wyklęci modlili się o trzecią wojnę światową, gdy przytłaczająca większość rodaków miała dość traum tej drugiej i marzyła o pokoju. Odbudowała kraj ze zniszczeń. Śmiała się i kochała. Kobiety rodziły dzieci. Ludzie, jak to ludzie, jako społeczeństwo nie chcieli zabijać ani ginąć, chcieli spokojnie żyć.

Zabawne, że gdy Czesław Miłosz, zastanawiając się, dlaczego intelektualiści popierali powojenną Polskę, wskazywał na wiele czynników, od budzących pogardę (koniunkturalizm, zaczadzenie intelektualne) po nieco bardziej szlachetne (chęć podniesienia poziomu kultury narodu) nie wskazał jednego, bardzo oczywistego: wielu ludzi po prostu uwierzyło w socjalizm. Kierowali się przy tym szlachetnymi pobudkami, których dziś może nie akceptujemy, ale i im wydawałoby się dziwne, że państwo polskie wydaje kosmiczne pieniądze na zbrojenia i jakoś mało kto widzi w tym coś niestosownego w sytuacji, gdy brak środków na edukację i leczenie ludzi. Albo że przez dekady krajem będzie rządził PO-PiS, różniący się niewiele więcej od frakcji PZPR, a może nawet mniej, czego dowodem jest przechodzenie ludzi z jednego ugrupowania do drugiego i wzajemne podkradanie sobie pomysłów.

Ciekawe i znamienne, że kultura Polski Ludowej – abstrahując od chwilami żenujących, ale koniecznych w danym klimacie propagandowym zapewnień artystów, którzy dzięki TVP zdobyli rzeszę fanów, jak to towarzysze ich sekowali, a oni zawsze byli z Narodem, że o Kościele nie wspomnę – okazała się niezwykle żywotna. Co wynikało z ideologii socjalizmu państwowego: zgodnie z ideami Marksa towarzysze widzieli w piosenkarzach, reżyserach czy aktorach demiurgów społecznych. Z tego względu było jasne, że wesołe obchody Święta Pracy wiązały się nie tylko z pochodami, na których pierwszy sekretarz witał reprezentację artystów, ale również z występami piosenkarek, wyczekiwanych przez spragniony rozrywki lud.

Nie przez przypadek Polskę, ironicznie i dwuznacznie, nazywano najweselszym barakiem w obozie wschodnim. I wiele osób, czego dowiodły wyniki wyborów po zaprowadzeniu kapitalizmu w naszym kraju, nie chciało powrotu komuny, lecz chciało, by było jak za Gierka… To, że dziś tzw. lewica szoruje po dnie sondażowym, jest w pierwszej instancji pokłosiem faktu zawiedzionych nadziei na sprawiedliwość i równość społeczną, które w jakiś pokrętny sposób zaspokaja dziś PiS.

Daje do myślenia fakt, że kiedyś plebejskie *disco polo* było obrzydzane przez liberalne elity jako związane z „postkomuną", a za rządów PiS Zenek Martyniuk, wesoło nucący o „oczach zielonych", przez które „oszalał", bratał się z Jackiem Kurskim, czołowym propagandystą, za którego czasów TVP była szczujnią porównywalną już chyba nawet nie ze stanem wojennym, lecz może raczej obrzydliwą kampanią antysemicką Marca 1968.

Dialog i polilog

Warto rozmawiać. To nie ulega wątpliwości. Każdy ma swoją historię. Każdy może wnieść coś wartościowego do świata wokół siebie. Jedni mniej, drudzy więcej. Nikt z rozmowy nie powinien być wykluczony, choć zgodnie z paradoksem tolerancji, trzeba ustawić tamę przeciwko pewnym ideom, które czynią nas i realia wokół nas jeszcze bardziej podłymi, niż były one uprzednio. Wyśmiewanie innych, gardzenie nimi, a nawet nienawiść i agresja słowna i fizyczna, to przemawianie do argumentu siły, a nie siła argumentów. W demokratycznym świecie dialog, a raczej polilog, czyli rozmowa wielu, to nie kwestia drugorzędna, lecz coś, od czego zależy przetrwanie naszego gatunku, niszczonej planety, na której życie staje się dla milionów, a lada chwila miliardów ludzi nie do zniesienia.

Sztuka polilogu jest w zaniku. Im bardziej świat jest kolorowy, zróżnicowany, głośny, niejednoznaczny i hałaśliwy, tym więcej osób szuka jakichś sposobów na – jak by powiedział Erich Fromm – ucieczkę od wolności. A każdy, kto nie ma czego do gara włożyć i nie jest w stanie żyć godnie, zdaje sobie sprawę, że ten system mu nie służy. A ci, którzy szczują na tych, co noszą inne szaliki klubowe, są ateistami, jehowitami czy słuchaczkami Radia Maryja, pochodzą ze wsi lub małych miasteczek albo centrów wielkomiejskich, mają inny kolor skóry, chcą go tylko utrzymać w stanie zależności i podporządkowania swoim małym – a niekiedy całkiem wielkim, liczonym w miliardach euro, dolarów czy złotych – interesom.

Coraz więcej ludzi w Polsce, a także wielu innych krajach świata, odnosi wrażenie, że ich głos się nie liczy. Że prawa człowieka kończą się przy wejściu za bramę fabryki lub w gmach biura czy sklepu. Że nikt ich tak naprawdę nie reprezentuje, że są przedmiotem, a nie podmiotem. Doskonale obrazuje to nieprzyzwoita chwilami krytyka tzw. pokolenia Zetek. Widzą one, że ich rodzice i dziadkowie zafundowali im świat, który jest pełen niesprawiedliwości, że nie mieli dla nich czasu. Zetki chcą się bawić, poznawać świat, nie zaharowywać się. Pożyć jak ludzie, rozwijać swoje pasje, robić coś wartościowego.

Te ludzkie potrzeby są krytykowane przez ludzi pokroju prawnika i „demokraty" prof. Marcina Matczaka (prywatnie ojca rapera Maty), chwalącego trzy lata temu pracę 16 godzin dziennie. W sumie Matczak był i tak łaskawy – w stalinowskich Gułagach pracowano niekiedy nawet dłużej, więc faktycznie jako liberał dał się poznać jako twarz „uśmiechniętej" Polski.

Sprawy zaszły za daleko

Zwykło się kojarzyć pojęcie kryzysu z czymś negatywnym, na myśl przychodzi Wielki Kryzys, a także – dla

wielu osób ważniejszy i boleśniejszy – kryzys formy strzeleckiej Roberta Lewandowskiego, który jest rozpatrywany z pieczołowitością godną lepszej sprawy. Ale patrząc etymologicznie i historycznie, kryzys to czas przesilenia, w którym decyduje się los w chorobie. Albo człowiek zdrowieje, albo żegna się z tym światem. I człowiek (tzw. kryzysy rozwojowe) i społeczeństwo rozwijają się poprzez kryzysy, gdy pewne sprzeczności stają się nierozwiązywalne i konieczne jest wejście na wyższy poziom, które – powiedzmy wprost – grozi też ześlizgnięciem się w otchłań, a niekiedy unicestwieniem.

Pamiętam z młodych lat jakąś manifestację, zdaje się w obronie pielęgniarek. Protestując w słusznej sprawie, zastanawialiśmy się, jakie hasła skandować. Ktoś powiedział, że jest idealne i uniwersalne hasło, które było słuszne dwie dekady temu, jak i jest teraz: *Sprawy zaszły za daleko*.

Jeśli uważamy, że świat wokół nas nie jest sprawiedliwy, to trzeba stanąć w prawdzie i powiedzieć sobie wprost: czas półśrodków się skończył. Wiara, że coś zmienią kolejne czołgi dla armii, znęcanie się nad uchodźcami, nakrętki przytwierdzane do plastikowych butelek, awantury o pigułkę „dzień po" (kolejny dowód na wrogość wobec Polek, niemogących decydować o własnym ciele) czy tzw. zielony ład (czy walka z nim, to bez znaczenia) jest czystej wody absurdem.

Nie leczy się poważnej choroby tzw. pozytywnym myśleniem czy braniem lewoskrętnej witaminy C. Im dłużej będziemy zwlekać, tym bardziej – jak by powiedział Leszek Balcerowicz – potrzeba nam będzie terapii szokowej. W skali kraju, ale i całej planety, bo już Immanuel Kant wywiódł z kształtu Ziemi, że koniec końców czeka nas wspólny los. Czy dobry, czy zły – to już inna sprawa…

Nadzieja, że dzwonkiem ostrzegawczym będzie pandemia COVID-19, okazała się płonna. Stroniąc od ekstremizmu, czas na radykalizm, czyli sięganie do korzeni problemu. Bo inaczej już niedługo zaczniemy sobie zadawać pytanie, dlaczego nasza polityka i życie społeczne przez dziesięciolecia przypominały przestawianie krzeseł na Titanicu.

BARBARA STANKIEWICZ

CZŁOWIEK, KTÓREMU NIE NALEŻY ŚPIEWAĆ „STO LAT"

12 maja br. opolski architekt, długoletni współpracownik „Indeksu" Andrzej Hamada obchodził swoje 99. urodziny. Przypomnijmy niezwykły życiorys tego znanego wielu opolanom pogodnego, ciekawego świata gawędziarza, obdarzonego dużym poczuciem humoru i wielką życzliwością dla bliźnich.

Janina i Grzegorz Hamadowie z córką Hanią we Wrzeszczu

Okno na trzecim piętrze. Przy parapecie pochylony nad kartką papieru chory na szkarlatynę Andrzej. I nowe kredki, prezent od mamy na dziesiąte urodziny: *rysuj, ćwicz, bo może zostaniesz inżynierem?* Urodziny są dziś, 12 maja 1935 roku. Za oknem Gdynia. Na jednym z domów pojawia się polska flaga spuszczona do połowy masztu. *Mamusiu, flaga się zepsuła!* Tak zapamiętał dzień, w którym zmarł marszałek Józef Piłsudski.

Wybuch wojny też narysował, w kieszonkowym kalendarzyku na 1939 rok. Zaczął 3 września, w niedzielę, i tak przez całą podróż z Krakowa do Stanisławowa (luxtorpedą! Jakaż to była atrakcja dla czternastolatka!), bo polska dyrekcja kolejowa, w której pracował jego tato, razem z rodzinami ewakuowała się na wschód. Na kolejnych kartkach kalendarzyka płonie dworzec, konwojent z karabinem wychyla się z jadącego pociągu, a niebo jest czarne od bombardujących samolotów. Są też zapiski Andrzeja. O tym, że pociąg ciągle się zatrzymywał, że pod Trzcianą 14 razy musieli uciekać w kartofle i kukurydzę. I że pod Tarnowem zgubiła się mama, tato został, żeby ją odszukać, a Andrzej z siostrą pojechali dalej sami. W Zimnej Wodzie, w domu dalekich krewnych Wolańskich, rodzina była już w komplecie – co widać na kolejnym rysunku. Po wojnie mieli okazję odwdzięczyć się wujostwu za tę gościnę – Wolańscy pomieszkują u nich, w Krakowie, jako repatrianci z Ukrainy.

A w Opolu, dziesięć lat temu, w redakcji „Indeksu", Andrzej Hamada pozna nauczyciela akademickiego, dydaktyka fizyki Wojciecha Dindorfa i wykrzyknie: *W Zimnej Wodzie chodziliśmy do Dindorfa, do kooperatywy, po pieczywo!* Po czym się okaże, że kupowali chleb u stryja Wojciecha Dindorfa, Leopolda Dindorfa (restauracja z salą taneczną, kręgielnia, bilard, a na zapleczu sklep spożywczy), w którego domu, na piętrze ukrywała się zbiegła z Warszawy Żydówka, później znana aktorka Krystyna Feldmanówna.

Kolejne rysunki, przechowywane w dwóch grubych albumach, to szkolne prace 17-letniego Andrzeja, ucznia trzyletniej Państwowej Szkoły Budowlanej w Krakowie przy ul. Dietla 17, a później, już po wojnie, uczestnika kursu rysunkowego na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych.

W grudniu 1942 r., jako praktykant budowlany (z pensją 300 zł miesięcznie) w Przedsiębiorstwie Budowlanym i Biurze Architektonicznym Franciszek i Maksymilian Peterek, Kraków, św. Krzyża 10, zapisze w prowadzonym przez siebie dzienniku, że właśnie czyta *Młodzieńca z charakterem* Totha, na kolację wigilijną (*z przedwojennym przepychem, w czwartym roku wojny!*) składał się:

Andrzej Hamada w swojej pracowni (fot. Roman Hlawacz)

barszcz z uszkami, karp smażony, pierogi z kapustą, kompot ze śliwek, ciasteczka i makowiec, po kolacji mama gra na fortepianie. 12 stycznia 1943 r. przed pójściem spać naprawiał kalesony: *ścieg taki wygląda podobnie jak fresk, a do tego kieruję się zasadą, by białe kalesony szyć czarną nitką, co dodaje im życia.*

Słowo *Niemiec* pisał małą literą.

Był wśród tych rysunków i rysunek szczególny, choć tylko szkolny, a w dodatku techniczny. Przedstawiał wiązania murów – praca domowa Andrzeja, w trzecim roku wojny ucznia Państwowej Szkoły Budowlanej (Gewerbeschule, oddział Hochbau przy ul. Dietla 17 w Krakowie). Rysunek uratował mu życie.

Mieszkali wtedy w Podgórzu przy ul. Limanowskiego 18, w pożydowskiej kamienicy, bo Żydów wyeksmitowano już do getta. Noc, rodzice już śpią, mała lampka świeci, Andrzej siedzi pochylony nad deską kreślarską (prezent od szefa Peterka, ma ją do dziś). Na desce mapa Niemiec, na którą nanosi wszystkie obozy jenieckie z podziałem na oflagi i stalagi. Zlecenie od Armii Krajowej, przekazane za pośrednictwem pomagającego akowcom szefa Peterka. Kiedy do pokoju wpadli żandarmi (tzw. sztrajfa, czyli patrol), zwabieni światłem zza nieszczelnych zasłon, zdołał szybkim ruchem odwrócić deskę. Ujrzeli niewinny szkolny rysunek pokazujący, jak powinno się wiązać mury.

Osiemdziesiąt lat później z pudełeczka po papierosach grunwald, które kiedyś palił, a których od dawna nie produkują, ostrożnie wyjmie starannie złożoną biało-czerwoną opaskę. Na niej litery: W.P., okrągły stempel z orzełkiem i napis: „AK Żelbet Kraków". Pseudonim konspiracyjny: Kumala. Tak kiedyś odczytał jego nazwisko jakiś Niemiec.

Akowska opaska, którą nazywa swoim najcenniejszym skarbem, leży od lat w szufladzie jego biurka, choć okazji do jej eksponowania, choćby podczas uroczystości państwowych, nie brakuje.

Do rysowania wrócił dopiero na emeryturze w 1988 r. w podparyskim ogrodzie Kasi, swojej córki, który uwiecznił czarną kreską. Przypomniały mu się wszystkie wskazówki jego krakowskich i gdańskich nauczycieli: profesora Władysława Lama, adiunkta Aleksandra Kobzdeja... Po powrocie do Opola usiadł w amfiteatrze: za bezlistnym drzewem rozpychała się Wieża Piastowska. Tak rozpoczął cykl rysunków opolskiej architektury z motywem drzew, publikowany m.in. w opolskiej „Gazecie Wyborczej". Później podejmie stałą, wieloletnią już współpracę z uniwersyteckim „Indeksem".

Bocianie Gniazdo

Ojciec Grzegorz urodzony w Nehrybce pod Przemyślem, w rodzinie kolejarskiej, zaczynał pracę jako telegrafista. Po wojnie jako szef komisji międzyministerialnej reprezentował polską kolej na konferencjach w Atenach i Salzburgu. W 1922 r. wraz ze świeżo poślubioną 18-letnią krakowianką Janiną Czuszkiewicz (był od niej starszy o piętnaście lat) wyjechał do Wolnego Miasta Gdańska, gdzie tworzyła się polska dyrekcja kolejowa, uruchamiać ruch towarowy dla Gdańska i budującego się portu w Gdyni. I odtąd przemieszczali się po Polsce. Córka Hania urodzi im się w ostatnim dniu 1923, a dwa lata później, pod dachem kliniki Storchennest, ozdobionym żelazną chorągiewką z bocianem (stąd nazwa kliniki: Bocianie Gniazdo), przyjdzie na świat Andrzej. (Po latach dowie się, że w tej samej klinice przyszła na świat jego żona, o której nie mówi inaczej, jak tylko „moja Hanusia").

Zamieszkali we Wrzeszczu, na Heeresanger 11c: dwa długie domy, między nimi boisko sportowe „Gedanii", kościół św. Stanisława z księdzem Bronisławem Komorowskim (dziś we Wrzeszczu jest plac jego imienia), gmach Polskiej Macierzy Szkolnej (tam mieściła się dwuklasowa polska szkoła). Tu kończyła się Polska. Po latach dowie się, że w tym czasie, po tych samych gdańskich ulicach, biegał jego rówieśnik, uczeń niemieckiej szkoły – Günter Grass.

Atmosfera w Gdańsku gęstnieje. W 1932 r. hitlerowskie bojówki biją przechodniów, którzy nie podnieśli ręki w geście pozdrowienia. Nie podnosili Polacy. Było ich w Gdańsku coraz mniej. Wyjeżdżają i Hamadowie. Do Tczewa, na ul. Sambora 20, mieszkanie u pani Wessel (po latach dowie się, że w tym czasie w Tczewie, na sąsiedniej ulicy mieszkała też jego przyszła żona Hanusia). Tu okazało się, że Polska to jest brak Niemców na ulicach, dużo kolegów, z którymi może do późna jeździć na lodowisku (łyżwy na blaszki, oczywiście) i grać w jojo. Rodzice mniej czujni, a w szkole nie ma już rysika, tylko ołówek, pisze się maczaną w atramencie obsadką – stalówka ma krzyżyk albo kulkę.

Po roku wyjeżdżają do Gdyni, gdzie ojciec dostał posadę kierownika biura portowego w utworzonym właśnie Biurze Obsługi Kolejowej. Mieszkanie blisko dworca, Podjazdowa 6. Tu, jako dziewięciolatek, pucuje bez końca buty, czyści harcerski mundurek i prasuje chustę przed defiladą z okazji Święta Morza. Maszerujących w idealnie równym szyku harcerzy oklaskuje sam prezydent Ignacy Mościcki. Rok później, wymęczony szkarlatyną, dojrzy z okna spuszczoną na znak żałoby flagę. Niedługo potem ruszą, znów za ojcem, do Radomia.

Statek idzie, pociąg leci

Z Gdyni do Radomia jadą salonką: sypialnie, salonik z kredensem, kuchenka. Z konwojentem, który sprząta i parzy herbatę. Mieszkanie przy Moniuszki 6a jest jeszcze nieprzygotowane, przez dwa tygodnie mieszkają w salonce, ustawionej na bocznym torze. W szkole „Oświata" im. Marszałka J. Piłsudskiego, przy ulicy Piłsudskiego (prywatna szkoła pani Ettinger), Andrzeja gonią pełne podziwu szepty: *To ten, co mieszka w wagonie!*

Później, już w Krakowie, szepcą: *To ten, co ma sześciolampowe radio, superheterodynę!* Telefunken stał na specjalnym stoliku w jadalni, miał gałki, których dzieciom nie wolno było dotykać, i wajchę w oknie, wyłączającą antenę w czasie burzy. W 1938 r. z ojcem słuchali transmisji rozgrywanego w Stuttgarcie meczu Polska-Brazylia, z Wilimowskim, Leonidasem i Niagarą. Remis 4:4, *przegraliśmy w dogrywce*. Leonidas, pamięta, zgubił w błocie buty, *strzelał nam bramki na bosaka*.

Ale na razie jest Radom, szkoła pani Ettinger. Czerwony ze wstydu Andrzej po raz pierwszy w życiu wpisuje się do pamiętnika niejakiej Witkowskiej: *Bądź dobrą Polką zawsze i wszędzie, a każdy Polak kochać cię będzie*. Jest harcerzem w stopniu młodzika, legitymacja nr 462. A w 1936 r. kibicuje Kusocińskiemu, Konopackiej i Wajsównie, sportowcom, którzy reprezentują Polskę na olimpiadzie w Berlinie – aktualne wyniki widać na tablicy ustawionej przy ul. Moniuszki. Po czym jedzie z rodzicami do Krakowa sypać Kopiec Józefa Piłsudskiego.

Rok później znów podróż salonką, i znów Kraków. Tym razem na dłużej, bo awansowanego ojca przenieśli tu do pracy. Adres: Blich 6, trzecie piętro, cztery pokoje, z okien widać nasyp i tory kolejowe. Andrzej zastanawia

Janina Hamadowa z dziećmi: Hanią i Andrzejem

się, dlaczego marynarze, których pamięta z Gdyni, mówili: *statek idzie*, a kolejarze mówią: *pociąg leci*.

Do wojny jeszcze dwa lata. Zdaje egzamin do VIII Gimnazjum im. Witkowskiego w Krakowie, w nagrodę rodzice kupują wymarzony rower (niedługo go ukradną, ale na razie się cieszy). W domu jest służąca Helcia, sześciolampowe radio, a wieczorami mama gra na fortepianie motywy z Griega. Andrzej jest zagorzałym szachistą (na studiach zdobędzie tytuł wicemistrza Gdańska), a wieczorami kibicuje rodzicom podczas brydża rozgrywanego w salonie przy stoliku, który dziś stoi w jego opolskim mieszkaniu (późna secesja wiedeńska, ręczna robota), kolekcjonuje znaczki i składa modele samolotów (zdobywa mistrzostwo Krakowa w kategorii „belkowców"). Na basenie w Łobzowie spotyka aktora Adolfa Dymszę, a na „Zemście" w Teatrze Słowackiego oklaskuje Ludwika Solskiego i strzela kaszą ze szklanej rurki do dziewczyn.

Latem 1939 r., po skończonej II klasie gimnazjum, Andrzej jedzie z ojcem na Wileńszczyznę. Pływają kajakiem po Okmianie i jeziorach trockich, klęczą przed Ostrą Bramą, jedzą precle na Tatarskiej w Wilnie.

Niemcy napadają na Austrię i Czechosłowację. Ogromny „termometr" na krakowskim Rynku pokazuje temperaturę patriotycznych uczuć mieszkańców: ile złotych w złocie, pieniądzach i precjozach przekazali na skarb szykującego się do wojny państwa. Pod koniec sierpnia Andrzej z mamą wyjeżdżają do Zakopanego. Słońce, leżaki, szachy i spory dorosłych o to, czy będzie wojna. Są jedynymi turystami, którzy w ostatnim tygodniu sierpnia 1939 r. wchodzą na Giewont. Dworzec jest pełen podróżnych, pociągi przepełnione. Wojna wisi w powietrzu.

Landesdorfer, kiedy przestaniesz być zasrańcem!
Pierwszych Żydów, jako dziecko, widział w Radomiu. W długich chałatach, w jarmułkach, z pejsami, gromadzili się przed budynkiem sejmiku na Moniuszki – trwał proces dotyczący wydarzeń w podradomskim Przytyku (9 marca 1936 r. doszło tam do starcia między Polakami a Żydami).

Nazwisko kolejnego Żyda, ucznia tej samej co on klasy, zapamiętał dobrze za sprawą profesora Momota (biologia), który pastwił się nad tym jedynym w klasie Żydem, wykrzykując: *Landesdorfer, gdzie twój kajet, gdzie książki? Kiedy ty przestaniesz być zasrańcem!*

Pierwszą opaskę z niebieską gwiazdą Dawida ujrzał na ramieniu znajomego babci Czuszkiewiczowej, krawcowej (*Salon Sukien Damskich* przy ul. Garncarskiej, taki napuszony szyld kazała wymalować Andrzejowi), u której zamieszkali po powrocie z Zimnej Wody. Szesnastoletni wówczas Andrzej zapamięta, że ten znajomy babci zaraz za progiem zdejmował opaskę, siadał, płakał, po czym wracał do getta.

Był rok 1941. Na krakowskich ulicach jeszcze widywało się Żydów, oczywiście z opaskami na rękawach. Potem nie wolno im było jeździć tramwajami (*Niestety, wielu Polaków aprobowało te zmiany*). Wkrótce całą dzielnicę Kazimierz wysiedlono do getta na Podgórzu, a później do obozu w Płaszowie. Polaków z lepszych dzielnic, w tym rodzinę Hamadów – do zwolnionych przez Żydów mieszkań na Podgórzu. Początkowo z okien mieszkania na Limanowskiego widzieli martwe, jakby wyludnione getto. Wyludnione, bo chodnik był już za zasiekami, a Żydzi mieli zakaz zbliżania się do okien. Widać ich było z okien tramwaju, tory przecinały środek getta i pl. Zgody. A później Żydzi zniknęli z miasta.

Ponownie zobaczył ich w Płaszowie. Był już pracownikiem krakowskiej firmy budowlanej „Franciszek Peterek i Maksymilian Peterek Syn", która wygrała właśnie przetarg na budowę murowanej łaźni dla Żydów osadzonych w Zwangsarbeitslager w Płaszowie. Obóz był jeszcze w budowie, którą zajmowali się architekci, teraz więźniowie, m.in. inżynierowie Ständig, Maksymilian Goldberg, Krakauer. Kierownikiem budowy był inż. Zygmunt Grünberg (w Krakowie do dziś stoją kamienice zaprojektowane przez niego przed wojną), który z płaczem pokazywał *inżynierowi Hamadzie* swoje posiniaczone od pejcza plecy. (*Panie inżynierze* – tak go tytułowano, mimo że rok wcześniej, jako praktykant w firmie instalacyjnej Müller-Jędrzejowski, słyszał nieustannie: *Hamada! Majzel, młotek i na drugie piętro kuć szlica!*).

Płakał i niewysoki, nieśmiały inżynier Ständig, któremu Andrzej przemycił do obozu bochenek chleba. To właśnie Ständig podarował mu wtedy nulkę, czyli zerownik, cyrkiel, którym robi się milimetrowe kółeczka.

Nulka Ständiga leży dziś w szufladzie biurka emerytowanego architekta inż. Andrzeja Hamady.

Z obozu często wynosił listy, a raz nawet na prośbę jednego z więźniów przemycił cenny angielski płaszcz dla mieszkających w Krakowie krewnych właściciela.

Przemycali i murarze. Chleb, cukierki dla dzieci, mydło – za produkowane w obozie wełniane skarpety. Na przemycie kawałka mydła Niemcy nakryli murarza Rozpędzika. Z murarza w jednej chwili stał się więźniem – widzieli go z daleka, w obozowym pasiaku. Dwa tygodnie, też w polskiej części obozu, spędził i ojciec Andrzeja, wyciągnięty z domu podczas słynnej, wielokrotnie opisywanej niedzielnej łapanki w mieście (Andrzeja uratowała wódka, którą w tym czasie pił na Płaszowskiej, u majstra Franciszka Dyny).

Często widzieli i komendanta obozu Amona Götta, postrach Płaszowa. Byli świadkami, jak zastrzelił panią inżynier, Żydówkę, bo zawaliła się jedna z wymurowanych ścianek.

Tę scenę, wiernie odtworzoną, zobaczył ponownie po kilkudziesięciu latach w nieistniejącym już opolskim kinie „Odra". Film *Lista Schindlera* obejrzał jako gość ówczesnego właściciela kina Zenona Kramera. *Znałem Schindlera*, powiedział Kramerowi. Właściciel „Odry" miał tylko jedną prośbę: żeby po projekcji opowiedział mu, czy film jest prawdziwy. *Był bardzo prawdziwy*.

Orżnęliśmy Schindlera!
Baraki w elementach, składane później jak puzzle, Niemcy zaczęli produkować w czasie wojny pod Berlinem. W obozie w Płaszowie Żydzi montowali je sami. Tak powstawały kolejne męskie i żeńskie baraki. Kolumny ludzi w pasiakach codziennie ruszały z nich do pracy, m.in. do kamieniołomów oraz do oddalonej o kilka kilometrów od obozu fabryki (*Deutsche Emailwaren-Fabrik*) Oskara Schindlera. Przed wojną produkowała wyroby emaliowane, głównie garnki, w czasie wojny – naczynia emaliowane dla potrzeb wojska. Żyd był za darmo, a Schindler kierował się ekonomią (co nie zmienia faktu, że uratował swoich pracowników od śmierci), więc martwiło go, że ten Żyd dociera do fabryki na Podgórzu zmęczony drogą. Tak pojawił się pomysł wybudowania przy fabryce baraków dla robotników w obozowych pasiakach.

Grzegorz Hamada z Hanią i Andrzejem sypią Kopiec Józefa Piłsudskiego (Kraków-Sowiniec 1936 r.)

Był rok 1944, kiedy do pracy przy tej budowie zabrała się firma „Peterek": fundamenty, instalacje, składanie elementów. Ustalono cenę i termin oddania baraków. Ale Schindlerowi się spieszyło, wymyślił więc, że roboty pomocnicze mogą wykonywać Żydzi. Robota przyspieszyła. Kiedy przyszło do rozliczeń, Schindler był bezwzględny: zażądał, żeby od ustalonej kwoty odliczyć wartość pracy żydowskich pomocników.

Wybrali się do Schindlera z Maksymilianem Peterkiem jego czarnym oplem, Peterek walczy jak lew, Andrzej asystuje. Ludzie Schindlera żądają dziennika budowy: ilu ludzi na każdym z etapów pracowało na budowie. *Kto by wtedy dziennik budowy prowadził! Nakłamałem, że przywiozę, bo jest w biurze.* Razem z szefem tworzyli ten dokument przez całą niedzielę, trzymając się zasady: *jak najwięcej naszych, jak najmniej Żydów.* Kolejna narada u Schindlera. Utargowali nową cenę, niemal o połowę niższą jednak od wyjściowej. Wracają w ciszy, nagle uradowany Peterek klepnął go w kolano: *Panie Hamada, i tak ich orżnąłem!*

Wśród pamiątek z tego okresu ma do dziś oryginał upoważnienia do odbioru pieniędzy od firmy Schindlera – dla firmy „Franciszek Peterek i Maksymilian Peterek Syn, Przedsiębiorstwo Budowlane i Biuro Architektoniczne".

Kilkadziesiąt lat później też pracował dla niemieckiego inwestora. To była jedna z jego ostatnich prac projektowych: konsulat niemiecki w Opolu. *Ein Architekt baut Versöhnung mit. Architekt polsko-niemieckiego pojednania* – tak zatytułował rozdział poświęcony Andrzejowi Hamadzie Manfred Gerwinat, pierwszy konsul RFN w Opolu, w swojej książce wspomnieniowej.

Klucz do Sukiennic

Kiedy pracował w firmie „Franciszek Peterek i Maksymilian Peterek Syn" (40 cieśli i parę osób w biurze, m.in. budowniczy Nedela, urzędnik Kazimierz Kotowski i współwłaściciel firmy, majster ciesielski Franciszek Pokluda, czeski Niemiec) zmieniali m.in. więźbę dachową i podłogi na Wawelu w skrzydle adaptowanym dla gubernatora Hansa Franka (ulubiony żart Andrzeja Hamady: *jak naplułem z Wieży Mariackiej na przejeżdżającego przez krakowski Rynek Hansa Franka*). Tę ich robotę można podziwiać na Wawelu do dziś.

Rok 1947, Gdańsk. Andrzej i jego przyszła żona Hanna

Budowali i fabrykę octu w Mszanie Dolnej, stajnie dla SS, wykonywali prace dla Miejskiego Zarządu w Krakowie, na przykład dekoracje na uroczystości (maszty w Rynku, tzw. londyny, w których mocowano niemieckie flagi). Ale Peterek zastrzegł w umowie: flag nie będziemy wieszać. I bardzo tego przestrzegali.

Montowali też stelaże w Sukiennicach, gdzie na piętrze Niemcy często organizowali różne wystawy. Był rok 1943, pod Stalingradem toczyła się krwawa bitwa, niemieckie gazety z dumą donosiły o kolejnych sukcesach na rosyjskim froncie. Tego dnia robotnicy, którym 19-letni Andrzej codziennie otwierał Sukiennice powierzonym przez Niemców kluczem, zauważyli, że za kotarą leży sterta pogniecionych paczek pocztowych. Z niektórych wysypały się papierosy, chleb... Na wszystkich ten sam adres: Stalingrad. Niedoręczone paczki do walczących pod Stalingradem żołnierzy niemieckich. W taki sposób dowiedział się, chyba jako pierwszy Polak w Krakowie, o klęsce Niemców pod Stalingradem.

[A klucz do Sukiennic miał jeszcze do niedawna – oddał go dyrektorowi Muzeum Narodowego w Krakowie podczas pobytu w tym mieście w 2021 roku. Towarzyszyła mu wtedy ekipa filmowa – trwały zdjęcia do filmu *Tytan* (reż. Maciej Marciński). Tytułowym tytanem jest Andrzej Hamada].

Pamięta też dokładnie i nauki swojego pierwszego szefa, Maksymiliana Peterka, człowieka z ogromnym tupetem, spryciarza z szerokim gestem (dostał od niego czarne spodnie w prążki, ściągał je paskiem, bo szef był tęgawy). Na przykład o tym, jak ma sobie radzić z urzędnikami. *Wchodzi pan, panie Hamada, do urzędu i co pan widzi? Długą salę, na końcu biurko, za którym siedzi wielki pan. Im dłużej pan do niego idzie, tym większy on się robi, a pan maleje. Więc musisz pan trzasnąć drzwiami, iść zamaszyście, krzesełko przytulone do biurka ostentacyjnie odstawić i siąść, zakładając noga na nogę. Wtedy on zmaleje, a pan urośnie!*

Nauki szefa nie poszły w las. Nieśmiały Andrzej zaczął „peterkować". Mało brakowało, a (już po wojnie) za bezczelność wyrzuciliby go z kursu przygotowawczego (matematyka) na Politechnikę Gdańską, mimo że materiał opanowany miał znakomicie. Przepraszał też metodą „na Peterka", kłaniając się bardzo nisko.

Do biurka Karola Musioła, w Opolu lat sześćdziesiątych, nie trzeba było iść *na Peterka, długo i zamaszyście* – zakochany w swoim mieście burmistrz Musioł sam zaczepiał architektów: bo o Opolu miało być w Polsce głośno. Szczerze mówiąc, Andrzej Hamada, magister inżynier architektury po Politechnice Gdańskiej, czasem krył się, widząc go na ulicy. Bo takie spotkanie groziło kolejnym zleceniem: *Mam taki pomysł, zróbcie mi tylko taki mały szkicek.* Na przykład – *szkicek* nowoczesnych delikatesów na Krakowskiej (pierwszy taki duży sklep w Opolu, jeden z najnowocześniejszych w kraju, projekt Andrzeja Hamady i Jakuba Schroetera), albo sali konferencyjnej, przylegającej do gabinetu Karola Musioła, z widokiem na

wschodnią stronę miasta (też we współpracy z Jakubem Schroeterem).

Sala miała być w kolorach Opola: biały sufit, ściany złote, na podłodze błękitne gumoleum, wówczas krzyk mody. Schroeter zajął się projektowaniem mebli, żyrandol zaprojektował Marian Nowak. Godzinami mieszali farby, żeby uzyskać idealny złoty kolor, w końcu robotnicy zabrali się za klejenie butaprenem błękitnego gumoleum.

Rano w biurze Andrzeja Hamady rozdzwonił się telefon: wybuch zniszczył salę w Ratuszu. Ani śladu po złotych ścianach, wszystko czarne, narzędzia zwęglone, okien i drzwi nie było, wyleciały z futryn. Sekretarkę w pokoju obok wybuch przesunął wraz z biurkiem. Robotnicy trafili do szpitala. Bo ten dzień pracy zaczęli, jak zwykle, od papierosa – a powietrze było gęste od butaprenowych gazów. Karol Musioł na to: *Nie martw się, chłopecku, odbudujemy.* I odbudowali: złote ściany, biały sufit, błękitne linoleum...

I jeszcze jeden urzędnik zapisał mu się w pamięci: pan Kazimierz Kotowski w firmie Peterka. Pierwszy urzędnik, jakiego spotkał, rozpoczynając tam pracę w 1942 roku. Kotowski siedział za biurkiem, pisał coś w skupieniu, co jakiś czas odbierał telefony, informując po niemiecku, że szefa nie ma, załatwiał jakieś ważne sprawy, znów chwytał pióro, pisał... *Ależ on pięknie urzęduje!* – podziwiał 17-letni Andrzej. Kiedy już się bliżej poznali, Kotowski przyznał, że wtedy z nudów ćwiczył swój podpis.

Kilkanaście lat później, w Opolu, już jako magister inżynier architektury, *pięknie urzęduje* i Andrzej Hamada. Ale też z powodu tego urzędowania cierpi. Bo architekt powinien pracować przy desce. Dlatego dużo projektuje prywatnie, m.in.: sklep „Wawel" i sklep „Otmętu" w Opolu, koncepcję odbudowy Zamku Piastów Śląskich w Brzegu (pracowali przy tym razem z Jerzym Pomianowskim), wnętrze hali „Gwardii" (wystrój, kawiarnia na piętrze, ozdobiona płaskorzeźbą Adolfa Panitza i hol), izba pamięci Federacji Związku Młodzieży Socjalistycznej w Młodzieżowym Domu Kultury (Marian Nowak wyrzeźbił wielką głowę Janka Krasickiego), opolskie sklepy „Śnieżka" i „Raj Dziecka".

Dear friend **Picasso**

Na 19. urodziny Andrzej dostaje prezent od Krysi, którą poznał w kawiarni, a później spotkał na kursie rysunku w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych: rękawiczki z norweskim wzorem. Rosyjskim *sałdatom*, którzy pojawili się w Krakowie w styczniu, też się spodobały: *Pan, dawaj!* (z akcentem na drugie „a"). Rękawiczki obronił, ale znajomość z Krysią, której marzył się ślub, nie przetrwała rozłąki – bo wkrótce Andrzej wraz z ojcem (rodzice są po rozwodzie) ruszają do Gdańska. Tam kurs przygotowawczy, gdzie „peterkował", a potem studia na Wydziale Architektury Politechniki Gdańskiej, które rozpoczął w granatowej czapce z czarnym daszkiem i biało-czerwonym herbem Gdańska na otoku (specjalnie wystawiał ją na słońce, takie spłowiałe nosili starsi studenci). I zajęcia ze znakomitymi profesorami przedwojennych uczelni ze Lwowa i Wilna. Byli wśród nich profesorowie: Marian Osiński – dziekan Wydziału Architektury, Władysław Czerny, Stanisław Obmiński, Feliks Markowski, Witold Minkiewicz, Jan Borowski, Stanisław Różański, Władysław Lam, Franciszek Otto (asystent słynnego prof. Kazimierza Bartla ze Lwowa), Włodzimierz Prochaska, Marian Pęczalski, asystenci: Witold Majewski, Śramkiewicz, Kałędkiewicz...

I Aleksander Kobzdej, adiunkt, uczył ich malarstwa (*bardzo przyzwoicie*), jeden z pierwszych w Polsce socrealistów. Zaskoczył kiedyś wszystkich obrazem *Chirurg*, jak najbardziej Picassowskim: ni to człowiek, ni to stwór z olbrzymim lancetem. Pod wpływem tego kobzdejowego chirurga, „picassuje" i student Andrzej. Jajowatą, wykrzywioną bólem zdeformowaną twarz, opatrzoną tytułem *Ból zęba*, wkłada do koperty i adresuje: *Picasso, Paryż*. W liście, rozpoczynającym się od słów: *Dear friend*, prosi mistrza o opinię. Mistrz nie odpisał. Notatki z historii architektury, z podpisem profesora Borowskiego i oceną *bardzo dobrze* wpisaną na ostatniej stronie, ma do dzisiaj i często z nich korzystał, pisząc teksty o architekturze Opola, m.in. w „Indeksie", wygłaszając prelekcje radiowe (opolanie mogli słuchać jego opowieści w cyklu audycji red. Barbary Tyslik) oraz wykłady dla słuchaczy Uniwersytetu III Wieku i telewidzów.

W Gdańsku, zaraz na początku studiów, pojawiła się Hanusia. Pozostanie z nim na zawsze, przez ponad pięćdziesiąt lat.

Swoją przyszłą żonę wypatrzył w gdańskiej cukierence „Słoneczko". Okazało się, że z koleżanką mieszka , tak jak on, przy ul. Batorego – Andrzej z ojcem pod nr 7 (pokój wynajęty u państwa Cholewów; później przenieśli się do Rubczaków przy Wojska Polskiego, tam ojciec mieszkał do śmierci, a zmarł w wieku 99 lat, w 1997 r., mama w 1984). A Hanusia z koleżanką mieszkały naprzeciwko, pod dziesiątką. Spacery, kino, koncerty w filharmonii, potańcówki w „Bratniaku", bale w Szkole Morskiej w Gdyni, tak przez całe studia. Ale ciągle była koleżanką, zwykle żartobliwie przedstawiał ją jako siostrę. Kobietę, z którą chce spędzić życie, dojrzał w Hanusi na fotografii: kolega, zawodowy fotograf, zrobił dziewczynie portret. To zdjęcie stoi dziś na biurku Andrzeja Hamady.

Ślub cywilny wzięli, kiedy kończył studia (obrona dyplomu – 30 listopada, promotor: prof. Witold Minkiewicz, temat: projekt teatru na 900 widzów, dziewięć arkuszy formatu Ao). Świadkami na ślubie, 3 sierpnia 1951 roku, byli koledzy z roku – Jan Chałupski i Ryszard Chrabąszcz. Świętowali w barze mlecznym przy jajecznicy i mleku. Ślubu kościelnego w poł. 1952 r., już w opolskiej katedrze, udzielił im ksiądz inżynier, rolnik z zawodu (o czym informował parafian kościelny: *kazanie wygłosi ksiądz inżynier Alfons Rymer*).

Blisko gór, czyli w Opolu

Chciałbym być blisko morza, jak w Gdańsku, albo gór, jak w Krakowie – marudził w Łodzi, dokąd skierowano go, pochmurnego, mokrego 1 stycznia 1952 r., nakazem pracy. Biuro Dokumentacji Technicznej Przemysłu Lekkiego ma oddziały terenowe w całej Polsce, także w Opolu, jak mu powiedziano – *blisko gór*, *miasto wojewódzkie, w dodatku nie mają tam architekta, jest posada kierownika oddziału*.

Już na opolskim dworcu wiedział, że zostanie w tym mieście. Bo dworzec był nietknięty wojną, piękny, jak w Gdańsku. (Po wielu latach odkryje, że współautorem projektów obu budynków był architekt Paul Thömer). Obok okazały budynek poczty. A dalej – morze ruin. W powietrzu wisiała tymczasowość. Odbudowa zrujnowanego rynku (sześć kamienic ocalało i ratusz) ruszyła dopiero jesienią. Od razu uruchomiono Dom Książki, aptekę „Pod Orłem", społemowski dom towarowy, do którego wchodziło się na piętro po skrzypiących schodach, a na rogu – tam gdzie dziś mieści się Galeria Sztuki – działały składy UNRRA.

Obiecane mieszkanie przy ul. 1 Maja 123 jeszcze nie było gotowe. Zamieszkał w hotelu „Bristol" na rogu Ozimskiej (dziś mieści się tu gmach PZU). Robota trafiła się w Tułowicach: projekt odbudowy i adaptacji domu dawnego właściciela fabryki porcelitu na dom wielorodzinny dla pracowników upaństwowionej fabryki. Przydaje się taśma miernicza, wykradziona przez krakowskiego kolegę Zdzisława Leonharda z niemieckich składów odzieży wojskowej – o czym przypomina napis, wytłoczony na skórzanej oprawce: *Heereseigentum*, własność wojska (tej taśmy często używał w pierwszych latach pracy, dziś leży w szufladzie jego biurka).

Wczesną wiosną do pokoju w „Bristolu" wprowadziła się Hanusia. Na 1 Maja 123 biegali niemal codziennie. Majster Paweł Duda z Miejskiego Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego (później razem budowali opolskie „Delikatesy") pozwolił im wstawić do niegotowego jeszcze mieszkania nr 9 (dwa pokoje z kuchnią i ubikacją, drugie piętro, z balkonem) kupione na raty pierwsze meble: stół, cztery krzesła, tapczan i szafę.

Aż do późnej jesieni, spali przy otwartych oknach. Bo świeżo położone tynki schły bardzo powoli, wilgoć wciskała się wszędzie. Ale radość z mieszkania była ogromna. Nawet nie zauważyli braku łazienki, korzystali z łaźni miejskiej, na ul. Reymonta. Śniadania jedli w barze „Dworcowym" (dziś stoi tu hotel „Merkury"), a obiady u „Babci Samochód" przy ul. Kościuszki, gdzie stołował się także prof. Jan Seredyka i gdzie zaprzyjaźnili się z aktorskim małżeństwem – Haliną i Janem Machulskimi.

Pracują już oboje. Żona – w księgowości Opolskiego Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego Przemysłu Lekkiego przy ul. Struga. Po sąsiedzku z firmą męża, który zatrudnia kolejnych pracowników. Są tu już technicy budowlani: Krystyna Niżanowska, Kaczmarczyk, Urbacki, Popławski, Kiciński, Friebe, inżynierowie Habdas i Świerc. Dołączy do nich technik Stefan Korzeniowski, fachowiec od instalacji sanitarnych, WiN-owiec, który ujawnił się po ogłoszeniu amnestii przez Bieruta. To z nim młody ojciec, Andrzej Hamada, niesie przez Opole w 1954 r. pożyczone łóżeczko dla nowo narodzonej Kasi.

Roboty na Ziemiach Zachodnich było *fantastycznie dużo.* Odbudowywał się cały przemysł lekki, huty szkła, przemysł odzieżowy i meblowy. Budowy były rozrzucone po całej południowo-wschodniej Polsce: Lubań Śląski, Gryfów, Boguszów, Wałbrzych, Siemianowice, Dzierżoniów, Głuchołazy (przemysł drzewny), Kluczbork, Tułowice, Brzeg... Remontowali cegielnie i huty szkła, m.in. w Pieńsku, gdzie oprócz szklanek i słoików wydmuchiwano także klosze do lamp dla warszawskiego Pałacu Kultury i Nauki, w hucie wałbrzyskiej – szyby do okien wystawowych, szklane rurki do termometrów, a w hucie w Siemianowicach – tzw. baloniki żarówkowe. W Gryfowie opolskie Biuro Dokumentacji Technicznej Przemysłu Lekkiego nadzorowało odbudowę zakładów azbestowych, w których produkowano odzież przeciwogniową.

Podczas remontów również projektował. Między in-

nymi zakłady odzieżowe pod Jelenią Górą, adaptację budynku dla huty szkła i domu kultury w Pińsku, odbudowę i adaptację domów młodego robotnika.... Zdarzały się i wspomagające domowy budżet prywatne zlecenia, np. na odbudowę piekarni w Kędzierzynie-Kuźniczce. Technologów produkcji wtedy nie było, poznawał więc proces wypieku chleba w opolskiej piekarni Malika na Ozimskiej.

Z końcem 1954 r. opolski oddział Biura Dokumentacji Technicznej Przemysłu Lekkiego przenosi się do Wrocławia. Jego kierownik, Andrzej Hamada, postanawia, że zostaje w Opolu. Tu w 1956 r. (jako architekt w Wojewódzkim Biurze Projektów, ul. Sienkiewicza, potem pl. Armii Czerwonej, w końcu budynek, w którym mieściła się restauracja „Europa") zaprojektuje siedzibę Państwowej Orkiestry Symfonicznej z salą prób (dotąd ćwiczyli po restauracjach) i pomieszczeniami dla administracji. Fronton dzisiejszej filharmonii nawiązywał do modernizmu (właśnie architekci zrzeszeni w SARP-ie ogłosili odwrót od socrealizmu), a okno sali było *z pewnością największe w Opolu*.

Tymczasem ich mieszkanie na 1 Maja robiło się coraz mniejsze, zwłaszcza gdy mała Kasia nauczyła się biegać. Wtedy też, w roku 1957, Hamadowie zauważyli, że coraz mocniej doskwiera im brak łazienki. Kasia ma już trzy latka, jej tato awansował na kierownika Oddziału Architektury Urzędu Wojewódzkiego w Opolu (przepracuje tam 14 lat: nadzór i zatwierdzanie projektów, kontrole; a później będzie zastępcą architekta wojewódzkiego, a jakiś czas nawet głównym – z nominacji wojewody Józefa Buzińskiego).

W Polsce jest już *za Gomułki*, polityczna odwilż. W 1957 r. Hamadowie otrzymują mieszkanie po architekcie Stefanie Strugarku, który razem z architektem wojewódzkim Teofilem Kwiatkowskim nie wrócił z wycieczki (wyjazd w ramach Polskiego Związku Motorowego) do Austrii. Kwiatkowski, jak się okazało, ruszył stamtąd do USA, Strugarek do Australii.

Mieszkanie było służbowe, z Urzędu Wojewódzkiego, Krakowska 7, nad kwiaciarnią „Storczyk": dwa pokoje, kuchnia, łazienka. Kiedy do niego weszli, nad piecem kuchennym suszyły się jeszcze pęta strugarkowych kiełbas. Wkrótce adaptowany na mieszkanie strych nad nimi zajmie malarz Krzysztof Bucki z żoną. O czym dziś przypomina tablica na ścianie domu.

Adres zmienili jeszcze raz, na Rynek. Adaptację strychu na drugim piętrze opracował sam, spierając się później z murarzem, który nie mógł patrzeć na *krzywą ścianę* (*ja to panu za darmo nadmuruję!*) i dzielące pomieszczenie mury kominowe. Wprowadzili się tam w roku 1964: trzy pokoje, kuchnia, łazienka i wreszcie centralne ogrzewanie. Tam mieszkał do niedawna. Od 19 lat – bez swojej żony Hanny (zmarła w 2005 r.). Kasia od lat mieszka we Francji.

Z okna mieszkania architekta w narożnej kamienicy (południowa pierzeja Rynku) widać Wieżę Piastowską, gmach filharmonii, kościół Ojców Franciszkanów i to, co zostało z ich dawnego ogrodu. Ogołocony z drzew, wystrzyżony trawnik w niczym nie przypomina krakowskiego ogrodu ojców kapucynów, u których w czasie wojny służył do mszy, instruowany przez ojca Kornela i zakrystiana brata Baltazara: w tamtym zakonnicy krzątali się od rana, plewili warzywne grządki, zbierali owoce.

W 2012 odwiedził swój dawny, krakowski kościół, wszedł do zakrystii. *Tu nie ma nic ciekawego* – powiedzieli zakonnicy.

Nie słuchał. Widział tam siebie, kilkunastolatka, jak klęcząc, ubiera księdza do mszy.

STANISŁAW S. NICIEJA

POŚMIERTNE ŻYCIE PRZESIEDLONYCH MIEJSCOWOŚCI

W redakcji paryskiej „Kultury", od lewej: prof. Henryk Ratajczak (rektor Uniwersytetu Wrocławskiego), Zofia Hertz, Jerzy Giedroyc i autor artykułu

Przed 35 laty, po sukcesie wydawniczym moich książek *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie* i *Cmentarz Obrońców Lwowa* (Ossolinem 1988–1990), które ukazały się w nakładzie ponad 250 tys. egzemplarzy, otrzymałem z Maisons-Laffitte list Jerzego Giedroycia z zaszczytną dla mnie propozycją. *Jest Pan* – pisał redaktor naczelny paryskiej „Kultury" – *dobrze zorientowany w problemie wielkiego sporu Polaków i Ukraińców przypisujących sobie wzajemnie wyłączne prawa do Lwowa. Czy mógłby Pan napisać dla mnie artykuł o tym, co się stało w 1945 roku z „polskim Lwowem", tak mocno przez prawie sześć wieków wpisanym w historię Polski.*

Propozycja Jerzego Giedroycia stała się dla mnie wielką inspiracją i właściwie legła u podstaw *Kresowej Atlantydy* – tej serii wydawniczej o miejscowościach kresowych. Przyjmując propozycję, napisałem artykuł o dość katastroficznym czy też pogrzebowo-futurystycznym tytule: *Pośmiertne życie polskiego Lwowa*[1]. Starałem się w nim wykazać, co stało się z dużą aglomeracją miejską, w której w krótkim czasie dokonano masowej wymiany mieszkańców.

1 St. S. Nicieja, *Pośmiertne życie polskiego Lwowa*, „Zeszyty Historyczne", Paryż 1994, z. 150, s. 110-119.

Paryż 1999, po uroczystości nadania przez Uniwersytet w Białymstoku tytułu doktora *honoris causa* Jerzemu Giedroyciowi, od lewej: prof. Jacek Majchrowski (recenzent, późniejszy długoletni prezydent Krakowa), prof. Adam Jamróz (rektor Uniwersytetu w Białymstoku), Jerzy Giedroyc (redaktor „Kultury") i prof. Stanisław Nicieja (recenzent w przewodzie doktorskim)

W pierwszych zdaniach tego artykułu stwierdziłem: „Wyrok polityków w Jałcie, potwierdzony w Poczdamie, był jednoznaczny – Polska miała kończyć się na Bugu w jego środkowym i górnym biegu z małą korektą na jej niekorzyść, bo przecież Lwów za Bugiem nie leży. Tu lord George Curzon, zaliczany w poczet sprawców polskich nieszczęść, nie miał nic do powiedzenia. Polscy obywatele Lwowa – miasta stanowiącego od czasów Kazimierza Wielkiego ważny ośrodek kultury polskiej, a na przełomie XIX i XX wieku duchowej i intelektualnej stolicy Polski – mieli być ewakuowani na zachód. I decyzję tę wykonano. Pozwolono im nawet zabrać niektóre ważne instytucje, jak Ossolineum, Panoramę Racławicką oraz mniejsze bądź większe artefakty kulturowe".

Obecnie, po tylu latach, nie zmieniłbym w tym eseju ani jednego zdania, więcej – z biegiem czasu udało mi się bardzo mocno poszerzyć faktografię w tamtej wypowiedzi. Po zebraniu tysięcy relacji, fotografii i dokumentów rodzinnych oraz po penetracji archiwów i bibliotek naukowych mogłem opisać ponad 90 miejscowości z dawnych Kresów, które spotkał ten sam los co Lwów. W poszczególnych tomach *Kresowej Atlantydy* koncentrowałem uwagę nie tylko na historii dużych miast, takich jak Lwów, Wilno, Stanisławów, Tarnopol czy Grodno, ale też na małych, a nawet wsiach, osadach czy przysiółkach.

W 21. tomie, nad którym pracuję, przedstawiam pośmiertne życie wsi Milatyn, która – w miniskali – podzieliła los metropolitalnego Lwowa. Milatynianie zostali wywiezieni, a właściwie przeszczepieni z ziemi lwowskiej na Dolny Śląsk, do wsi Pępice, która wcześniej nosiła niemiecką nazwę Pampitz. Stanowili maleńką (ok. 300-osobową) grupę, a więc kropelkę w morzu gigantycznej wędrówki obejmującej miliony ludzi różnych narodowości: Niemców, Polaków, Węgrów, Ukraińców, Słowaków czy też Łemków, którzy niespodziewanie wpadli w tryby wielkiej historycznej katastrofy i zostali w 1945 r. wygnani bądź musieli uciekać ze swych rodzinnych stron.

Szczepan Durkacz (1914–1995) – mieszkaniec Milatyna, obrońca Warszawy we wrześniu 1939 r., w 1945 r. przewodził grupie taborytów jadących wozami z Milatyna do Pępic (zdjęcie ze zbiorów córki – Franciszki Durkacz z Pępic)

Casus przeszczepu podlwowskiej wsi Milatyn do Pępic znam z autopsji wyjątkowo dobrze, bo dawni milatynianie po przesiedleniu byli przez ponad 30 lat i nadal są moimi sąsiadami. Mieszkając wśród nich, poznałem ich mentalność, zdolności zintegrowania i codzienne problemy, świadomość historyczną, obyczajowość i kulturę duchową. Pisząc ich biografie, udało mi się stworzyć swoiste studium socjologiczne przesiedlonej maleńkiej kresowej społeczności, a są tam wątki uniwersalne, charakterystyczne dla innych, nieproporcjonalnie większych grup ekspatriantów.

Milatyn – historia przeszczepu

Milatyn to wieś położona na równinie, wśród soczystych łąk i lasów, w połowie drogi między Gródkiem Jagiellońskim a Sądową Wisznią. Przecinała go rzeczka o wdzięcznej nazwie Zamłyński Potok, a otaczały mieszane narodowościowo wsie o różnorodnym brzmieniu lingwistycznym: Rodatycze, Wołczuchy, Dobrzany, Putiatycze, Dołhomościska, Milczyce, Bar.

Do 1945 r. była to wieś licząca około stu numerów domostw drewnianych, w większości krytych strzechą bądź blachą. Połowę mieszkańców stanowili grekokatolicy – Rusini, stąd we wsi były dwie świątynie – cerkiew i ufundowany przez Laurę Pressen rzymskokatolicki kościół stojący na wzgórzu. Była też w Milatynie austeria – żydowska karczma z zajazdem, jak z powieści Juliana Stryjkowskiego.

Początek zagłady polskiego Milatyna był prozaiczny. W kwietniu 1945 r. wszystkich jego mieszkańców wezwano na plac przykościelny i odczytano im rozporządzenie: „Kto czuje się Polakiem i nie przyjmie obywatelstwa sowieckiego, musi bezwzględnie opuścić wieś i udać się za San, bo tam jest w nowych granicach państwo polskie, a tu będzie Ukraińska Republika Socjalistyczna jako integralna część Związku Radzieckiego".

Wiadomość była paraliżująca, bo jak to, zostawić swoje gospodarstwa, pola, sady, kościół, cmentarz z grobami najbliższych, i iść na zachód, w nieznane, i to podobno jeszcze na ziemie germańskie – tych odwiecznych polskich wrogów?! Nie może być! Mówiono o tym w emocjach w domu, podczas pracy w polu i zagrodzie, szeptano w karczmie i w drodze do kościoła. W końcu ustalono, że wszyscy zgromadzą się pod kościołem i zapytają księży, co robić. Po burzliwej dyskusji proboszcz oświadczył, że nie ma wyjścia – Polacy muszą wyjechać, tym bardziej, że jeśli Sowieci nie wymuszą wyjazdu, to banderowcy załatwią to po swojemu i ostatecznie. W tej atmosferze niepewności, zagrożenia i rozpaczy, ale też trudnego do pohamowania gniewu, postanowiono: wyjeżdżamy jednocześnie, wszyscy razem. Starcy i kobiety z dziećmi oraz dobytkiem: krowami, trzodą chlewną i drobiem pojadą pociągiem, a mężczyźni z resztą dobytku wozami konnymi. Naiwnie sądzono, że uda się im jechać równolegle, nie tracąc się z oczu. W tym celu postanowiono dać kilka baniek samogonu maszyniście pociągu, aby nie jechał zbyt szybko i nie zostawił taboru wozów konnych za sobą.

Na początku zimnego maja 1945 r. z najbliższej Milatyna stacji kolejowej w Rodatyczach ruszył duży skład wagonowy ciągniony przez dwa parowozy. Część wagonów miała dachy, ale większość była odkryta. W jednym wagonie stłoczonych było przeciętnie cztery–sześć rodzin. Byli wśród nich: Tacjanna Winiarzowa (1914–1993) z syna-

Rodzina Durkaczów po osiedleniu się w Pępicach, od lewej: Tadeusz, Jan i Szczepan oraz Zofia z Tarczyńskich i Franciszka Durkaczowie (ze zbiorów Franciszki Durkacz z Pępic)

mi Szymonem i Tadeuszem; Zofia Durkaczowa z matką Teklą i synem Janem; Stefania i Jan Janczurowie; Bucykowie; Tarczyńscy, Winniccy; Karolina Doskoczowa; Stefania Kotarbakowa. W innych wagonach jechały rodziny wysiedlone z sąsiadujących z Milatynem wsi. Pociąg ruszył trasą na Mościska, Przemyśl, Jarosław, Przeworsk, Łańcut, Rzeszów, Dębicę, Tarnów i dalej na zachód.

Tabor rusza na zachód

Równolegle z pociągiem ruszył gościńcem na zachód tabor około 30 wozów zaprzężonych w pary koni. Na wozach o drewnianych kołach, okutych żelaznymi rafami, oprócz obroku dla koni wieziono brony, pługi, widły, grabie, kosy, sieczkarnie, żarna – co kto miał i mógł zmieścić w wąskiej skrzyni pojazdu. Woźnicami byli milatynianie: Antoni Winiarz (1907–1968)), Szczepan Durkacz (1914–1995), Piotr Bucyk, Szczepan Janczura, Leon Winnicki, Józef Tarczyński (1922–1992), Jan Łuczyszyn i kilkunastu innych, których nazwisk nie udało mi się ustalić. Jechali dniami i nocami przez cały maj 1945 roku.

Tabor posuwał się wolno. Musiał omijać zerwane mosty na rzekach i strumieniach, i z czasem stracił kontakt z pociągiem wiozącym rodziny i żywy inwentarz. Chłopi szczególnie bacznie doglądali kondycji koni. Gdy za Tarnowem brakło owsa, w jednej ze wsi stoczyli swoistą potyczkę pod stertą siana, bo miejscowi gospodarze, nie chcąc na przednówku sprzedać obroku, bronili cepami, widłami i kosami dostępu do stogu, na który łakomym okiem patrzyły głodne zwierzęta. Z licznej grupy milatyńskich taborytów nikt już nie żyje.

Szczepan Durkacz – naczelnik taborytów

W 1994 r., gdy zamieszkałem w Pępicach, spisałem relację Szczepana Durkacza (zmarł rok później, w wieku 81 lat), uważanego za pomysłodawcę wyjazdu milatynian na zachód taborem złożonym z około 30 wozów konnych.

Rodzina Winiarzów po przesiedleniu z Milatyna do Pępic, rok 1950. Młoda para – Janina z Jamnych i Szymon Winiarzowie. Szymon był twórcą Schroniska dla Bezdomnych im. Brata Alberta w Pępicach. Stoją: Tacjanna Winiarz, Władysław Tarczyński i Antoni Winiarz, który wspólnie ze Szczepanem Durkaczem kierował taborem wygnańców z Milatyna w drodze na Śląsk

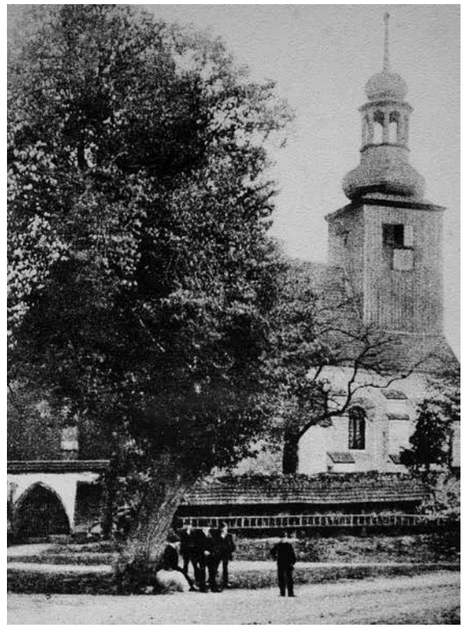

Niemieccy mieszkańcy Pępic (Pampitz) przed kościołem ewangelickim (rok 1913), który po wojnie stał się świątynią rzymskokatolicką i do dzisiaj służy polskim przesiedleńcom z Milatyna oraz ich potomkom (ze zbiorów Tadeusza Winiarza z Pępic)

Był synem Tekli z Moczulskich i Antoniego Durkaczów, zamożnych milatyńskich włościan. Jego najstarszy brat – Adam zginął w czasie wojny polsko-bolszewickiej w młodym wieku pod Kijowem i tam został pochowany, a drugi – Jan zmarł w Koźlu w czerwcu 1945 roku.

Szczepan po odbyciu służby wojskowej we Lwowie ożenił się w Milatynie z Zofią Tarczyńską i do sierpnia 1939 r. wspólnie z nią prowadził w swojej rodzinnej wsi gospodarstwo rolne. Po wybuchu wojny został zmobilizowany i poszedł na front. Jako bombardier był jednym z bohaterskich obrońców Warszawy we wrześniu 1939 roku. W piekle ciągłych bombardowań zdobył sobie uznanie jako ofiarny dowódca zwiadu, operujący na przedpolach stolicy. Jego przełożony por. Zbigniew de Latour wystawił mu po upadku Warszawy pochlebne świadectwo za uratowanie w krańcowo ryzykanckich warunkach kolegi zasypanego po wybuchu bomby. Odznaczono go też medalem za obronę stolicy. Te świadectwa jego bohaterstwa przechowywane są przez córkę, Franciszkę, w Pępicach.

Szczepan Durkacz, wzięty do niewoli w Rembertowie we wrześniu 1939 r., przeżył dramat upokorzenia, kiedy musiał własną broń rzucić na stos, a później trzymany w klasztorze św. Kazimierza widział, jak niektórzy polscy oficerowie, nie mogąc pogodzić się z klęską, odbierali sobie życie. Zostało mu na trwałe w pamięci nawoływanie księdza z ambony: *Panowie, nie wolno tego czynić! Trzeba dla Ojczyzny żyć!*

Durkaczowi, który miał zdolności przywódcze, udało się z kilkoma kolegami uciec z niewoli niemieckiej i przepłynąć Wisłę. Na wschód do domu szli dwa tygodnie. Najtrudniej było im przedrzeć się przez nową granicę niemiecko-słowacką na Sanie koło Przemyśla. Pięć lat później powtórzył tę wędrówkę, ale tym razem ze

Horst Dierschke – syn wysiedlonych z Pępic do Saksonii niemieckich bauerów; na posesji przed dworkiem „Niciejówka". Niemieccy przesiedleńcy z Pępic osiedli głównie w Saksonii. Ich potomkowie często goszczą w Pępicach

Od roku 1993 w Pępicach, gdy zamieszkał tam autor artykułu, w jego domu, nazwanym „Niciejówką", gościły setki wybitnych postaci: polityków, pisarzy, malarzy, ludzi nauki – szczególnie historyków oraz przyjaciół rodziny. Na fotografii z października 1994 r. stoją przed gankiem w Pępicach (od lewej): Jan Nowak-Jeziorański – dyrektor rozgłośni Wolna Europa w Monachium, dr Marek Masnyk, Ryszard Kaczorowski – prezydent RP na Uchodźstwie, prof. Stanisław Nicieja – dyrektor Instytut Historii UO i Józef Garliński – profesor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (PUNO) w Londynie

Wiesław Myśliwski – pisarz, doktor *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego i Jan Goczoł (z prawej) – opolski poeta i eseista w towarzystwie gospodyni Pępic – Haliny Niciei

Noblistka Olga Tokarczuk z Haliną Nicieją w salonie w Pępicach

Dr Adam Wierciński (z lewej) – krytyk literacki, eseista, biografista i Kazimierz Kowalski (z prawej) – pisarz, długoletni kierownik Redakcji Literackiej Radia Opole w towarzystwie autora

wschodu na zachód i nie pieszo, tylko wozem konnym, ze skromnym swym dobytkiem.

Z czasów, gdy jechał w szpicy taboru przesiedleńców, najbardziej utkwiła mu w pamięci stacja w Bytomiu, gdzie na torowiska, w wagonach i na peronach koczowały tysiące ludzi: zmęczonych, zmarzniętych, brudnych, głodnych, zrozpaczonych. Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR) nie mógł sobie poradzić ze sprawnym rozmieszczeniem przesiedleńców i wygnańców ze wschodu.

„Ruch repatriantów – w sprawozdaniu PUR-u pisał Antoni Krawiński, jeden z bardzo ofiarnych organizatorów akcji przesiedleńczej – powinien być zmniejszony i powinien się odbywać w wagonach krytych, z piecykami, a przeładowywanie winno się odbywać natychmiast po przybyciu. W przeciwnym wypadku repatrianci są narażeni na choroby, a zwłaszcza kobiety i dzieci. Dłuższy pobyt na stacjach powoduje zanieczyszczenie torów kałem zwierzęcym i ludzkim do tego stopnia, że z trudnością można po nich chodzić, co może spowodować choroby zakaźne”[2].

Stefania Janczurowa (1920–2008), która z Milatyna jechała transportem kolejowym z dwójką drobnych dzieci, również zapamiętała dworzec w Bytomiu jako miejsce udręki i rozpaczy. „W Bytomiu – wspominała – przeładowano nas do otwartych wagonów, a w tym czasie zaczął padać potworny deszcz i to przez kilka dni. Przemoczeni, zziębnięci, bez parasoli, o których nikt nie słyszał, bez odpowiednich płaszczy, ogrzewaliśmy się przy wychudzonych, porykujących z głodu krowach. Ja miałam dwoje drobnych dzieci, ale moja sąsiadka miała siedmioro, a Stefanii Koterbakowej przyszło urodzić dziecko dosłownie na betonie peronu dworcowego. Jechaliśmy

2 Zob. szerzej: G. Hryciuk, *Przesiedleńcy. Wielka epopeja Polaków 1945-1946*, Kraków 2023, s. 490-491. Szeroko pisze o tym: St. S. Nicieja, *Odyseja brzeskich Kresowian. Próba rejestracji i opisania zjawiska*, „Brzeski Rocznik Zamkowy” 2020, nr 1, s. 9-51. Tam zapis kilkudziesięciu relacji przesiedleńców z Kresów i ich biogramy.

Wrocławscy historycy w Pępicach, od lewej: prof. Mikołaj Iwanow, prof. Teresa Kulak, prof. Wojciech Wrzesiński (rektor Uniwersytetu Wrocławskiego), jego żona – Dorota Wrzesińska, właścicielka galerii malarstwa we Wrocławiu i autor artykułu

jak Cyganie. Pamiętam dzieci gromadami śpiące na workach, ciągle płaczące. To była jedna wielka bieda i rozpacz”.

Nie mniej przejmująca jest opowieść Stefanii Felsztyńskiej (1914–2008), która jechała z Milatyna pociągiem, a jej mąż, Jan Felsztyński (1908–1985) – właściciel warsztatu mechanicznego, taborem konnym. „Gdy pociąg ruszył – wspominała Felsztyńska – a byli w naszym wagonie Janczyszynowie i Nogowie, zaśpiewaliśmy *Serdeczna Matko*. Wszyscy zaczęli strasznie płakać, po prostu ryczeć – kobiety, mężczyźni, dzieci, a nawet krowa mojej teściowej, która z nami jechała. Prawie dwa tygodnie staliśmy w Bytomiu, a później w Kędzierzynie. A był bardzo mokry maj. Lało jak z cebra. Przemoczeni, okryci płachtami grzaliśmy się przy jakichś prymitywnych piecykach. Chodziliśmy po koniczynę dla krów. A mnie spotkało jeszcze straszne nieszczęście. W wagonie zrobiono powałę z desek, gdzie spały dzieci. Rano, zdejmując z tej półki swego synka, Józka, aby go nakarmić, tak nieszczęśliwie stanęłam, że podwinęła mi się noga i razem z dzieckiem runęłam na ziemię z wysokości prawie dwóch metrów. Gdy się podniosłam, zobaczyłam, że Józek ma otwarte złamanie nogi – kość wyszła na zewnątrz i przebiła skórę. Co tu robić? Nigdzie wokół lekarza. A tu otwarte złamanie! Dziecko płacze, deszcz leje. W desperacji wspólnie z innymi kobietami złożyłam tę nóżkę, usztywniłam ją jakimiś deszczułkami i owinęłam szmatami z podartej koszuli. I proszę sobie wyobrazić, że noga zrosła się równo”. Józef Felsztyński był po wojnie pracownikiem zakładu energetycznego w Brzegu i nie miał śladu po złamaniu nogi.

W Bytomiu transport stał kilka tygodni, a później zatrzymał się w Kędzierzynie. Szymon Winiarz (1930–2006), późniejszy twórca Schroniska dla Bezdomnych im. Brata Alberta w Pępicach, który miał wówczas 15 lat, wspominał, że w Kędzierzynie ludzie zaczęli się buntować. Całymi dniami siąpił deszcz. Chodzono po okolicznych wsiach, ale nikt nie mógł się zdecydować na osiedlenie. Wszyst-

28 czerwca 2016, po uroczystym posiedzeniu Senatu UO, które odbyło się w ogrodzie w Pępicach. Na zdjęciu, od lewej: Katarzyna Szmyt (rektorat), Lucyna Kusyk (ówczesna kierowniczka rektoratu), Barbara Stankiewicz-Buchowska (naczelna redaktorka pisma UO „Indeks"), Lidia Serwecińska (rektorat), z tyłu – Marian Buchowski (dziennikarz, pisarz). Fot. Jacek Baranowski

ko wydawało się obce. We wsiach byli jeszcze niemieccy bauerzy. Niektórzy więc chcieli wracać na wschód, głosząc, że niech się dzieje co chce, byle w domu. Inni domagali się jazdy jak najdalej na zachód. Jedni odczepiali, drudzy doczepiali wagony. W końcu milatynianie postanowili osiąść w podkozielskiej wsi Poborszów. Tam też dotarł tabor konny ze Szczepanem Durkaczem i Antonim Winiarzem. Opowiadano o niezwykłym zdarzeniu z psami… W czasie jednego postoju całego taboru między psami Durkaczów i Winiarzów doszło do straszliwej walki. Wówczas ktoś zdecydował, że należy gryzące się psy oblać wodą w celu rozdzielenia. Chluśnięto wiadrami. Skutek był zadziwiający: psy rozpierzchły się każdy w inną stronę i nigdy już do taboru nie wróciły.

List Manfreda Koletzko z Poborszowa

W Poborszowie milatynianie mieszkali ponad rok. Dzielili wspólnie domy ze Ślązakami. Gdy okazało się, że miejscowa ludność śląska została zweryfikowana i przyjęła obywatelstwo polskie, Kresowiacy z Milatyna musieli opuścić dzielone z nimi dotychczas domostwa i udać się dalej, na zachód. Gdy w czerwcu 2013 r. na łamach prasy śląskiej opublikowałem artykuł *Taboryci z Milatyna*[3], otrzymałem list Manfreda Koletzko, mieszkańca Poborszowa, który podzielił się informacjami z pobytu milatynian w jego rodzinnej wsi. „Jestem – pisał Manfred Koletzko – wiernym czytelnikiem cyklu Pana artykułów o tematyce kresowej. Ostatni, *Taboryci z Milatyna* szczególnie mnie zainteresował, bo w moim rodzinnym domu w Poborszowie po wojnie zakwaterowana była rodzina repatriantów z Kresów. Jestem potomkiem osadników, którzy wiele, wiele lat temu przywędrowali na te tereny znad Renu, czyli jestem Niemcem, a dokładnie śląskim Niemcem, jak sam siebie nazywam. Gdy do naszego domu przybyli repatrianci, była w nim tylko moja babcia

3 „Nowa Trybuna Opolska", 7 VI 2013, s. 20-21.

z dwoma nieletnimi córkami, moimi ciociami. Dziadek żył, ale wojenna zawierucha rzuciła go wraz z najstarszą córką gdzieś na tereny dzisiejszych Czech, skąd wrócił po roku. Mój tato, Franz, najmłodszy z rodzeństwa (miał wówczas 16 lat), krótko po przejściu frontu został wraz z grupą 20 mężczyzn z Poborszowa *internowany* – załadowany do bydlęcych wagonów i ruszyli w przeciwnym kierunku do repatriantów z Kresów, na wschód, do *nieludzkiej ziemi*. Tam byli zmuszeni do niewolniczej pracy. Takie nazwy, jak Orel, Odessa, Nielidowo, Wielikije Łuki wielokrotnie przewijały się w jego wspomnieniach. Wrócił po pięciu latach jako jedyny z grupy 21 mężczyzn z naszej wioski.

Nazwiska rodziny z Milatyna, która była u nas zakwaterowana, niestety nie znam. Mój dziadek, babcia i tato już nie żyją, podobnie jak dwie ciocie. Stan zdrowia pozostałej przy życiu cioci uniemożliwia pisanie o zamierzchłych, powojennych czasach. Pamiętam z opowiadań, że współżycie dwóch obcych sobie rodzin nie było ani proste, ani przyjemne, co mnie w ogóle nie dziwi, zważywszy na trudne czasy, pogmatwane losy i krzywdy doznane w czasie wojny przez obie rodziny. Nie moim celem jest ocenianie i osądzanie ich, podaję tylko znane mi informacje. Moja mama, Gertruda, pochodzi z sąsiedni wsi Mechnica i z jej opowiadań wynika, że tam też było zakwaterowanych parę rodzin repatriantów"[4]. Oto jedna z tysięcy historii o splocie losów Kresowian i Ślązaków.

Wyjeżdżając z Poboroszowa, milatynianie znów jechali pociągiem, tym razem z Kędzierzyna do Brzegu, gdyż otrzymali informacje, że są tam jeszcze puste domostwa. Z dworca brzeskiego pojechali do Pępic, Skarbimierza, a niektórzy do Żłobizny i Łukowic Brzeskich, gdzie ich potomkowie mieszkają do dziś.

Rodzina Lechowiczów

W Pępicach osiadła też bardzo liczna rodzina Lechowiczów. Nestorem tej rodziny był Franciszek Lechowicz (1908–1984), który przed wojną we wsi Doliniany, leżącej ok. pięciu kilometrów od Gródka Jagiellońskiego, miał duże gospodarstwo rolne, liczące kilkadziesiąt hektarów. Właścicielami tej wsi w drugiej poł. XIX i na początku XX w. byli baron Seweryn Doliniański, który wzniósł tam swoją główną rezydencję z dużym ogrodem, a następnie Stanisław i Michał Bogdanowiczowie[5]. We wsi mieszkali głównie Polacy – ok. 550 osób.

Franciszek Lechowicz oprócz gospodarstwa rolnego (miał ziemię częściowo z parcelacji majątku Doliniańskich) prowadził przedsiębiorstwo oferujące usługi rolnicze, głównie w czasie żniw. Był właścicielem dwóch nowoczesnych młocarni – jedną sprowadził z Wiednia, a drugą aż z Kopenhagi. Maszyny tej klasy były rzadkością na dawnej wsi kresowej. Lechowicz swoimi maszynami wykonywał omłoty u najbogatszych gospodarzy Dolinian oraz okolicznych wsi i przysiółków, m.in. w Popieli, Głębokiej, Henrykówce czy Wołczuchach. Jako „obszarnik" i „kułak" został w lutym 1940 r. wraz z żoną i czworgiem dzieci wywieziony na Sybir, gdzie żona – będąca wówczas w zaawansowanej ciąży – zmarła. Franciszek Lechowicz, wypuszczony z Sybiru w 1945 r. z czwórką swych dzieci (dwoma synami i dwiema córkami), dotarł do Kościerzyc pod Brzegiem, gdzie osiadła duża grupa ekspatriantów z Dolinian, w której była też jego matka. W 1946 r. otrzymał gospodarstwo rolne w Pępicach i tam ożenił się po raz drugi, z Katarzyną Madejówną (1911–1986), pochodzącą z Gródka Jagiellońskiego. Był bardzo rzutkim i zapobiegliwym gospodarzem. Wkrótce w Pępicach dorobił się czterech domów, w których zamieszkały jego dzieci. Z małżeństwa z Katarzyną miał dwóch synów – Józefa (rocz. 1947) i Mariana (1950–2012), którzy również z czasem stali się samodzielnymi gospodarzami w Pępicach.

Wnukiem Franciszka Lechowicza jest Andrzej Lechowicz (rocz. 1969), który odziedziczył po dziadku zdolności menedżerskie i jest obecnie na ziemi brzeskiej jedną z bardziej znanych postaci. Prowadził wspólnie z żoną, niedawno zmarłą niespodziewanie – Wiesławą z Biegunów (1970–2023) duże gospodarstwo rolne (ok. 800-hektarowe) oraz przedsiębiorstwo rolniczo-handlowe „Lechpol", trudniące się dystrybucją maszyn rolniczych. Andrzej Lechowicz kontynuuje więc tradycje dziadka, choć dziś, co prawda, nie używa się już młocarni, ale kombajnów, których jest od wielu lat dystrybutorem i właścicielem, i to tych najnowocześniejszych – amerykańskiej firmy John Deere z Illinois. Lechowiczowie prowadzili również działalność hotelową w Grodkowie.

4 List Manfreda Koletzko z Poborszowa z czerwca 2013 roku, w posiadaniu autora.

5 *Spis właścicieli ziemskich*, „Gazeta Lwowska", 6 I 1867; *Księga adresowa miasta Lwowa*, rok 1902.

Wiesława Lechowiczowa, córka Kresowian z Podola, była jedną z najbardziej dynamicznych organizatorek życia społecznego w Pępicach. Miała poważny udział w renowacji miejscowego kościoła. Jej nagła śmierć w marcu 2023 r. poruszyła całą okoliczną społeczność. Spoczęła na pępickim cmentarzu, gdzie są groby kilkuset Kresowian, w tym taborytów z Milatyna – Szczepana Durkacza i Antoniego Winiarza oraz ich potomków – Jana Durkacza (1939–2020) i Czesława Winiarza (1948–2022).

Z rodziną Lechowiczów spowinowacona jest wywodząca się z Milatyna rodzina Łucyszynów. Na cmentarzu w Pępicach spoczywa kilku przedstawicieli tej rodziny, wśród nich Józef Łucyszyn – żołnierz armii Berlinga, który w czasie walk o Berlin został trafiony w płuca przez niemieckiego snajpera i przez ponad godzinę leżał nieruchomo, udając martwego, bo miał informację od kolegi posiadającego lornetkę, że snajper obserwuje go, sprawdzając, czy jego strzał był celny. Po wykurowaniu się Józef Łucyszyn wrócił do rodzinnego Milatyna. We wsi nie było już Polaków, pojechali na zachód. Przy moście na Zamłyńskim Potoku spotkał czterech Ukraińców. Spytał ich, gdzie są polscy mieszkańcy. „Jak to, nie wiesz? – usłyszał w odpowiedzi. – Pojechali na zachód. A ty kto? Polak?". Gdy potwierdził, jeden z nich powiedział: „Twoje miejsce w piachu" – i z kieszeni płaszcza wyciągnął rewolwer. Ale drugi z Ukraińców odezwał się: „Daj spokój, Wasyl, znam tego Polaka. To dobry chłop. Niech idzie za swoimi". Łucyszyn odwrócił się i z bijącym sercem, w obawie, że dostanie strzał w plecy, ruszył drogą na zachód – za swoimi. Później do końca życia opowiadał, iż miał przekonanie, że dwukrotnie cudem ocalił życie – pierwszy raz dzięki nieprecyzyjnemu strzałowi niemieckiego snajpera, drugi raz na moście na Zamłyńskim Potoku[6].

Opus magnum Eugeniusza Szewczuka

Jednym ze strażników pamięci o rodzinnych stronach, o ojczyźnie swych przodków jest Eugeniusz Szewczuk (rocz. 1953) – autor wielu sag rodzinnych Kresowian, którzy osiedli po II wojnie światowej na Ziemi Brzeskiej. Były to rodziny: Antoniewiczów, Gabrowskich, Góralczyków, Jamrozów, Korotaszów, Korzewów, Kukurowskich, Kulińskich, Lenardów, Machowskich, Partyków, Raszczyszynów, Rosińskich, Rudnickich, Skrzypników, Szewczuków, Tymorków, Ufów i Walidudów. Historie tych rodzin Eugeniusz Szewczuk przedstawił na tle wielkiego procesu repolonizacyjnego, jaki miał miejsce w Brzegu i jego okolicach po 1945 roku[7].

We wstępie do zbioru reportaży biograficznych, które w 2016 r. ukazały się w formie zwartej, Szewczuk napisał: „Książka ta nie powstałaby, gdyby na mojej drodze życia nie pojawili się ludzie ze swymi wspomnieniami. Zdecydował przypadek podczas rozbudowy drzewa genealogicznego mojej rodziny – zbierałem dokumenty i jeździłem na Ukrainę, analizowałem fachową literaturę historyczną dotyczącą przebiegu działań II wojny światowej i przesiedziałem wiele godzin przed ekranem komputera, szukając ciekawostek kresowych. A przede wszystkim słuchałem wspomnień dziesiątków Kresowian, którzy po wojnie osiedli na Ziemi Brzeskiej"[8]. W oparciu o zebraną dokumentację Eugeniusz Szewczuk opublikował na łamach prasy regionalnej kilkadziesiąt artykułów biograficznych o rodzinach Kresowian, którzy osiedli na ziemi brzeskiej.

Eugeniusz Szewczuk jest Kresowiakiem po mieczu i kądzieli. Jego rodzice – Stanisława i Józef Szewczukowie, urodzeni w 1932 r. we wsi Prusy pod Lwowem (noszącej obecnie nazwę Jampil), osiedli po wojnie w Dobrzyniu pod Brzegiem. Ich kresowi sąsiedzi trafili do wsi Mikowice i Przeczów w powiecie namysłowskim oraz Szydłowice i Kruszyna w powiecie brzeskim.

Wielu Kresowianom osiadłym na Śląsku ciągle towarzyszyła nostalgia za utraconymi rodzinnymi stronami. To sentymentalne uczucie owładnęło też wyobraźnię Eugeniusza Szewczuka. Uległ fascynacji i objawiła się w nim wielka pasja dokumentowania i rejestracji obrzędów i tradycji kresowych nie tylko miejscowości swych rodziców. A ponieważ miał przygotowanie merytoryczne jako nauczyciel, wykładowca, pilot wycieczek zagranicznych, przewodnik, kamerzysta i fotograf, a także dziennikarz sportowy opolskiej prasy, wykorzystał swe talenty, wykształcenie i dar wsłuchiwania się w opowieści ludzi pochodzących z Kresów. Te wszystkie doświadczenia i rozmowy starał się zmaterializować w postaci publikowania na łamach tygodnika „Panorama Powiatu Brzeskiego".

6 Relacja Andrzeja Lechowicza z 4 maja 2020 r. w posiadaniu autora.

7 E. Szewczuk, *Moje Kresy*, Brzeg 2016. Zob. też: A. Peszko, *Brieg – Brzeg, rok 1945*, [w:] *Historyczne dziedzictwo Ziemi Brzeskiej. Historia lokalna na przykładzie wybranych powiatów, miast i gmin*, red. A. Peszko, Gliwice-Opole 2005, s. 207-211; W. Krzewicki, *Dramatyczne oblicze wyzwolenia*, „Gazeta Brzeska" 1992, nr 3, s. 7.

8 E. Szewczuk, *Moje Kresy…*, s. 8.

Eugeniusz Szewczuk jest też prezesem działającego w Brzegu Towarzystwa Miłośników Prus Lwowskich i autorem *Kresowego serwisu informacyjnego*. Od lat zaszczepia swą wiedzę i zamiłowanie do Kresów wśród coraz to nowych pokoleń potomków dawnych przesiedleńców. Nie tylko pisze o ich przodkach, ale też organizuje wyprawy na tamte ziemie. Jego książka *Moje Kresy* wpisała się pięknie w nurt nostalgicznej literatury o utraconych przez Polskę ziemiach i wypełniła lukę w naszej wiedzy o tym, co straciliśmy na wschodzie i co stamtąd przynieśliśmy na Śląsk, wzbogacając w sposób oryginalny historię ziemi brzeskiej[9].

Gdy 30 lat temu kupiłem dom w Pępicach, między Skarbimierzem a Brzegiem, w pobliżu wielkiego opuszczonego przez Sowietów wojskowego lotniska, szybko zorientowałem się, że niemal każdy mieszkaniec mojego nowego miejsca zamieszkania ma związki rodzinne z Kresami. I tam zaczęła się jedna z moich przygód badacza Kresów, którą pragnę opisać.

Gdy postanowiłem zamieszkać w Pępicach, „Gazeta Brzeska" przywitała mnie tekstem Stanisława Włostowskiego *Z drewna lecz podmurowany* (12 lipca 1993), w którym autor napisał z sympatią o moim zamiarze przekształcenia dawnej pępickiej pastorówki w dworek ziemiański na podobieństwo mickiewiczowskiego Soplicowa.

Jak wybrałem Pępice

Jak to się stało, że wybrałem Pępice na miejsce mej pracy naukowej? Gdzieś w połowie lat 80. w okresie pisania książki o Łyczakowie zaczęło rosnąć we mnie marzenie, aby osiąść na wsi w jakiejś budowli przypominającej dworek ziemiański. Z jednej strony męczył mnie miejski hałas, wiecznie brzęczący telefon, tłumy interesantów, swary i polityczna szamotanina oraz coraz większa grupa otaczających mnie ludzi znerwicowanych. Z drugiej strony, po latach bytności poza domem, gdy upływ czasu widziałem głównie w rozkwicie urody moich córek, Wisłomiry i Ariadny, z licznych podróży naukowych do Lwowa, Kijowa, Moguncji, Monachium, Lozanny, Genewy, Paryża, Nancy czy Londynu nazwoziłem do swego małego mieszkanka na opolskiej Pasiece setki książek, dokumentów, fotografii, roczników gazet emigracyjnych, różnego typu osobliwości „przedpotopowych" i czułem, że tracę nad tym panowanie. Na to nawarstwiał się ciągły strumień listów płynących głównie od lwowian, tarnopolan, Pokucian i Wołyniaków, pomagających mi w redagowaniu artykułów i książek o mieście „Semper Fidelis" i tworzących moje prywatne archiwum łyczakowskie.

Dom bez telefonu

By się w tym wszystkim nie zagubić, nie dać zasypać książkami i szpargałami w mojej małej pracowni (3 m x 4 m) przy ul. Niedziałkowskiego w Opolu, na półpiętrze, przy pralni lokatorskiej, widziałem tylko jeden sposób – przenieść się na wieś. Książki, które planowałem, powstają wszak w samotności, gdy jest czas na namysł i kontemplację, na lekturę w ciszy i cieple świecącej żarówki oraz spacer z bliskimi sobie ludźmi po parku, lesie czy łące. Czułem, że narasta we mnie syndrom kwoki, tzn. tak jak u kury, która, znosząc jaja z zamiarem wydania potomstwa, musi mieć odpowiednie gniazdo, gdzie w spokoju i cieple spełni swe nakazane instynktem obowiązki, tak dla mnie gniazdem miał być dom na wsi, koniecznie bez telefonu, a zwiezione archiwalia, notatki i fiszki tworzywem, nad którym trzeba swoje wysiedzieć.

Rodzinny Strzegom

Początkowo myślałem, że będzie to dom w moim rodzinnym Strzegomiu, gdzie spędziłem pierwszych 21 lat swego życia i gdzie po habilitacji zacząłem prowadzić ośmiohektarowe gospodarstwo rolne. Dom rodzinny, o niebanalnej architekturze, miał jednak drugiego współwłaściciela i nie mogłem tam znaleźć odpowiedniej intymności. Począłem więc śledzić w prasie ogłoszenia oferujące sprzedaż nieruchomości wiejskich. Trwało to prawie dwa lata, w czasie których przejechałem wzdłuż i wszerz moim zdezelowanym fiatem cały Śląsk Opolski. Długo, w każdej z penetrowanych ofert, potykałem się o jakieś niedogodności. Raz była to wygórowana cena poza jakimkolwiek moim zasięgiem, to znów hałaśliwe otoczenie bądź kalecząca moją estetykę architektura. Zniecierpliwiony kilkakrotnie bliski byłem decyzji. Mógł to być „Dom nad łąkami" w Prószkowie, ocieniony ciężkimi orzechami i kasztanowcami dom w Skorogoszczy, niszczejąca posiadłość z wykoślawionymi jabłoniami w Masowie czy też „Malinowy chruśniak" w Pokoju.

9 A. Kostrzewa, *Wielokulturowe dziedzictwo Lewina Brzeskiego*, [w:] *Historyczne dziedzictwo Ziemi Brzeskiej…*, s. 77-82. W Lewinie Brzeskim osiadł Tadeusz Procajło (1919–1997) – sybirak, kanonier w armii gen. Zygmunta Berlinga, z którą od Łucka i Kiwerc poprzez Warszawę doszedł do Berlina, obecnie spoczywa na cmentarzu w Lewinie Brzeskim. Jego potomkowie, m.in. wnuk Robert Procajło, mieszkają w Lewinie Brzeskim i dbają o pamięć o swych kresowych korzeniach. Zob. St. S. Nicieja, *Kresowa Atlantyda*, t. X (*Zasmyki)*, Opole 2017, s. 262-264.

Wreszcie w kwietniu 1993 r., jadąc na Święta Wielkanocne do rodziców w Strzegomiu, zboczyłem z trasy na wysokości Brzegu i za opuszczonym rosyjskim lotniskiem znalazłem się w Pępicach, skąd doszła do mnie dzięki ogłoszeniu w „Trybunie Opolskiej" oferta sprzedaży domu przy wzgórzu kościelnym. Gdy wjechałem na dziedziniec posesji, doznałem olśnienia – toż to w układzie architektonicznym klasyczny dworek, któremu brakuje jedynie portyku z czterema białymi kolumnami. Decyzja była natychmiastowa. Tak. Tu będzie mój dom i miejsce mej pracy.

Gdy po kilku tygodniach spełniliśmy z żoną wymagane procedurą powinności i staliśmy się formalnie właścicielami domu, postanowiłem rozglądnąć się po wsi i dowiedzieć się, kim są moi sąsiedzi. I wtedy odkryłem, że prawie wszyscy wokół to Kresowiacy mówiący z charakterystyczną melodyką w głosie, na którą mam wyczulony słuch: Winiarzowie, Kubiccy, Durkaczowie, Łozińscy, Łuczyszynowie, Felsztyńscy, Janczurowie, Bucykowie, Dolipscy. Przeważali ci spod Lwowa i Tarnopola, ale nie brakowało też Wołyniaków.

Postanowiłem w wolnych chwilach spisywać ich wspomnienia. Tak zaczęła się moja kolejna niezwykła przygoda intelektualno-sentymentalna. Rozpocząłem od najbliższych sąsiadów – tych przez ulicę: Winiarzów i Durkaczów. Okazało się, że najstarsi z tych rodzin przybyli z Milatyna. Ich historia wędrówki na Śląsk obrosła legendą, która w swej poetyce wiąże się z metaforą o wędrownym taborze, o wielkiej wyprawie w nieznane. Historia ta wplata się w wielką wędrówkę ludów lat 1945–1947.

Mój dworek w Pępicach stał się też miejscem, gdzie mogłem gościć tak wspaniałe postacie, jak: pisarze – Tadeusz Różewicz, Ryszard Kapuściński, Wiesław Myśliwski, Olga Tokarczuk, Jerzy Janicki czy Józef Hen; pisarze, poeci i artyści związani ze Śląskiem Opolskim – Jan Goczoł, Kazimierz Kowalski, Marian Buchowski, Alojzy Wierzgoń, Bolesław Polnar, Marian Molenda, Edward Szczapow, Beata Wewiórka, Janusz Ireneusz Wójcik; twórcy teatru i filmu – Ewa Petelska, Adam Hanuszkiewicz, Wojciech Siemion, Wojciech Dzieduszycki, Krzysztof Zanussi; politycy i działacze – senator Dorota Simonides, senator Apolonia Klepacz, minister kultury Waldemar Dąbrowski, poseł Janusz Korwin-Mikke, poseł Tadeusz Samborski, minister Roman Duda, minister Stefan Jurga, Jan Nowak-Jeziorański, Ryszard Kaczorowski; historycy – Tomasz Szarota, Józef Garliński, Janusz Tazbir, Andrzej Grabski, Czesław Łuczak, Wojciech Wrzesiński, Adam Suchoński, Teresa Kulak, Mikołaj Iwanow; angliści – Tadeusz Sławek, Jacek Fisiak, Zdzisław Najder, Janusz Arabski, Andrzej Ciuk; medycy – Krzysztof Wronecki, Janusz Stasiak; poloniści – Zbigniew Sudolski, Adam Wierciński, Franciszek Ziejka; a także dziennikarze – Leszek Mazan, Mieczysław Czuma, Mariusz Urbanek, Barbara Stankiewicz, Tadeusz Bednarczuk, Zbigniew Górniak, Krzysztof Zyzik, Piotr Kieraciński; dyrektorzy Zamku Piastów Śląskich w Brzegu – Paweł Kozerski i Dariusz Byczkowski. W Pępicach gościli również: Irena Andersowa, Zbigniew Trzos, Krzysztof Spałek i Jan Kopcewicz.

Od 30 lat dworek w Pępicach jest miejscem, szczególnie w okresie letnim, licznych spotkań towarzyskich. Pełni też rolę swoistego muzeum rodzinnego – z dużą biblioteką (ok. 7000 książek), dużą kolekcją zabytkowych kafli piecowych oraz zgromadzonych na posesji różnych zabytkowych artefaktów, zwłaszcza żeliwnych pomp i maszyn rolniczych.

LUDWIK KOZOŁUB

WAGONEM DO LODOWATEGO PIEKŁA

W lutym br. minęły 84 lata od pierwszej deportacji Polaków na Syberię

Na Syberię wieziono ich pociągami towarowymi. Ta podróż trwała kilka tygodni (fot. Wikimedia Commons)

W latach 1945–1956 w naszym regionie mieszkało ok. 3000 sybiraków. W styczniu 2009 r. było ich już tylko 1200. To mieszkańcy Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej, deportowani w latach 1940–1956 na daleki wschód Rosji Sowieckiej, którzy przeżyli Golgotę Wschodu, po czym wrócili do ojczyzny, a zamieszkali właśnie na Opolszczyźnie.

Pomimo strasznych przeżyć, wywózki w bydlęcych wagonach, niewolniczej pracy w kołchozach, lasach i stepach, a także łagrach – przetrwali, w głodzie i chłodzie, zachowując swoją tożsamość. Próba przystosowania do ciężkich warunków wymagała nie tylko maksymalnej aktywności, ale i kontroli zachowań, zagrożenie życia mogło bowiem skłaniać do postępowania grożącego upodleniem i utratą godności.

Problem tożsamości dla jednostki lub grupy pojawia się w momencie, kiedy musi ona odpowiedzieć sobie na pytanie: „kim jestem" lub „kim jesteśmy?". Pojawienie się tego pytania jest oznaką, że coś z tą tożsamością się dzieje, że prawdopodobnie coś jej zagraża. Jakie są źródła owych zagrożeń?

Przywołajmy kilka wspomnień sybiraków ilustrujących ich postawę i refleksje w momencie deportacji oraz w czasie pierwszych dni po zetknięciu się z katastrofalną rzeczywistością.

Kazimierz Łysa (rocznik 1915), urodzony we wsi Stańko, pow. Drohobycz, po powrocie do Polski mieszkaniec Domaszowic, gm. Nysa: „Załadowano nas na sanie i jedziemy w kierunku wsi Lipowiec, odwróciłem się plecami do kierunku jazdy. Tak siedząc na saniach, pragnąłem objąć wzrokiem wszystko to, co mnie otaczało i gdzie żyłem od urodzenia przez 25 lat (…). To wszystko oddalało się i już zostało poza mną. A co jest przede mną? Wiedziałem już doskonale, że jestem zesłańcem, że jadę na Sybir. Z historii, której uczyłem się w szkole i z opowiadań ludzi starszych, wiedziałem, że Sybir to miejsce katorgi, gdzie ludzie ginęli w ciężkich warunkach, a wśród nich wielu naszych rodaków zesłanych przez carów rosyjskich. Wkrótce dojechaliśmy do stacji kolejowej w Rychcicach, gdzie na bocznicy stał pociąg towarowy. Na przodzie kilka wagonów było już zamkniętych, natomiast z tyłu transportu wagony otwarte, do jednego z nich nas załadowano i wagon zamknięto. Parowóz został zaczepiony do naszego transportu. Serca nasze zaczęły bić niespokojnie, a w oczach naszych ukazały się łzy, które powoli kapały na podłogę wagonu. Bólu, jaki odczuwaliśmy wtedy w naszych sercach, nikt nie potrafi opisać. Tak zaczęła się gehenna nas Polaków".

Jan Boryń (rocznik 1926), mieszkaniec Nysy, opowiadał: „Urodziłem się 23 czerwca 1926 roku w Osadzie Krechowieckiej na Wołyniu. Kiedy wybuchła wojna, wyrzucono nas z Osady i przenieśliśmy się do Równego. 10 lutego 1940 roku w nocy przyszło do nas NKWD. Powiedziano nam, że mamy się pakować i będziemy przesiedleni na inne miejsce. Powieźli nas we głąb ZSRR wagonami bydlęcymi i przydzielono naszą rodzinę do posiołka Południewica. Było to osiedle baraków drewnianych, a w każdym baraku mieściło się 100 osób. Nas było pięcioro i dostaliśmy pięć półek prycz. Pierwszego dnia zorganizowano zebranie i pierwsze słowa do nas skierowane były takie: *was wszystkich powystrzelać i ręka by się nie zatrzęsła, ale my będziemy was resocjalizować*. Po kilkudniowym załamaniu mieszkańcy baraków postanowili przetrwać, wobec wrogości enkawudzistów, bo w jedności siła – poczuliśmy się wspólną Polską".

Jak wspominała nysanka Michalina Starzyk (rocznik 1900) ze wsi Kozowa koło Tarnopola, podróż w bydlęcych, zakratowanych wagonach trwała sześć tygodni. Drzwi odsuwano rzadko, tylko po to, by dostarczyć trochę wody lub usunąć ciała zmarłych z zimna i głodu. Do wyczerpanych ludzi dociera straszna pewność – są polskimi zesłańcami na Sybir. Wreszcie docelowa stacja Pining. Dalej na płozach są wiezieni w mroźne, przepastne lasy tajgi syberyjskiej do posiołka Kamionka. To miejsce o tragicznej już historii: w latach 1934–1938 rzucono tu w śnieg 700 rodzin inteligencji rosyjskiej. Zginęli wszyscy. Pozostały po nich walące się baraki okolone z czterech stron wieżami strażniczymi i pryzmy ściętego, butwiejącego w lesie drzewa – owoc ich bezcelowej pracy oraz wiele wetkniętych między belki listów pożegnalnych z prośbą o powiadomienie rodziny, wyryte nazwiska, adresy… Teraz ten sam los czeka polskich zesłańców. Władze obozu nie pozostawiają co do tego żadnych wątpliwości: *stąd nigdy nie wyjdziecie, tutaj pozdychacie.*

Ale Polacy postanawiają przetrwać. Wspomagają się nawzajem, dzielą się każdą zdobytą żywnością, krzepią nadzieją i ufają w opiekę boską. Modlą się wspólnie słowami wiersza – modlitwy napisanego przez Michalinę Starzyk:

Królowo Polski, o święta Pani
Moje serduszko składam Ci w dani
Szczerą modlitwę ku tobie wznoszę,
O zdrowie rodziny tak bardzo proszę.
I proszę także chroń nas od złego
Kraj nasz kochany, żołnierza polskiego
Do ojczyzny naszej powróć nas zdrowo,
Polska Królowo, o Polska Królowo!

Sybiraczka Maria Konarska, deportowana ze wsi Chocięczyce, pow. Stara Wilejka, woj. wileńskie (po powrocie mieszkanka Żłobizny): „W końcu transport ruszył. W czasie drogi został jednak zatrzymany. Zabrano wiele kobiet i mężczyzn, uwięziono ich i chciano zmusić do podpisania zgody na przyjęcie rosyjskiego obywatelstwa. Było oczywiste, że podpisanie owej zgody zamyka jednocześnie możliwość powrotu do Polski. Więc prawie nikt tego nie podpisał. Wówczas przydzielono deportowanym kierunek zesłania oraz pozwolenie na pracę, po czym ludzie ci mogli wrócić do oczekujących ich w transporcie rodzin".

A teraz relacja mieszkańca Kluczborka Zygmunta Bielawskiego (rocznik 1919) z wsi Cepcewicze Wielkie na Wołyniu, wcielonego do Armii Czerwonej w październiku 1940 roku. W wyniku fałszywego donosu został postawiony przed sądem wojskowym: „Mówię: *Towarzyszu pułkowniku, jestem niewinny*, a on na to: *jesteś Polakiem, a wam i tak nie wierzymy*. Pomyślałem zatem, że można mnie zabić, bo mi nie wierzą i chociaż jestem niewinny, to jestem winny. Kazano mi wstać, bo sąd wychodził na uzgodnienie wyroku. Sąd wyszedł, usiadłem, ale już za minutę musiałem być gotowy przed rozprawą, a odgrywano jedynie przede mną przedstawienie o rzekomej sprawiedliwości. Przewodniczący czytał, że na podstawie paragrafu 58.10 część II, skazuje mnie na karę śmierci z konfiskatą mego mienia osobistego. Co jeszcze czytał, już nie wiedziałem, po ogłoszeniu wyroku wezwano mnie, bym pisał o ułaskawienie, a ja im mówię – *jestem za nic skazany, chyba że za to, iż jestem Polakiem. Stale byłem pierwszy we wszystkich ćwiczeniach i zajęciach. Wywożąc nas z Polski, powiedziano nam, że służbę wojskową będziemy pełnić w armii robotniczo-chłopskiej, gdzie szanują i cenią żołnierzy, gdzie jest sprawiedliwość i uznanie. Co mnie tu spotkało? Osądzono mnie na śmierć, strzelajcie zatem, nie przychodźcie więcej do mnie, ja nie mam do kogo zwracać się o litość, tu nie są przyjaciele lecz wrogowie moi i całego naszego narodu*. Moja wypowiedź wywarła na nich ogromne wrażenie. Pułkownik, trzymając moje akta, coś długo je przewracał i wreszcie rzekł: *Wiem, że można człowieka zniszczyć i zabić, dlatego piszę o łaskę do Stalina*".

Przywołajmy wspomnienie mieszkańca Opola Jana Cydzika (rocznik 1932) ze wsi Ryłkowice, pow. Grodno, sybiraka, który po 1948 r. za udział w walce z władzami PRL został skazany na śmierć, a po ułaskawieniu zesłany na 12 lat katorgi w ZSRR, którą odbył. Ale – jak się okazało – to nie był koniec jego kłopotów: „Pewnego dnia, w kwietniu 1959 roku, w południe, gdy byłem w pracy, przyszli po mnie, zabrali do obozu, do naczelnika. Oświadczono mi, że jako Polak jestem zwolniony z więzienia i dali mi do podpisania dokument, że jeśli przyjmę rosyjskie obywatelstwo, to mogę iść na wolność, jechać, gdzie zechcę i tam pracować. Spytałem, co będzie, gdy nie przyjmę ich obywatelstwa – odpowiedział mi, że mnie nie zwolnią. Pytam: *Co będzie dalej?* Oni odpowiedzieli, że zostanę wywieziony do Polski, do polskiego więzienia i w polskim więzieniu zginę. Odpowiedź dałem im taką: *Proszę mnie odesłać do Polski. Lepiej zginę w polskim więzieniu, ale i w polskiej ziemi, za którą walczyłem*. Wieczorem wzięli nas do łaźni. Dali nowe ubrania robocze bez numerów i odstawili na pociąg do Irkucka, z Irkucka samolotem do Moskwy, z Moskwy pociągiem do Brześcia – cały czas pod bronią. W Brześciu przyszli po nas polscy żołnierze i odprowadzili nas jako więźniów do okratowanego wagonu więziennego, w którym nas pozamykano. Nikogo do nas nie dopuszczając, powieźli do Inowrocławia – do więzienia. Rozpoczęły się znów przesłuchiwania".

Świadomość narodowa najpełniejszy wyraz znajduje w idei narodu oraz w patriotyzmie – postawie związanej z traktowaniem narodu jako jednej z najwyższych wartości. Wiadomo, że skwapliwie jest deklarowana przynależność narodowa w dniach sukcesu, ale w dniach klęski lub niepowodzeń wielu się jej wyrzeka. Polscy zesłańcy trwali przy polskości i religii katolickiej.

A oto potwierdzające tę myśl wspomnienie mieszkanki Brzegu Michaliny Orłowskiej (rocznik 1925), ze wsi Budzakowice, pow. Skala Podolska: „Moi rodzice mieli książeczkę do nabożeństwa, zaczęli więc odprawiać mszę, a później śpiewaliśmy kolędy. Ileż otuchy i nadziei wlał w nasze serca ten wieczór! Ale miał on tragiczne konsekwencje. Po kilku dniach przyszli enkawudziści, chcąc wiedzieć, kto zorganizował ten wieczór i kto brał w nim udział. W rezultacie tych dociekań mój ojciec został… księdzem, a ja jego pomocnicą. Zasłużyliśmy więc na karę. Prawie każdej nocy byłam wzywana na przesłuchanie. Wtedy dowiadywałam się, że współpracowałam z Niemcami, że wysadzałam mosty itp. Kiedy nie wzywano mnie, słyszałam krzyki więźniów poddawanych śledztwu. Te noce były straszne. Często prowadzący śledztwo byli kompletnie pijani. Wtedy znęcali się już bez żadnych zahamowań. Raz jeden z nich rzucił we mnie popielniczką, uderzając w głowę. Prawdopodobnie biłby mnie dalej, ale straciłam przytomność i upadłam zalana krwią. Przerwano śledztwo i zostałam zawleczona do celi pełniącej rolę izolatki. Nie wiem, jak długo leżałam na kamiennej posadzce, aż zajrzał do izolatki klucznik, mężczyzna pełniący rolę strażnika czy woźnego. Ten starszy człowiek, gdy tylko zobaczył, w jakim jestem stanie i stwierdził, że gorączkuję, natychmiast wezwał sanitariuszy, a ci zabrali mnie do więziennego szpitala".

Rolę religii w życiu sybiraków podkreślała cytowana już Maria Konarska: „Oprócz pracy istniało też życie religijne. Właściwie religia była dla nas jedyną nadzieją, pozwalała zapomnieć, chociaż na krótko o naszym losie. Moja ciotka, Teresa Mirkowska, zajęła się organizowaniem nabożeństw, spotkań, na których rozmawialiśmy o Bogu, śpiewaliśmy pieśni. Nie mogliśmy robić tego w sposób jawny, często więc wieczorem spotykaliśmy się w jednym z baraków i pokrzepialiśmy się wzajem-

nie, wtedy to nauczyłam się modlić. Obok nas, Polaków, mieszkali też i inni osadnicy. Ludzie ci, karmieni sowiecką propagandą, z początku bali się kontaktów z nami. Z czasem jednak nędza i problemy zjednoczyły nas, chociaż pewne rzeczy, jak np. nasze nabożeństwa, wzbudzały ich ciekawość, ale i pewną obawę. Nie była to jednak wrogość".

Modląc się, sybiracy szukali w tej zadumie doświadczenia nadziei. Bo wiara i patriotyzm tworzą obszar symboli, które głęboko się przenikają w losach polskich zesłańców na Sybirze. Walka o zachowanie tożsamości polskiej, szczególnie młodego pokolenia (dzieci i młodzież), toczyła się bardzo ostro. Władze sowieckie robiły wszystko, by wyrzekano się polskiego obywatelstwa. Osoby, które temu się sprzeciwiały, szykanowano różnymi sposobami, a nawet skazywano na więzienie. Potwierdzenie tego znajdujemy m.in. we wspomnieniu Tadeusza Izdebskiego z Opola, urodzonego w Wysokim Litewskim k. Brześcia. Gdy wywieziono go wraz z rodziną, miał dziewięć lat. „W czerwcu 1943 r. matka została aresztowana za odmowę przyjęcia radzieckiego paszportu. Mama była wspaniałym człowiekiem. Gdyby nie ona, nie wiadomo, co stałoby się z nami po śmierci ojca. Być może nie zobaczylibyśmy naszej ojczyzny. Uratowała nas dla Polski za cenę dwóch lat więzienia, którą odsiedziała co do dnia. Nie godziła się na wręczenie jej paszportu radzieckiego, gdyż wiedziała dobrze, że wtedy nieletnie dzieci wpisane w ten paszport, jako obywatele radzieccy stracą na zawsze prawo do swojej narodowości. Była naszym jedynym ratunkiem, również wtedy, gdy siedziała w więzieniu, zanim jednak do niego trafiła, trudno dziś sobie nawet wyobrazić, co przeżyła".

Układ zawarty pomiędzy Sikorskim a Majskim przywrócił polskim zesłańcom obywatelstwo polskie, a z tym związane były pewne prawa. Protokół dodatkowy do wspomnianej umowy głosił: „Z chwilą przywrócenia stosunków dyplomatycznych, rząd ZSRR udzieli amnestii wszystkim obywatelom polskim, którzy są obecnie pozbawieni swobody na terytorium ZSRR, bądź jako jeńcy, bądź z innych powodów". Ale szczęście nie trwało długo. W styczniu 1943 r. uchylone zostały określenia obywatelstwa polskiego na podstawie przynależności narodowej, co było podstawą amnestii. W marcu i kwietniu tegoż roku, po odkryciu grobów w Katyniu, znów odebrano Polakom prawo do ich obywatelstwa. Odbywało się to zgodnie z sowieckimi obyczajami – zawsze pod pozorem prawa i dobrowolności. Do NKWD byli wzywani wszyscy powyżej 16. roku życia i musieli „dobrowolnie" podpisywać zgodę na przyjęcie obywatelstwa radzieckiego. Za odmowę groziła kara wieloletnie więzienia lub łagrów. Podpisywały ten dokument niemal wyłącznie nieliczne matki małych dzieci, nie chcąc ich zostawiać na pastwę losu, jednocześnie ryzykując, że już nigdy nie będą miały podstaw prawnych, by starać się o powrót do Polski. Ci, co nie podpisali, zarówno matki, jak i młodzi mężczyźni, istotnie szli do więzienia i łagrów z różnymi wyrokami. Niektórzy z nich zostali wypuszczeni dopiero po roku 1956.

Wspomnienie Romany Dolińskiej z Opola (rocznik 1932), z Podleszówki Wielkiej, pow. Podhajce, woj. Tarnopol, wieloletniej prezes Zarządu Wojewódzkiego Związku Sybiraków w Opolu: „Któregoś dnia mama wróciła z pracy i nie miała nas czym nakarmić. Zaczęliśmy płakać i kłócić się między sobą. Wtedy mama zwróciła się do nas, mówiąc: *Jeżeli nie przestaniecie płakać i kłócić się, to pójdę do lasu i więcej do was nie wrócę. Zechciejcie mnie zrozumieć, że moje serce pęka z żalu, bo nie mogę was dziś niczym nakarmić*. (…) Przytuliła nas do siebie i wszystkim przy cichym łkaniu toczyły się łzy po policzkach. Zapomnieliśmy nawet o głodzie. (….) W czasie modlitwy nie klęczał tylko młodszy brat, był bardzo słaby. Mamie byłoby lżej, gdyby spełniła żądanie władzy i oddała nas do domu dziecka, ale tego nie uczyniła i zostawiła nas przy sobie. Byliśmy wdzięczni mamie, że nas uchroniła przed zrusyfikowaniem i że mogliśmy dalej dzielić wspólnie nasz los zesłańczy".

Matki – sybiraczki, wyrwane z dotychczasowego środowiska, pozbawione męskiej opieki, musiały zdać się tylko na siebie. Podejmowały się każdej pracy, mimo braku sił. Były nawet skłonne sprzedawać rzeczy przywiezione z ojczyzny. Często same głodowały, by móc nakarmić dziecko. Miłość macierzyńska była wystawiana na wiele prób, sytuacje, na których przebieg matki nie miały wpływu, łącznie ze śmiercią dziecka. Niekiedy zdarzało się, że te kobiety odchodziły od zmysłów. To one, kruche i słabe fizycznie, ale dzielne i wytrwałe Polki patriotki potwierdziły swą polską tożsamość narodową w warunkach trudnych, bolesnych, a nawet tragicznych.

Joanna Matlachowska-Pala

***
Na zielonym moście
zakochani przypinają kłódki
każda z imieniem
jej i jego

Miłości pozamykane na trzy spusty
klucz drzemie w mule rzeki

Taka zamknięta miłość
dziczeje
dusi się z braku miejsca i powietrza
ucieka przez dziurkę od klucza
oplata balustradę mostku
sięga do wody
i jesienią odlatuje w te pędy
z kluczem dzikich kaczek
gdzieś za morza

Przyjdź

W sierpniowy wieczór
powietrze pachnie nadchodzącym deszczem
zmieniają się nasze pogody
– nietrwałe wnętrza
zapalają parkowe latarnie

Ukryty wśród drzew niewidoczny grajek
gra na trąbce:
dźwięk to unosi się to opada
– wraz z nami
ćma bezszelestnie przysiada na włosach
i umyka
kolorowe plamki koszulek biegaczy
przesuwają się na granicy łąki
jak małe owady

Trzymam się mocno przestrzeni
choć grawitacja powoli zanika
niebo otwiera się nagle gwiazdami

tak dużo mam tu pustego miejsca
za dużo

***
Nie opuszczała porannej kawy
porządkowała stół
rozkładając kolorowe serwetki
słodycze w miseczce
Wszystko następowało po kolei
dwa życia splatały się w warkocz
Wielkanoc zmiana leków
kwitnienie kasztanów kaszel
bzy i jaśminy z gorączką
całkiem szalone

Cierpliwie jeździła na zabiegi
pozwoliła na dren
i zwisający u jego końca worek
szwy i igłę
„Ile się człowiek musi nameczyć
żeby jeszcze trochę pożyć"
– powiedziała kiedyś
i niedługo potem umknęła
zostawiając mi to zdanie
jak swój pomnik

i mnie
z otwartymi ustami
w tej nieśmiertelności

Nić

Czytając Lewisa
zaskoczona radością jak on wtedy w ogrodzie
i tym że zawsze znajdzie się ktoś
kto czuje i myśli podobnie
ze zdumieniem odkrywam tę prawdę
na swój użytek
podtrzymując więź z cieniem
przywiązanym do tamtej ziemi
i kości złożonych za morzem Albionu
w zieleni za zębami klifów

A ja tutaj po latach
trzymam w ręku pudełko z myślami
jak odkopany skarb
sikorki skaczą z gałęzi na gałąź
zaskoczona radością
stukaniem dzięcioła

AGNIESZKA KANIA

OBRZEŻA

Pomnik żołnierzy, mieszkańców wsi Goslawitz (dzisiejsza dzielnica Opola – Gosławice) poległych podczas Wielkiej Wojny (fot. Patrycja Kucik)

Prawie codziennie jadę tą drogą. Wyruszam z wiejskiego domu i skręcam w leśny dukt, który poorały ciężarówki wożące drewno do tartaku. Ta ścieżka to koleina na koleinie, jak tak dalej pójdzie, będę potrzebowała nowych opon. Za Rankosiem wybieram nitkę prowadzącą do Kup, przelatuję przesiekę, wpadam do Dobrzenia i zwalniam, ponieważ za tablicą czają się patrole. Mijam elektrownię i Czarnowąsy, koło Alibaby (w dawnej knajpce handluje się dziś markowymi pisuarami) wjeżdżam w Gosławice i ul. Wiejską. Poruszam się pod podszewką, omijam dzięki temu zatłoczony środek miasta.

Ten pomnik stoi przy kaplicy Cmentarnej. Upamiętnia poległych podczas Wielkiej Wojny żołnierzy ze wsi Goslawitz. Było ich 72. Marmur przechowuje imiona, nazwiska i daty śmierci. Na postumencie leży martwy człowiek. Wyrzeźbiony z kamienia wojownik obuty jest w nieforemne saboty przypominające buty ortopedyczne o ciężkich podeszwach.

Na mapie z XIX w. Goslawitz to tylko dwa paciorki domów wzdłuż cienkiej smugi drogi. Po jednej stronie płaszczą się pola uprawne, po drugiej marszczą wody Kalichteichu. W latach 30. XX w. to największe jezioro Oberslesien przesunięto za Turawę, tak jak lisica przenosi swoje szczenięta do wykopanej w bezpiecznym miejscu nory. Jak się przenosi jezioro? Najpierw należy zaczopować tętnice, te wszystkie rzeczki i strumyki, którymi

płynie woda. Zalew doznaje wtedy udaru i rozpaczliwie broni się przed wyschnięciem, jak człowiek, któremu zawał mózgu odbiera mowę. Jednak z miesiąca na miesiąc jezioro słabnie, kurczy się, karleje. Wreszcie można je zasypać. Na bagnach wyrastają kaczeńce, wiązówki i krwawnice, słychać klangor żurawi i granie żab. Potem rechot zacicha, a ziemia zapomina, że kiedyś leniuchowała pod wodą i rok w rok musi rodzić pszenicę, żyto i jęczmień.

W innym miejscu, gdzieś pomiędzy Turawą i Szczedrzykiem, trzeba wysiedlić kilka przysiółków, wypłacić utopcom odszkodowanie, sprowadzić z Rzeszy inżynierów i robotników skłonnych pracować na trzy zmiany. Trzeba również ściągnąć geologów, botaników i archeologów, by zadbali o odkopane przy okazji znaleziska z III w. naszej ery. Wszystkim zapewnić nocleg i stołówkę, a doktorowi Georgowi Raschkemu, szefowi uczonych, wynająć dom z ogrodem i służbą. W kwietniu 1938 r. trzeba stanąć na wałach i obserwować, jak pod wodą gubią się przysiółki Łuk, Zamoście i Kryślina, jak się topią młyny, wiatraki i zagrody, szkoła, kapliczka i sklep Ryszarda Konieczki. Jak znikają stodoły, chlewiki i krzywa wierzba, pod którą Matysskowa zwykle klachała z Olmową.

W czasach Kalichteichu, zanim Turawa-See napełniło się wodą, mieszkańcy Goslawitz jeździli do Oppeln furą lub na kołach, czyli rowerach. Jeśli nie dali po bremsach lecz pedałowali ile sił w nogach, to w dziesięć minut parkowali na Tuchmarkcie (Małym Rynku). Wieś ma prawie 800 lat. Za Piastów należała do możnego Gosława, toteż XIV-wieczny kronikarz pisze o niej Villa Goslavici. Wystarczyło zniemczyć imię, by Goslawitz spodobało się Czechom, Habsburgom, Prusakom i wreszcie samym Ślązakom. Ale do czasu. Po przewrocie hitlerowskim NSDAP orzekło, że Goslawitz jest skundlone i odtąd ma być Ehrenfeldem. Polem chwały. Może dorf – przechrzta chciał się zrehabilitować, a może zauroczył go posąg Myrtka w Opplen, ten z łucznikiem celującym w paszczę smoka? W każdym razie wymyślił, że uhonoruje swoich poległych na Wielkiej Wojnie mężów, synów, fatrów i szwigerfatrów.

Związek Weteranów (Kriegerverein) wybrał komitet budowy pomnika, aż 33 mężczyzn, przeważnie narodowców, bo większa część wsi zapisała się do partii. Komitet zwerbował wykonawcę i zaklepał cenę: 1400 marek niemieckich. Lokalna spółdzielnia energetyczna obiecała 500 reichsmarek, resztę dorzuciła wioska. Na każdą ślepą starkę, samotną matkę z drobnicą – rozbrykanymi pyrtkami i wstydliwymi dziouszkami, na kulawą sklepikarkę, nawet na Alojza, któremu brakowało piątej klepki, przypadło 65 reichsmarek (bochenek chleba kosztował wtedy 31 fenigów, litr mleka 23, a niewielki worek ziemniaków 50 fenigów).

Miastowy artysta, Joseph Kokott, wyrzeźbił Ehrenfeldowi martwego chłopca. Wynędzniały i kościsty, w za dużym mundurze i pikielhaubie, nieumalowany do truny (jak się tu mówiło na trumnę) leżał na niewysokim cokole jak na marach. Kobiety ze wsi przychodziły do niego pobejeceć. Stojąc w kręgu, paliły gromnice i cichutko powtarzały wypominki jak w czuwaniu, odwiecznym rytuale, który każe pilnować umrzyka, dopóki nie wyschnie i stężeje na tyle, by go oddać ziemi. Pierwsza pod pomnik przykuśtykała Farysowa. (Jej pierworodny Peter zawieruszył się pod sam koniec Wielkiej Wojny. Właśnie się brała za pieczenie kuchty z jabłkami, gdy przydreptał garbaty Janetzko i powiedział, że jej Peterka ubili). Obmyła kamienne ciało wodą z mydłem, wytarła lnianym ręcznikiem, nachyliła się i pocałowała w zimne usta. A potem zaczęła zawodzić. Jej pieśń była jednym wielkim lamentem. Starka wyśpiewywała prośbę o znak, podpowiedź, gdzie szukać ciała syna. Zawodzenie usłyszała kostropata Hilda, ta która mieszkała na skraju wsi, przy późniejszej restauracji Alibaba. (Michaela, jej męża, zwieźli na przednówku 1915. Miał dziurę w brzuchu i pogruchotane nogi. Stracił się w środku marca. Mróz wtedy nie odpuszczał, ziemia była twarda, Hilda połamała trzy szpadle, zanim wykopała dół. Nie było jej stać na ceremoniarzy i karawan. Ledwo wysupłała pieniądze na sękatą trunę). Hilda zawtórowała Farysowej. Głos miała mocny, jakby dęła w tubę. Wieś wysypała się z zagród. Pieśń potężniała, niosła się po polach, dochodziła do najdalszych chałup, o których mówiło się Kolonia. I tam rozwierały się okna i skrzypiały zawiasy w ciężkich wrotach stodół. Ludzie zostawiali rozgrzebaną robotę, niewydojone krowy i szli pod pomnik, żeby śpiewać zmarłym, każdemu z 72 żołnierzy. Pieśń zamilkła, kiedy w '39 mężczyźni ze wsi zaciągnęli się na *der grosse deutsche Feldzug gegen Polen* (wielką niemiecką kampanię przeciwko Polsce).

A zima '45 była sroga. Pod koniec stycznia temperatura spadła poniżej 20 stopni. Przymarzły ziemniaki w kopcach, zdechły wychłodzone kury. Paliło się resztkami węgla, a gdy go zabrakło to czymkolwiek. Nad Ehrenfeldem unosiły się kłęby duszącego dymu. W pyle błądziły złowieszcze wrony, obsiadały ośnieżone pola, które dawniej były jeziorem Kalichteich. Niektóre ptaki

dreptały w miejscu, inne kroczyły ze złożonymi skrzydłami. Jak strażnicy.

Z daleka żołnierze Armii Czerwonej wyglądali jak kuropatwy. Zbliżali się grupami, po trzech, czterech, dziesięciu. Kobiety podglądały Rusów przez wypucowane okna i uciekały z domów-jamników do lasu. Ale nogi plątały się w szerokich mazelonkach, toteż niektóre dzioucha kryły się po piwnicach. Przycupnąwszy za szafką z wekami, liczyły, że Rusy ich nie znajdą. Wyłuskiwali po jednej, po dwie. Czasem kopali ciężkimi butami po głowach, brzuchach, gdzie popadło, dźgali pordzewiałymi prętami albo tłukli wyrwanymi z płotów sztachetami. Gertruda pobiegła do szopy na węgiel. Straciła kilka minut, mocując się z zasuwą, wreszcie zagrzebała się w kopcu pszenicy, ponieważ spichlerz nie był zaryglowany. Słyszała, jak Rusy przewracają kosze z drewnem, jak ukręcają kurom łby, przetrząsają chlewy. Wytargali i ją.

Jej śmierć ma szesnaście lat
Konając we krwi na bruku
skąd ma wiedzieć, że kona.
Jest tak szczelnie wypełniona młodością,
że nawet jej konanie jest młode.
Nie umie umierać. Umiera przecież
pierwszy raz.

Anna Świrszczyńska napisała ten wiersz o dziewczynie umierającej w Powstaniu Warszawskim. Pewnie zmieściłaby się w nim i zabita w Ehrenfeld Gertruda.

*****

Opole pożera coraz to nowe wsie, ich nazwy dziedziczą kolejne dzielnice. W latach 70. ubiegłego wieku miasto połknęło Gosławice (wczoraj Ehrenfeld, przedwczoraj Goslawitz, onegdaj Villae Goslavici). Na obsianych żytem polach zbudowało sobie osiedle z wielkiej płyty. W setkach M2 i M3 zmieściłby się calutki Żywiec albo i Augustów. Stojący tam pomnik nie pasował do Związku Walki Młodych – takie imię nosiło blokowisko, więc w 1976 r. władza kazała go zniszczyć (posąg martwego żołnierza jeszcze w '45. rozbili Sowieci, a ogołocony cokół zarastał chaszczami). Wioska się o tych planach dowiedziała, skrzyknęła i zanim buldożery wjechały na skwerek przy Alibabie, odbiła kamienne płyty i na taczkach dopchała na plebanię. 72 żołnierzy zmieściło się w niedużej piwnicy, gdzie proboszcz trzymał kościelne ławki przeznaczone na opał.

Na początku XXI w. Towarzystwo Pomocy Niemcom na Śląsku upomniało się o pomnik. Miał stanąć w nowym miejscu, przy gosławickiej kaplicy Cmentarnej. Wtedy to odgruzowano płyty z nazwiskami poległych i zadatkowano rekonstrukcję zniszczonego przed laty posągu wojownika.

Kamieniarz z Wrzosek nie miał talentu Josepha Kokotta, toteż replika przypomina trochę rozbójnika Rumcajsa spod Jiczyna (ta sama bujna broda i zadarty nos). Uroczystość odsłonięcia zaplanowano na wrzesień 2010 roku. Była władza, zagrali Nieznani Muzykanci, a wkrótce rozpętała się afera o żelazny krzyż, hełm, karabin i skwerek przy kaplicy. Interweniował nadzór budowlany, wkroczyła prokuratura, wandale rozbili płotek, nienawistnicy obrzucili postument zgniłymi jajkami. Minęły lata. Wrzawa ostygła. Pomnik porasta mchem i nikt już o nim nie pamięta.

NOTATKI PASIECZNE

ELŻBIETA OLAK

MOST

Most nad Odrą w Opolu (fot. Elżbieta Olak)

Nad moją rzeką budują nowy most. Tuż obok starego, zielonego, zabytkowego, który jakoś wrósł w ten widok, był tu dla mnie od zawsze. Wyłaniał się zza zakrętu, wyznaczając miejsce spotkań: przed mostem, na wysokości mostu, za mostem z mojej strony.

Przechodziłam pod jego zniszczoną miejscami konstrukcją setki razy, czułam hałas i wibracje w całym ciele, kiedy przejeżdżał pociąg. Można było krzyczeć wtedy z całych sil, jak Lisa Minnelli w filmie *Kabaret*. I głos nie był słyszalny. Deski mostu były spróchniałe, co wiem z relacji lekkomyślnych śmiałków, co to skracali sobie drogę na drugi brzeg, licząc na to, że nie pojedzie akurat pociąg. I nie pojechał, choć niejedna noga zapadła się na spróchniałej desce. Most był częścią krajobrazu, pod nim wzbierała i wylewała rzeka; pod nim toczyły się pikniki, rozmowy, milczenia, czytało się książki i robiło się zdjęcia na jego tle.

Lecz mija czas i ktoś uznał, że trzeba nowego, większego mostu. Nie lubię zmian, a szczególnie jak zmienia się widok na skutek działania człowieka; lecz cóż, nowy most właśnie powstaje i cokolwiek by myśleć, to jest to nadal most przez naszą rzekę, i w jakiś sposób potrafi i on zachwycić swoim rozmachem. Patrzę, jak pracownicy dodają kolejne kawałki i na stalowych linach przeciągają całą konstrukcję na drugi brzeg. Most powoli i dostojnie sunie wprost do mnie, rozkwita niepostrzeżenie, całkiem jak kwiaty – widać efekty, ale nie jestem w stanie zaobserwować samej zmiany. Jest coraz bliżej, majestatyczny, biały i nowoczesny, rzuca już swój cień na stary, zielony, który przy nim wygląda jak ubogi krewny.

Czy będę umiała go pokochać?

I dlaczego właściwie to miałoby być ważne, dlaczego w ogóle przywiązywać jakąkolwiek wagę do błyszczącego ciała rzeki, i do konstrukcji przerzucanych ponad

nim? Przypominają mi się inne rzeki, zawsze jakoś ważne, jakby w nich biło serce miasta. Sekwana, gdzie kiedyś spędziłam z przyjaciółką cały dzień, chodząc tylko mostami ponad nią, tam i z powrotem, dla odpoczynku przysiadając na brzegu i patrząc w jej kojący nurt. Bogini Ganga w Indiach i jej święte ciało, któremu można ofiarować naszyjnik z kwiatów oraz Jamuna, bogini-rzeka, wyobrażona jako kobieta z narzuconym na ramiona szalem, żeby nie zmarzła na zimnie. Nasza Odra codzienna, zmiennokolorowa, wzbierająca, zamarzająca, inspirująca, kontemplacyjna; w którą bez końca wskakuje mój pies i potem malowniczo strząsa z siebie setki srebrnych kropli.

I w końcu przypomina mi się temat pracy pisemnej, zadanej nam przez wykładowcę na studiach ze sto lat temu. Mosty. I tyle. Temat – jedno słowo, w pierwszej chwili wydawał się mnie, dwudziestoletniej, absurdalny. Mosty, ale że co z nimi? Pamiętam jednak, że napisałam pracę, niebieskim atramentem na kratkowanym papierze. Wielkie mosty, jak ten tutaj, przeciągany na drugi brzeg na linach, imponujący, wręcz przytłaczający, dumny rezultat ludzkiej myśli konstrukcyjnej. Czerwony Golden Gate Bridge w San Francisco, nieco oniryczny, widziany tak dawno, że nierealny, wiecznie we mgle. Pont des Arts z *Gry w klasy* Cortazara, skąd mieli skoczyć na barkę z węglem, zanim nie było jeszcze za późno. Mosty z zapadającego głęboko w serce filmu o Madison County. Mosty metafizyczne. Mosty łączące, ale też mosty dzielące, spalone mosty, mosty przerzucane, romantyczne mostki, kładki, pnie w na górskich szlakach i oblodzone drabiny w Himalajach. Wśród tej wielkiej rodziny – nowy most kolejowy nad Odrą.

Stoi teraz tuż obok starego, zielonego, w którym gołębie jeszcze wiją sobie bezpieczne, jak im się wydaje, gniazda. Biały i monumentalny, bez zakamarków, zacieków, starych desek i historii.

Tylko czy będę umiała go pokochać?

JÓZEF TOMASZ JUROS

ALEXANDER VON HUMBOLDT W OZIMKU

Alexander von Humboldt jako radca w mundurze pruskiego urzędnika górniczego (obraz olejny Rafaela Ximeno y Planesa, 1803)

Friedrich Wilhelm Heinrich Alexander von Humboldt, wybitny przyrodnik, podróżnik i twórca nowoczesnej systematyki roślin, geografii, meteorologii, pierwszy ekolog, uznawany największym humanistą swojego czasu, urodził się 14 września 1769 roku. Studiował m.in. we Frankfurcie nad Odrą, Berlinie, Getyndze i Freibergu.

Zanim jednak dał się poznać jako największy na świecie przyrodnik i podróżnik, w latach 1792–1797 podjął pracę w urzędach górniczych, w służbie pruskiej. Bezpośrednio po ukończeniu studiów, w styczniu 1792 r., w Akademii Górniczej w Freibergu, w wieku zaledwie 22 lat został zatrudniony w Departamencie Górnictwa i Hutnictwa w Berlinie w randze asesora (*Bergassesor*). W tym też czasie doszło do pierwszego spotkania Humboldta z Friedrichem Wilhelmem hrabią von Redenem zarządzającym śląskim górnictwem i hutnictwem oraz Heinrichem Friedrichem Karlem von und zum Steinem, późniejszym ministrem i pruskim reformatorem. Obaj zaproponowali mu wspólną podróż do Freibergu. Ani obaj dostojnicy, ani Humboldt nie zrobili na sobie dobrego wrażenia w czasie tej podróży. Spotkanie to jednak miało mieć w przyszłości duże znaczenie dla dalszej kariery Humboldta i wydarzeń najbliższych lat.

Po mianowaniu na stanowisko zarządzającego górnictwem w księstwach Bayreuth i Ansbach, 29 czerwca 1792 r. wyruszył z Berlina, aby objąć obowiązki. Na miejsce dotarł po 12 lipca, rozpoczynając swoją pięcioletnią służbę we Frankonii od podróży inspekcyjnej. Rzetelność sporządzonego raportu i wrażenie, jakie zrobił on na ministrze von Heinitza, przesądziły o mianowaniu Humboldta, 6 wrześniu 1792 r., zarządzającym górnictwem i hutnictwem okręgu Ansbach-Bayreuth w dzisiejszej Frankonii w randze wyższego mistrza górniczego.

W związku z nowymi wyzwaniami Humboldt jeszcze w tym samym roku, 23 września, wyruszył w podróż, której celem było poznanie nowoczesnego górnictwa i hutnictwa. Przez Bawarię, Austrię i Czechy dotarł na Górny Śląsk. Na dłużej zatrzymał się w Tarnowskich Górach, skąd odbył liczne wycieczki do górnośląskich kopalń, Krakowa, Ojcowa i Wieliczki. W drodze do Wrocławia zatrzymał się m.in. w Opolu i Ozimku (*Malapane*). Z punktu widzenia historii Śląska istotne jest prześledzenie przyczyn i przebiegu wizyty Humboldta na Śląsku. Aby je poznać, należy się cofnąć do wydarzeń, które miały miejsce dwa lata wcześnie.

Sen srebrny Goethego

W podobnych okolicznościach i z podobnych przyczyn podróż na Śląsk odbył w roku 1790 najwybitniejszy niemiecki poeta okresu romantyzmu, dramaturg, prozaik, uczony i polityk Johann Wolfgang Goethe (1749–1832). Będąc w służbie Karola Augusta księcia Sachsen-Weimar (od roku 1774 w randze ministra), zajmował się m.in. leżącymi w powiecie Ilmenau, u podnóża Lasu Turyńskiego, opuszczonymi kopalniami rud metali: miedzi, ołowiu, srebra oraz manganu. Goethe marzył o pozyskiwaniu srebra z tych kopalń, dlatego postanowił je ponow-

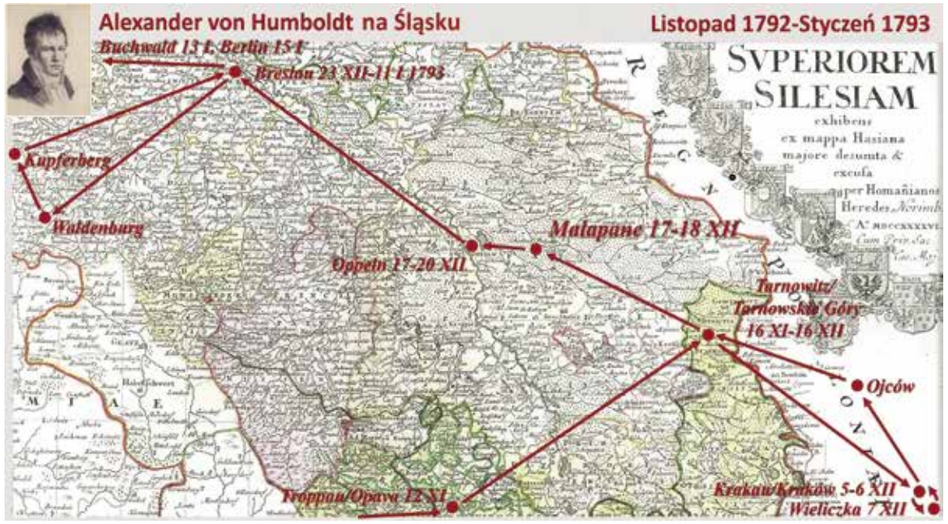

Trasa podróży Humboldta po Śląsku

nie uruchomić. W czasie eksploatacji kopalni wystąpiły jednak trudności spowodowane zalewaniem wyrobisk przez wody podziemne. Goethe rozwiązania problemu postanowił szukać na Śląsku. W tym celu 16 sierpnia 1790 r. spotkał się z hrabią von Redenem w jego służbowym mieszkaniu we Wrocławiu, przedstawiając życzenie zapoznania się z działaniem nowej „maszyny ogniowej", zainstalowanej niewiele wcześniej w kopalni Fryderyk w Tarnowskich Górach, a służącej odwadnianiu tamtejszych sztolni. To życzenie spełniło się w trakcie podróży do Tarnowskich Gór (4 września 1790), Krakowa (5–7 września 1790), Wieliczki (6 września 1790), Częstochowy, Lublińca i Ozimka (8–10 września 1790), którą Goethe odbył wspólnie z księciem Karolem Augustem. Hrabia von Reden towarzyszył im w czasie wizyt w licznych śląskich kopalniach i hutach. Niewątpliwym powodem odwiedzin Goethego w Królewskiej Hucie Malapane w Ozimku było rozpoczęcie przez nią właśnie w tym czasie samodzielnej produkcji maszyn parowych.

Nie wiadomo, czy Alexander von Humboldt uzyskał relację z tej podróży bezpośrednio od Goethego. Wiadomo, że nie tylko spotykali się częściej, ale także zaprzyjaźnili się w roku 1794. Świadczy o tym chociażby znany późniejszy rysunek, przedstawiający spotkanie Goethego i Friedricha Schillera, ówczesnego profesora na Uniwersytecie w Jenie oraz Wilhelma i Alexandra von Humboldtów, które miało miejsce właśnie w tym roku. Wspólnie wydawali czasopismo „Horen", które ukazało się po raz pierwszy w roku 1795. Do współpracowników tego pisma zaliczali się najwybitniejsi ówcześni pisarze, uczeni i filozofowie, m.in. Johann Gottfried Herder, Johann Gottlieb Fichte, August Wilhelm Schlegel, Wilhelm von Humboldt, Alexander von Humboldt, Johann Heinrich Voß oraz Friedrich Hölderlin. Jest jednak prawie pewne, że Humboldt o podróży Goethego był informowany na bieżąco przez Abrahama Gottloba Wernera (1749–1817), profesora mineralogii i górnictwa na Akademii Górniczej we Freibergu. Werner był nauczycielem i mentorem Humboldta podczas jego studiów we Freibergu, a jednocześnie przyjacielem Goethego. Jest wielce prawdopodobne, że to właśnie dzięki Wernerowi doszło do spotkania, a potem przyjaźni Humboldta i Goethego.

Listy Johanna F. Zöllnera, podróże Humboldta

Niewątpliwą inspiracją dla Humboldta była znajomość z Zöllnerem, który rok przed nim odbył podróż na Śląsk. Johann Friedrich Zöllner, pruski królewski nadradca konsystorialny i proboszcz w Berlinie swoją relację z podróży z Berlina do Wieliczki, odbytej wspólnie z baronem von Carmerem (Johann Heinrich Casimir von Cramer, 1721–1801), ówczesnym tajnym radcą Izby Wojenno-Domenalnej we Wrocławiu, opisał w wydanych w roku 1792 *Listach*. W *Liście czternastym*, napisanym w Kluczborku 16 lipca 1791 r., relacjonował drogę z Brzegu do Kluczborka, pisząc m.in. o „powszechnie używanym we wsiach języku polskim" i szczegółowo opisując samo miasto Kluczbork. *List piętnasty*, napisany w Ozimku 17 lipca 1791 r., dotyczy wizytowanych w tym samym dniu kluczborskich lasów, z licznymi osadami kolonijnymi i hutami żelaza oraz drogi do Ozimka. Końcowy fragment *Listu* zawiera opis Ozimka. Szczegółowo opisał powstanie huty, zasługi jej budowniczego Rehdanza, sam zakład, jego zabudowania i wyposażenie. Wspomniał o wizycie króla Fryderyka Wilhelma II i tablicy, która ją upamiętniała. W towarzystwie nadinspektora hutniczego Helmkampfa miał okazję przyglądać się procesowi odlewania bomb. Kolejny opis zakładów doliny Małej Panwi znajdujemy w dalszej części listu, pisanej już w Tarnowskich Górach 19 lipca 1791 roku. Opisał w niej wizytowaną wczesnym rankiem dnia poprzedniego Dębską Kuźnię, Jedlice i kolonię w Antoniowie, a także zakład w Krasiejowie. Przytoczył też wyniki wszystkich zakładów wchodzących w skład zespołu podległego Urzędowi Hutniczemu w Ozimku. W tym samym liście odnotował uciążliwości drogi do Tarnowskich Gór, opisał także dymarkę w Tworogu.

Szesnasty list, z 19 lipca 1791 r., pisany w Strzybnicy, zawierający opis kopalni i hut Tarnowskich Gór oraz okolic, został zaadresowany do konkretnej osoby: *An Herrn A. v. H. zu Fr.,* co niewątpliwie oznacza: Alexander von Humboldt w Freibergu (we wstępie do wydania Zöllner pisze, że szczególnie fragmenty dotyczące danych technicznych i statystycznych kierowane były do Humboldta, *obecnego asesora w Królewskim Departamencie Górnictwa*). W dodatku do *Listu siedemnastego* Zöllner pisze o maszynie ogniowej, uwzględniając szczegóły jej budowy, działania i historię powstania. Dokładny opis Tarnowskich Gór zawarł w *Liście dwudziestym drugim*, pisanym 23 lipca 1791 r. w tym mieście, w drodze powrotnej z Krakowa. Uwzględnił w nim najdawniejszą historię, stan obecny i wyposażenie, m.in. maszyny parowe tarnogórskich kopalń. Można więc bez wątpliwości stwierdzić, że dokładny opis śląskich kopalń, a także Królewskiej Huty Malapane w Ozimku był Humboldtowi znany z listów Zöllnera.

Już w roku 1791 zamierzano powołać Alexandra von Humboldta na stanowisko nadradcy górniczego Wyższego Urzędu Górniczego we Wrocławiu, do czego jednak nie doszło, gdyż wcześniej powołano go do Frankonii. Wielkim zwolennikiem powołania Humboldta na stanowisko zwierzchnika przemysłu na Śląsku był von Stein. Sam von Reden nie był jednak entuzjastą takiego rozwiązania, twierdząc, że Humboldt wydaje się „zbyt żywy" i „zbyt dowcipny". Dopiero po wizycie von Humboldta na Śląsku w 1792 i osobistym poznaniu z Redenem, ten ostatni docenił jego umiejętności i zalety. Było już jednak za późno, gdyż wcześniej Humboldt został powołany na podobne stanowisko w Księstwie Frankonii.

Prześledźmy kalendarz podróży Humboldta. Niewątpliwie wielkie znaczenie dla młodego, bo 23-letniego urzędnika, miał jej pierwszy etap. Doskonale wykształcony i przygotowany teoretycznie, mógł swoją wiedzę skonfrontować z praktyką. Wyruszając z Bayreuth (23 września), przez Monachium (29 września–1 października), kopalnie okolic Rosenheim i Traunstein, w ciągu 12 dni dotarł do Reichenhall (4 października). W kolejnych dniach odwiedził Berchtesgaden (12 października) i kopalnie soli Hallein-Dürrenberg (15–21 października). Dalej przez Salzburg i Linz dotarł do Wiednia (27 października–9 listopada). Stamtąd, bez przystanków, 12 listopada dotarł do śląskiej Opawy. Po krótkim odpoczynku, przez Racibórz i Gliwice, 16 listopada 1792 r. przybył do Tarnowskich Gór. To górnicze miasto stało się dla niego na cały miesiąc bazą wypadową.

Humboldt z całą pewnością wybrał to miejsce nieprzypadkowo. Znając wcześniejsze relacje Goethego i Zöllnera, być może także opierając się na wiadomościach od poznanego przecież kilka miesięcy wcześniej von Redena, wiedział o licznych kopalniach i hutach znajdujących się w tej okolicy oraz o olbrzymim doświadczeniu miejscowych specjalistów. Wielowiekowe tradycje i najnowocześniejsze rozwiązania górnicze miały się dla niego stać wzorem do odbudowy i rozwoju tych dziedzin we Frankonii. Można się zastanawiać, dlaczego w Tarnowskich Górach nie zachował się jakikolwiek ślad jego pobytu. Brak jest na przykład jego wpisu w *Księdze Gości* tarnogórskiego gwarectwa, w której znalazł się wpis Goethego. Być może sprawił to młody wiek Humboldta i z tego powodu jego wizyta nie została dostatecznie doceniona? Tak długi pobyt świadczy o tym, że dla samego Humboldta wizyta w Tarnowskich Górach była bardzo ważna i interesująca ze względu na

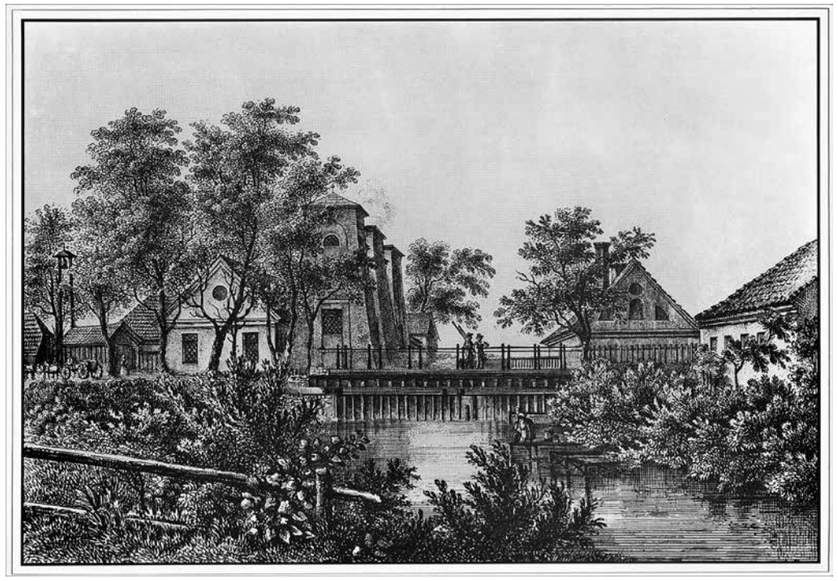

Wielkie piece w Królewskiej Hucie Malapane w dzisiejszym Ozimku w czasach, gdy odwiedzili ją Zöllner, Goethe i Humboldt

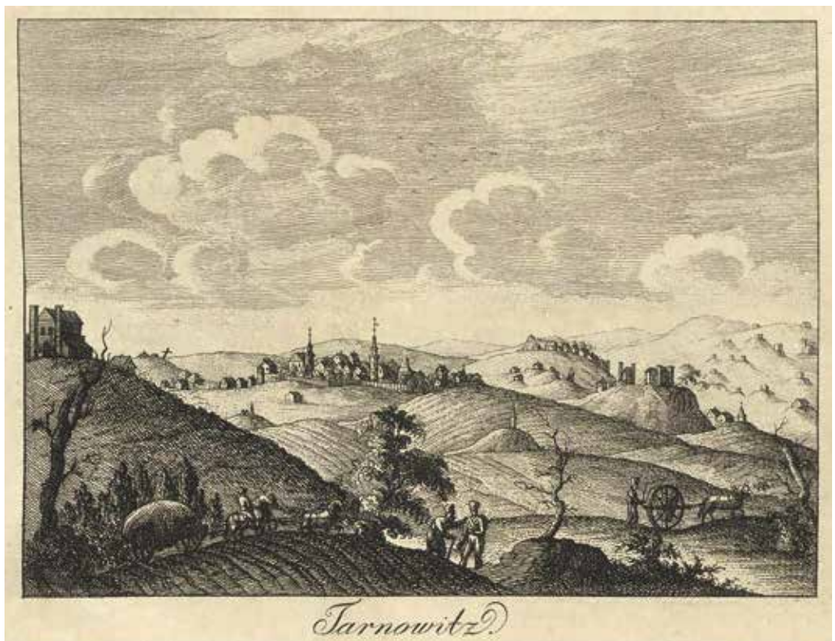

Tarnowskie Góry na początku XIX w. Na pierwszym planie po lewej oraz na dalszym planie po prawej widać kilka charakterystycznych budynków z dwoma kominami, mieszczących maszyny parowe, służące do odwadniania kopalń (rys.Carl Friedrich Stuckart, ok. 1812)

liczne kopalnie w bliższej i dalszej okolicy (w tym stare kuźnice, ale i nowoczesna jak na owe czasy kopalnia Fryderyka w sąsiedniej Strzybnicy). Choć fakt ten nie został udokumentowany, jest prawie pewne, że w Tarnowskich Górach doszło do spotkania z von Redenem, który jako zwierzchnik Wyższego Urzędu Górniczego zawiadywał śląskim przemysłem.

Nie bez znaczenia było także położenie Tarnowskich Gór. Można było w ciągu kilku, kilkunastu godzin podróży dotrzeć do miejsc, które interesowały Humboldta. I tak 5 grudnia wyruszył do Krakowa, a jego pobyt w kopalni soli w Wieliczce odnotowano 7 grudnia. Nie ma potwierdzenia odwiedzin w nieodległej kopalni soli w Bochni. Wiadomo natomiast, że zwiedził jaskinie okolic Ojcowa i Krzeszowic. W drodze powrotnej odwiedził jeszcze Olkusz i Strzemieszyce. Do Tarnowskich Gór zawitał ponownie 12 grudnia i po kilku dniach wyruszył w dalszą drogę do Opola. 17 grudnia 1792 r. zawitał do Pruskiej Królewskiej Huty Malapane w Ozimku. Także to miejsce z całą pewnością nie zostało wybrane przypadkowo. Znał je z relacji Goethego i Zöllnera. Dokonania tego pierwszego i w owym czasie najważniejszego królewskiego zakładu hutniczego na Śląsku i w Prusach były znane w całych Niemczech i poza nimi. Huta w Ozimku była uznawana za najlepszą w Prusach. Humboldt poza górnictwem interesował się hutnictwem i metalurgią, dlatego chciał się zapoznać ze szczegółami technologii stosowanych w tym zakładzie. Ważnym powodem odwiedzin w Królewskiej Hucie Malapane w Ozimku było rozpoczęcie w niej, kilka lat wcześniej, samodzielnej produkcji maszyn parowych.

Prawdopodobnie 19 i 20 grudnia Humboldt zatrzymał się w Opolu. Do Wrocławia, gdzie spotkał się z von Redenem, dotarł 23 grudnia. W stolicy Śląska spędził trzy tygodnie, odbywając stąd wycieczki w Karkonosze, do kopalń w okolicy Wałbrzycha i Miedzianki. Podróż swoją zakończył pobytem w posiadłości Redenów w Bukowcu koło Jeleniej Góry, dokąd przybył 13 stycznia 1793 roku. Wyjazd w drogę powrotną do stolicy Prus zaplanował na 15 stycznia. Po dłuższym pobycie w Berlinie, pod koniec maja 1793 r., wyruszył do Bayreuth i 30 maja już na stałe podjął swoją służbę w Frankonii. Z podróży po Śląsku dotychczas nie odnaleziono spójnej relacji autorstwa Humboldta. Wiedzę na temat jej przebiegu, odwiedzanych miejsc i obiektów czerpiemy przede wszystkim z listów pisanych do przyjaciół (listy z relacjami dość regularnie kierował do C. Freieslebena) oraz rachunków przedkładanych celem rozliczenia kosztów podróży.

Maszyny parowe z Ozimka – najnowocześniejsze w Europie

Z punktu widzenia historii Śląska istotne wydaje się ustalenie powodów, dla których Goethe, Zöllner i Humboldt skierowali swoją uwagę na Śląsk, a na trasie swych wędrówek zawitali także do Ozimka. Wszystkimi kierowało z całą pewnością zamiłowanie do podróży i poznawania świata. Dodatkowo Goethe i Humboldt, jako urzędnicy zajmujący się gospodarką i przemysłem, właśnie na Śląsku szukali rozwiązań stojących przed nimi wyzwań i problemów. Należy pamiętać, że Śląsk w tamtym czasie był najprężniej rozwijającą się prowincją nie tylko Prus, ale całych Niemiec. Młody, nowoczesny przemysł Śląska niewiele ustępował odkryciom i nowym technologiom przodującego wtedy przemysłu angielskiego. A górnictwo okolic Tarnowskich Gór i hutnictwo doliny Małej Panwi stanowiły tego najlepszy przykład.

Lata bezpośrednio poprzedzające wizyty Goethego, Zöllnera i Humboldta to czas najszybszego rozwoju i przełomowych przemian, jakie nastąpiły w Królewskiej Hucie Malapane w Ozimku. W drugiej połowie lat 80. XVIII w. von Reden zmodernizował wielki piec nr 2, wyposażając go w okrągły szyb i podwyższając z 7,5 do 9,1 m, co bardzo szczegółowo opisał Zöllner. Sprowadzono także z Anglii dmuchawę trójcylindryczną, napędzaną kołem wodnym, którą na miejscu zainstalował ówczesny dyrektor zakładu Johann Friedrich Wedding. Była to pierwsza tego typu dmuchawa na terenie Niemiec (wydajność: 950 stóp sześciennych powietrza wdmuchiwanego do pieca na minutę). Próby wytopu z użyciem koksu zostały uwieńczone sukcesem i – przy udziale sprowadzonego z Anglii Williama Wilkinsona – 19 listopada 1789 r. dokonano pierwszego udanego spustu. Zmiany te umożliwiły produkcję doskonałej jakości odlewów. Podjęto także działania zmierzające do ich obróbki, co z kolei umożliwiło rozpoczęcie budowy skomplikowanych maszyn i urządzeń. Wiertarnia w Królewskiej Hucie Malapane wykonała pierwsze na terenie Niemiec cylindry do maszyn parowych, dmuchaw i pomp. Jako datę rozpoczęcia produkcji cylindrów i kompletnych maszyn parowych podaje się lata 1790–1791, a więc okres, w którym Goe-

the, Zöllner i Humboldt odwiedzali hutę. Wszystkie te przedsięwzięcia okazały się bardzo ważne dla realizacji planów von Redena, związanych z rozwojem nowoczesnego górnictwa w Tarnowskich Górach.

Stan i możliwości Królewskiej Huty Malapane w Ozimku najlepiej oddaje relacja z tego okresu, francuskiego inżyniera górnictwa Antoine-Marie Héron barona de Villefosse'a, który pisał: „W Hucie Malapane znajdują się dwa wysokie piece. (…) Pracujący piec ma wysokość 30 stóp i wyposażony jest w żelazną dmuchawę cylindryczną. Sprowadzono ją swego czasu z Anglii i była pierwszym tego typu urządzeniem na Śląsku. W tym zakładzie dokonywano pierwszych doświadczeń z nowoczesnymi metodami formowania i odlewania, powstała pierwsza wiertarnia i tokarnia do produkcji części umożliwiających budowę maszyn parowych i dmuchaw. Tutaj także rozpoczęto odlewanie pierwszych na Śląsku dział, udoskonalono proces świeżenia przy użyciu pieca fryszerskiego, przeprowadzano pierwsze próby wytopu przy użyciu koksu. Stąd Huta Malapane musi być uznawana jako szkoła kadry dla całego górnośląskiego hutnictwa żelaza. Od czasu, kiedy do opalania wielkich pieców zaczęto wykorzystywać węgiel kamienny, Huta w Ozimku nastawiła się na produkcję dział i dużych części maszyn".

W trakcie swoich podróży i Goethe i Humboldt bez wątpienia spotkali Friedricha Wilhelma hrabiego von Redena, który służył im za przewodnika i gospodarza, niejednokrotnie towarzysząc w podróży. Jest to zrozumiałe, chociażby ze względu na wspólne zainteresowania rozwojem przemysłu. Z relacji Zöllnera dowiadujemy się o Arnoldzie Vossie, którego napotkał przy okazji zwiedzania huty w Osowcu. Ten wybitny hutnik był projektantem licznych zakładów hutniczych doliny Małej Panwi i z pewnością imponował gościowi wiedzą i doświadczeniem. Zöllner pisze, że po zakładach podległych ozimeckiemu Urzędowi Hutniczemu oprowadzał go osobiście ówczesny zwierzchnik tego urzędu, Helkampf. Bez wątpienia wszyscy trzej goście spotkali także w Ozimku wspomnianego już Johanna Friedricha Weddinga i Ephraima Ludwiga Abta. Obaj byli nie tylko uczestnikami, ale także współautorami wielu osiągnięć technologicznych Królewskiej Huty w Ozimku, które potem wykorzystali podczas budowy licznych nowoczesnych hut, m.in. w Gliwicach, Berlinie i Chorzowie. Goethe i Zöllner w Ozimku lub Tarnowskich Górach z całą pewnością spotkali wymienianego już Johanna Conrada Friedricha. Przybył on do Tarnowskich Gór w 1788 r. i jeszcze w tym samym roku podjął w Ozimku produkcję części zamiennych do maszyn parowych. Do października 1791 r., kiedy odszedł ze Śląska, wybudował co najmniej kilka kompletnych maszyn parowych. Alexander von Humboldt, przybyły w grudniu następnego roku, już go nie spotkał. Poznał jednak z całą pewnością jego następcę – Augusta Friedricha Wilhelma Holzhausena, przybyłego do Tarnowskich Gór i Ozimka w marcu 1792 roku. Znajomość z Holzhausenem, dzięki któremu podjęto potem w Hucie Malapane seryjną produkcję maszyn i urządzeń, i który – wsparty przez Baildona – wykonał pierwszą na Śląsku 24-calową maszynę systemu Watta, było dla Humboldta ważne i ciekawe.

Ta podróż, obserwacja kolejnych miejsc, urządzeń i rozwiązań technicznych, kontakt z doświadczonymi specjalistami, miały dla Humboldta istotne znaczenie, wywarły wpływ na jego pięcioletnią pracą w kopalniach i hutach Frankonii. Wbrew dotychczasowym twierdzeniom, najważniejszym powodem podróży były maszyny parowe, działające w kopalniach Tarnowskich Gór, a produkowane m.in. w Królewskiej Hucie w Ozimku. Problem wód kopalnianych, utrudniających, a czasem wręcz uniemożliwiających eksploatację złóż, dzięki maszynom – początkowo sprowadzanym z Anglii, a potem produkowanym w Ozimku – udało się rozwiązać kompleksowo w tarnogórskich kopalniach. Było to wręcz modelowe w owym czasie rozwiązanie w skali europejskiej.

(Strony internetowe Stowarzyszenia Doliny Małej Panwi oraz Muzeum Hutnictwa SDMP w Ozimku: www.sdmp.eu www.muzeum-hutnictwa.eu)

ADAM WIERCIŃSKI

ZA SZYBKIE PISANIE (80)

Jeszcze o zapiskach Aurelii Wyleżyńskiej wydanych ostatnio przez Państwowy Instytut Wydawniczy (*Kroniki wojenne*, w opracowaniu Grażyny Pawlak i Marcina Urynowicza, t. 1: 1939–1942; t. 2: 1943–1944, Warszawa 2022, PIW). Jeszcze o niektórych niedopatrzeniach redaktorskich, które utrudniają lekturę tej niezwykłej Księgi. Tu i tam komputer, zdaje się, zastąpił redaktora i adiustatora. Swoje zapiski autorka nazywała najczęściej pamiętnikami: „Nawinął się – sam – tytuł do wstępu. *Słoneczny wstęp* – poczęłam szukać tytułu do całości. Może *Strzępy niewolnego życia*? Albo krócej: *Niewolne lata*. Bo te «strzępy» w sposób niemiły przypominają Składkowskiego, jego «żołnierską» uniżoność" (I, 460). Miesiąc później dopisze: „*Niewolne lata* – dobre określenie tego pamiętnika. Jako *avant-propos* [fr. – wstęp, wprowadzenie] *Słoneczny wstęp*, pobyt w Horodnicy" (I, 472).

Nie objaśnili edytorzy, dlaczego *strzępy* przypominały Autorce, i to *w sposób niemiły*, premiera Felicjana Sławoja Składkowskiego. A to przecież nawiązanie do tytułu jego książki – *Strzępy meldunków* (1936). Bez komentarza zostawiono też zapis z 9 października 1939 roku: „Przeglądam w bibliotece na Koszykowej ostatni numer «Świata». Sielanka na Klonowej. Stupajka podniesiony do godności opatrznościowej męża... Uwierzył sam w swą rolę. Kazał sławić się na płótnie (Bylina), w piśmie..." (I, 102). W przypisie znalazło się wyjaśnienie, że *stupajka* to „policjant służbista, człowiek ograniczony pod względem intelektualnym". Ale kogo Wyleżyńska nazwała *stupajką*, co się znajdowało przed wojną przy ul. Klonowej, kto się kazał malować Michałowi Bylinie? Zabrakło informacji. A to o marsz. Edwardzie Rydzu-Śmigłym wspomnienie. Przy Klonowej mieścił się Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych, gdzie urzędował Rydz-Śmigły, nieopodal stała też jego willa. Andrzej Bobkowski pisał w 1954 r. do Jerzego Giedroycia z dalekiej Gwatemali o swoich przedwojennych sympatiach politycznych: „Ja raczej trzymałem z Klonową, gdzie zresztą w czasie mojej ostatniej wizyty w grudniu [19]36 roku też wszystko powiedziałem, co myślę. To dziwne, ale sentyment do Rydza zachowałem do dziś".

Kiedy indziej wspomniała Wyleżyńska o swoich lekturach: „Shelley pisany przed Byronem. Żałuję, iż nie miałam tych książek w chronologicznym porządku tworzenia. Ciekawe dla pisarza jako literacki eksperyment. Stosunek do źródeł wciąż się zmienia, a kulisy wielu spraw jeszcze poprzednio dla autora w cieniu, teraz są jasne" (I, 176). W przypisie znalazło się tyle informacji o Shelleyu, ale zabrakło wzmianki o tym, że Autorka czytała wtedy książki André Maurois o tych poetach nie w chronologicznym porządku tworzenia (*Ariel...* – 1923; *Lord Byron* – 1929). Wzmianka o znanym pisarzu, „który *Wierną rzekę* opuścił dla *Urody życia*" (I, 678). Objaśnienie: *Autorka posługuje się tytułami utworów Żeromskiego, ale ma na myśli doświadczenia bohaterów znanej Jej codzienności*. Ale to nie ona pierwsza wpadła na takie posłużenie się tytułami. To Adolf Nowaczyński tak nazwał żony pisarzy i artystów: „W galerii małżonek wielkich pisarzy czy artystów istnieją (niekoniecznie zaraz odróżniające się od siebie), jak wiadomo czy też nie wiadomo, tzw. wierne rzeki i tzw. urody życia. Niekiedy «urodami życia» bywają «wierne rzeki», niekiedy niekoniecznie". Do tego eseju Nowaczyńskiego z tomu *Słowa, słowa, słowa* (Warszawa 1938) nawiązała widać Wyleżyńska.

Zdarzają się niekiedy błędne domysły: „Palimy świece, zapobiegliwa (czyli ja) siostra kupiła za Żelazną Bramą pół kilo [świec] za 20 zł. Już Gustaw [Gustaw Przychocki?] żalił się: «Świeco niedobra, właśnie pora była zgasnąć»" (I, 400). Wyleżyńska słowa Dziewicy w samotnym pokoju (zob. *Dziady. Widowisko. Część I*) przypisała Gustawowi, a edytorzy bohatera literackiego próbowali zidentyfikować jako postać rzeczywistą. Czasem zabraknie stosownego przypisu: *Wieczorem nad Wisłę. Księżyc Słowackiego i Iwaszkiewicza jak na stepach czerwony* (I, 571). Należałoby tu chyba wspomnieć o powieści Iwaszkiewicza *Księżyc wschodzi* (1925) i zacytować fragment *Dumy o Wacławie Rzewuskim* Juliusza Słowackiego:

I nocą obaczył kraj miły rodzony,
Gdy księżyc się wznosił na stepach czerwony.

Tu i tam zdarzają się błędne tłumaczenia słów i zwrotów obcojęzycznych. Zwyczajne zmyślenia też można znaleźć. I mylenie języków: ukraińskiego z rosyjskim, a łaciny nawet z niemieckim.

Wspomniała Wyleżyńska o początkach wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 r.: „Walą [Niemcy], nawet nie mają tamci czasu wołać *ludy spasajtys* [ros. – ludzie, zmiłujcie się]. Później relacja, kwiaty bujda...” (I, 315). *Ludy spasajtes* – to po ukraińsku, a nie po rosyjsku i nie znaczy *zmiłujcie*, ale *ratujcie się* (to cytat z *Ogniem i mieczem*). Na posiedzeniu spółdzielni: „Nagła cisza, zupełnie przypadkowa, która zdarzyć się może w wielkim nawet gronie. Tylko w kącie jakiś chłop «tołkuje» drugiemu nie przerywając: «A jak Angliki przyjdą». Zbyt powoli myśli, żeby urwać potok wymowy na skutek niebezpieczeństwa...” (I, 319–320). Wątpliwe tłumaczenie słowa *tołkować* w przypisie: *Prawdopodobnie chodzi o słowo «tokować»* [sic!] *w potocznym rozumieniu: mówić rozwlekle, nawijać*. Ale to nie polskie słowo, tylko rosyjskie: *tołkowat'* (толковать) – objaśniać, komentować, oświecać, interpretować.

Bez komentarza zostawiono krzywdzącą plotkę o Nadziei Druckiej (I, 280), miała się ona nieźle urządzić i wziąć *dobrą posadę* u Niemców. Było inaczej (zob. Nadzieja Drucka, *Trzy czwarte... Wspomnienia*, Łomianki 2011, s. 139–140). Cytat bez objaśnienia: „Zresztą dziś, jak to śpiewano w starej piosence: «trudno go poznać, szewc czy wojewoda, bo obaj kusi, a dziś taka moda». Trzeba brać to *à rebours*...” (I, 446–447). Należałoby chyba wspomnieć, że to znana kiedyś pieśń zaczynająca się od słów: *Nie tak to illo tempore bywało, / Panie Cześniku, dawny mój sąsiedzie*... Zdarzają się niekiedy dziwaczne tłumaczenia. Czy to żarty mimowolne, czy sprawka chochlika: „To są odważne igraszki, ale cóż z tego nam przyjdzie? *Taj kińca na baczu* [ukr. – to brzęczenie w brzęczyku], śpiewało się na Podolu, rymując z *zapłaczu*” (I, 467). Skąd sie wzięło to *brzęczenie w brzęczyku? Taj kińca ne baczu* to po ukraińsku: *I końca nie widzę*. Jeszcze dziwniejsze tłumaczenie: „Radio moskiewskie podobno śpiewa: *Uż nie budiet bolsze busche po Rosije buszewat* [ros. – obligacje nie będą już szaleć w całej Rosji] (I, 470). Te *busche* to zapewne błędnie zapisane słowo „bosze” – Niemcy, Szkopy, z fr. *Boche* (*d'Alboche*). Ta śpiewka z moskiewskiego radia znaczyć by mogła coś innego: *Już nie będą więcej bosze* [Niemcy] *buszować po całej Rosji*. Zimą 1941 roku wspominała Wyleżyńska tak: „Rok temu przyjechaliśmy do War[szawy] z Wiel[golasu] wielkimi saniami, co nazywałam szlichtadą [niem. *Schlitten* – sanie] [19]40 r. Jakże to było zimno i głodno” (I, 212). To, że *szlichtada* od niem. *Schlitten* pochodzi – wiadomo, ale należałoby przypomnieć, że *szlichtada* to kulig, przejażdżka saniami połączona z zajeżdżaniem do zaprzyjaźnionych domów wiejskich. Podróż z Wielgolasu (spod Mińska Mazowieckiego) do Warszawy saniami nazwała Autorka z melancholią *szlichtadą* właśnie.

Wzmianka o wigilii w Kuchni Literackiej (1942): „Otóż już najedzeni otrzymali podarki. Odbywało się to trochę w formie *panem et circenses* [łac. – groch z kapustą], dosłownie nawet, bo rzucano wśród zgromadzony ludek kawałki białego chleba, paczki piernikowe, zapałki... Dziś rzeczy tak cenne” (I, 678–679). Po co mylić zwroty: *panem et circenses* (chleba i igrzysk) z *cicer cum caule* (groch z kapustą)? Znowu igraszki bezkarne chochlika? Jeszcze jeden przykład mylenia języków: „Dziś podobno wiele bardzo młodych mężatek *stante pede* [niem. – natychmiast] są w poważnym stanie” (II, 266). Po co łaciński zwrot znany jeszcze z Horacego nazywać niemieckim?

* * *

Młodych poetów zafascynowanych realizmem socjalistycznym pod koniec lat 40. XX w., powtarzających często slogan: *Ten jest przeciw, kto nie jest za*, przezwano „pryszczatymi”. Przezwa się przyjęła, stała się popularna, trafiła z czasem do rozpraw krytyków i historyków literatury, do syntez i słowników.

Kto nazwał tak złośliwie młodych pisarzy po raz pierwszy? Różni różnie piszą: wspominają czasem o Julianie Tuwimie; Alicja Lisiecka, autorka książki *Pokolenie „pryszczatych”* (Warszawa 1964, PIW), twierdziła, że to ona była matką chrzestną. A Emil Marat – powołując sie na Jacka Bocheńskiego – napisał ostatnio: „Ojcem określenia «pryszczaci» miał być Julian Przyboś. Rzucił je publicznie przy jakiejś okazji, zirytowany przez Woroszylskiego: «Co tu wyrabiają jacyś pryszczaci?!»” (Emil Marat, *Roman Bratny. Hamlet rozstrzelany*, Wołowiec 2024, s. 260–261).

Kilkanaście lat temu, w słowniku cytatów, znalazło sie wiarygodne wyjaśnienie; przezwy „pryszczaci” po raz pierwszy użyła Maryna Zagórska (1906–1996), tłumaczka, żona poety Jerzego Zagórskiego, znana w środowisku literackim z ciętego języka: *W rozmowie o młodych literatach – zwolennikach realizmu socjalistycznego (ok. 1949)*. Zob. Henryk Markiewicz, Andrzej Romanowski, *Skrzydlate słowa. Wielki słownik cytatów polskich i obcych*, wyznanie nowe, poprawione i znacznie rozszerzone, Kraków 2007, s. 458. Kiedy w *Słowniku realizmu socjalistycznego* (Kraków 2004) Grzegorz Wołowiec napisał o nieformalnej nazwie generacji: „Nazwa pochodzi podobno od młodzieńczego trądziku na twarzy jednego z najbardziej aktywnych pryszczatych – W. Woroszylskiego, a jej autorstwo przypisuje się zazwyczaj J. Przybosiowi (choć spotkać można także opinie podające za twórców tego terminu Z. Nałkowską, T. Różewicza, J, Kotta i J. Tuwima)”, odezwał się prof. Markiewicz i przypomniał o liście Maryny Zagórskiej, w którym przyznawała się do autorstwa popularnej przezwy (Zob. Henryk Markiewicz, *Czytając „Słownik realizmu socjalistycznego”*, „Teksty Drugie” 2004, nr 5, s. 82).

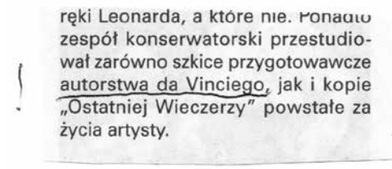
ręki Leonarda, a które nie. Ponadto zespół konserwatorski przestudiował zarówno szkice przygotowawcze autorstwa da Vinciego, jak i kopie „Ostatniej Wieczerzy” powstałe za życia artysty.

„Przegląd” 2024, nr 13, s. 43
Vinci to wieś pod Empoli (niedaleko Florencji). Leonardo da Vinci to Leonardo z Vinci. Jak Wojciech z Brudzewa, Janko z Czarnkowa czy Zyndram z Maszkowic

* * *

O lekturach szkolnych rozprawia ostatnio, kto może. Nawet ci, którzy polecanych do czytania w szkole książek dawno nie mieli w rękach, chętnie o nich piszą. Przykład żenujący, aż nieprawdopodobny. W miesięczniku poświęconym literaturze można w czasach za szybkiego druku pisać tak: „Żyjemy w czasach, gdzie każdy uczeń na wyciągnięcie ręki ma dzieła tworzone na całym świecie przez ludzi różnych ras, wyznań i przekonań, a my tymczasem dyskutujemy o tym, czy opowieść o dwójce młodych Polaków [sic!] podróżujących w otoczeniu niewolników [sic!] przez Afrykę może się nam przydać do omawiania kolonializmu” (Tomasz Gardziński, *W pustyni, w puszczy, w polskiej szkole*, „Magazyn Literacki KSIĄŻKI” 2024, nr 3, s. 36).

W pustyni i w puszczy wcale nie jest opowieścią *o dwójce młodych Polaków podróżujących w otoczeniu niewolników przez Afrykę*. Ośmioletnia Nel była przecież Angielką, a dzielny Staś pochodził z mieszanej, polsko-francuskiej rodziny. Dzieci wędrowały z niedawnymi niewolnikami traktowanymi po przyjacielsku. Książkę warto dziś czytać nie tylko dlatego, że *może się nam przydać do omawiania kolonializmu* (dzisiejsi uczniowie kolonializmem się raczej nie interesują, a czego szukają w literaturze, któż to wie? Może wyjaśniłyby to dziewczęta czekające w długich kolejkach po podpis i uścisk autorki naiwnej baśni o współczesnym Kopciuszku – wielotomowej opowieści o rodzinie Monetów). Powieść Sienkiewicza dla młodzieży to ciekawa, z talentem napisana książka przygodowa. Przypominał Julian Krzyżanowski: „Znamienna dla pisarza optymistyczna wiara w człowieka i jego sprawność fizyczną i psychiczną raz jeszcze święci tu tryumf, tym większy i wymowniejszy, że człowieka tego reprezentuje tu nie dorosły bohater zawodowy, a więc rycerz czy żoł-

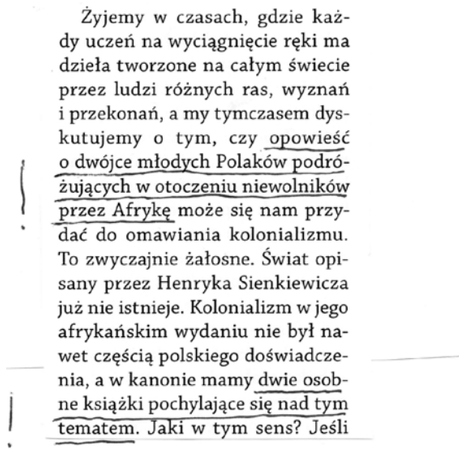
Żyjemy w czasach, gdzie każdy uczeń na wyciągnięcie ręki ma dzieła tworzone na całym świecie przez ludzi różnych ras, wyznań i przekonań, a my tymczasem dyskutujemy o tym, czy opowieść o dwójce młodych Polaków podróżujących w otoczeniu niewolników przez Afrykę może się nam przydać do omawiania kolonializmu. To zwyczajnie żałosne. Świat opisany przez Henryka Sienkiewicza już nie istnieje. Kolonializm w jego afrykańskim wydaniu nie był nawet częścią polskiego doświadczenia, a w kanonie mamy dwie osobne książki pochylające się nad tym tematem. Jaki w tym sens? Jeśli

„Magazyn Literacki KSIĄŻKI” 2024, nr 3, s. 36
To wcale nie jest *opowieść o dwójce młodych Polaków podróżujących w otoczeniu niewolników przez Afrykę*. Ośmioletnia Nel była przecież Angielką, a Staś pochodził z mieszanej, polsko-francuskiej rodziny.
A te *książki pochylające się nad tym tematem*. Zadziwiające

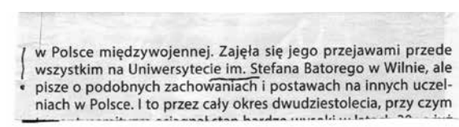
w Polsce międzywojennej. Zajęła się jego przejawami przede wszystkim na Uniwersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie, ale pisze o podobnych zachowaniach i postawach na innych uczelniach w Polsce. I to przez cały okres dwudziestolecia, przy czym

„Polityka” 2024, nr 18/19, s. 131
W nazwach przedwojennych uniwersytetów nie było tego skrótu. Por. Uniwersytet Stefana Batorego, Uniwersytet Jana Kazimierza, Uniwersytet Józefa Piłsudskiego

nierz, lecz chłopiec czternastoletni, którego przypadek rzucił na taśmę wydarzeń historycznych i który nie tylko że nie pozwolił, by go zniszczyły, ale również ocalił od zguby ludzi swego otoczenia".

Tym, którzy w imię wydumanej poprawności chcieliby wyrugować powieść Sienkiewicza z programów szkolnych, można by jeszcze przypomnieć celne uwagi Joanny Papuzińskiej: „prawdziwą wartością tej lektury jest towarzyszenie Stasiowi w jego zmaganiach z nieprzyjaznym światem i samym sobą. Współprzeżywanie jego lęków, dylematów, aktów odwagi i wytrwałości, bycie z nim opiekuńczym i szlachetnym oraz poczucie radości, że wszystko się udało".

Kilka lat temu za szybko czasem piszący publicysta wspomniał o Ryszardzie Kapuścińskim: *Burzył silny w naszej kulturze Sienkiewiczowski stereotyp rasistowski* [sic!] *znany jako mentalność Kalego* („Polityka" 2017, nr 3, s. 51).

Sienkiewicz starał się rozumieć innych i nie przypisywać określonych cech mentalnych tylko jednej grupie. Po znanej powszechnie rozmowie Stasia i Kalego o złych i dobrych uczynkach, narrator odezwał się przytomnie: *Staś był zbyt młody, by zmiarkować, że podobne poglądy* [jak Kali] *na złe i dobre uczynki wygłaszają i w Europie – nie tylko politycy, ale i całe narody*.

Mogliby podyskutować nad tym zdaniem dzisiejsi uczniowie ze światłym nauczycielem.

* * *

W sławnej ossolińskiej serii „Biblioteka Narodowa" ukazało się nowe wydanie *Pana Tadeusza*. Przypomniała w nocie edytorka: „Od pierwszego wydania *Pana Tadeusza* w serii «Biblioteka Narodowa», w opracowaniu Stanisława Pigonia, upłynęło prawie sto lat. W tym czasie dzieło czternastokrotnie [w latach 1925–2019 – przyp. A.W.] było wznawiane w prawie niezmienionej, powszechnie aprobowanej i nieznacznie modernizowanej formie. Ewolucję przeszły nie tylko badania historycznoliterackie, lecz także związane z nimi potrzeby edytorskie. Wychodzi na przykład z użytku dawne słownictwo (i formy językowe), związane z trybem życia i kulturą obyczaju. Stanisław Pigoń odwołuje się szeroko do osób i wydarzeń z nieodległej (wtedy) przeszłości, ufając, że przywoływane okoliczności choćby w ogólnym zarysie są znane czytelnikowi. Obecnie ta wiara traci podstawy" (A.K., *Nota edytorska*, [w:] Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz czyli Ostatni zajazd na Litwie. Historia szlachecka w roku 1811 i 1812 we dwunastu księgach wierszem*, wstęp i opracowanie Alina Kowalczykowa, uzupełnienia Jerzy Fiećko, wyd. 15., Wrocław 2022, BN I 83, s. CXXXIV).

Jakieś dziwne objaśnienia znalazły się, nie wiedzieć dlaczego, w tym nowym wydaniu epopei. Można tam przeczytać, że wielki książę Giedymin to *podobno* [sic!] *dziad Władysława Jagiełły.* A kilka linijek niżej, że Kiejstut i Olgierd – *synowie Giedymina; Olgierd – ojciec Władysława Jagiełły* (s. 130). Jeżeli Olgierd był synem Giedymina, to jego syn był wnukiem. Co znaczy *podobno*? Po co wmawiać, że *papież koronował Napoleona w katedrze Notre-Dame w Paryżu w 1804 r. na cesarza Francji* (s. 144)? Napoleon został wtedy przecież cesarzem *Francuzów*, nie – *Francji*. Oszmiana nie leży *na wschód od Wilna* (s. 25), ale na południowy wschód. Po co pisać, że *oficjalną stolicą Wileńszczyzny był Petersburg* [sic!], *lecz lokalnie i nieoficjalnie pozostawało nią Wilno* (s. 20)? To brzmi! Jakby ktoś objawił, że oficjalną stolicą Warmii czy Kielecczyzny była Warszawa. Za litewskich książąt i za polskich królów, za carów, sekretarzy i prezydentów stolicą Wileńszczyzny oficjalnie i nieoficjalnie było Wilno. Po co dziwaczyć i pisać ku uciesze przyszłych czytelników (starszych uczniów i studentów), że *tur*, wymarły przodek bydła domowego, to *dziki wół* (s. 154). Nie ma dzikich wołów, wół to przecież wytrzebiony byk, bywają woły robocze, służące do zaprzęgu, i karmne (opasy). Stanisław Pigoń tłumaczył, że tur to *rodzaj dzikiego byka, zaginionego od dawna*. Po co było *byka* zamieniać w nowym wydaniu *Pana Tadeusza* na *wołu*? Ależ będą się śmiać z uczonych objaśnień oczytani studenci, kiedy dowiedzą się może z powieści Władysława Stanisława Reymonta, jak tłumaczono kiedyś różnice między wołami a bykami:

Pan Bóg stworzył byka
I był byk.
A chłop wziął kozika,
[.....]
I stworzył wołu –
I wół jest.

A może jeszcze ktoś przypomni fraszkę Jana Kochanowskiego i powtórzy: *Nie każdy weźmie po Bekwarku* [Pigoniu] *lutniej.*

* * *

Mimowolne (?) mnożenie niejasności: „A przecież Rzeczpospolita od zarania dziejów była państwem wielonarodowym, wielojęzycznym. Dane z 1931 r. mówią, że spośród 32 mln mieszkańców RP aż 10,5 mln (32 proc.) deklarowało narodowość [sic!] inną niż polska! W tym 3 mln Żydów i niemal tyleż [sic!] Ukraińców" (Jan Dziadul, *Ślónska godka*, „Polityka" 2024, nr 20, s. 19).

Podczas spisu w 1931 r. nikt nie deklarował swojej narodowości wprost. Nikt nie deklarował narodowości *innej niż polska*. Narodowości polskiej też nikt nie deklarował. Nie było w arkuszach spisowych takiej rubryki jak „narodowość". Pytano wtedy tylko o język ojczysty i wyznanie. A badacze analizowali wyniki spisu, podawali najczęściej szacunkowe dane dotyczące narodowości. Zastanawiali się też czasem, które kryteria ważniejsze: językowe czy wyznaniowe. Języki hebrajski i jidysz, jako ojczyste, podało wtedy 2 mln 733 tys. polskich obywateli, natomiast wyznanie mojżeszowe – 3 mln 114 tysięcy. Tłumaczył Jerzy Tomaszewski: *Liczebność ludności żydowskiej, w znaczeniu osób, które miały świadomość narodową, mieści się między tymi dwoma wielkościami.* W województwach wschodnich, gdzie powszechne było posługiwanie się kilkoma językami w odmianach gwarowych, wyznanie bywało ważniejszym wyróżnikiem narodowości. Na wsi galicyjskiej mieszkańcy czasem dzielili się przede wszystkim na tych, którzy chodzili do kościoła i na tych, którzy chodzili do cerkwi. Język domowy był mniej ważny, w czasie spisu podawano najczęściej język kultury i religii. Dwujęzyczność była tam zjawiskiem powszechnym. A na ziemi Mickiewicza, nie tylko w nowogródzkiej stronie, mieszkańcy wsi jeszcze do niedawna dzielili się na tych, którzy są *polskiej wiary* (katolików) i *ruskiej wiary* (prawosławnych). I tam kryterium wyznaniowe było ważniejsze w samookreślaniu się od językowego.

Ukraińców w Polsce międzywojennej nie było *niemal tyleż* co Żydów, ale prawie dwa razy więcej. Język ukraiński (łącznie z ruskim i „rusińskim") jako ojczysty podało w 1931 r. 4 mln 442 tys. (język ukraiński – 3,2 mln, a 1,2 mln – ruski). Alfons Krysiński szacował przed wojną, że Ukraińców w Polsce było 4 mln 800 tys., natomiast Jerzy Tomaszewski twierdził, że było ich 5 mln 113 tys. Zaliczył do nich również część Poleszuków posługujących się lokalnymi odmianami języka ukraińskiego, którzy podczas spisu określili swój język jako „tutejszy" (Zob. Józef Buzek, *Rozsiedlenie ludności Galicji według wyznania i języka*, Lwów 1909; Alfons Krysiński, *Ludność polska a mniejszości w Polsce*, Warszawa 1933; Zbigniew Landau, Jerzy Tomaszewski, *Społeczeństwo Drugiej Rzeczypospolitej (uwagi polemiczne)*, „Przegląd Historyczny" 1970, nr 2; Janusz Żarnowski, *Społeczeństwo Drugiej Rzeczypospolitej 1918–1939*, Warszawa 1973; Jerzy Tomaszewski, *Ojczyzna nie tylko Polaków*, Warszawa 1985).

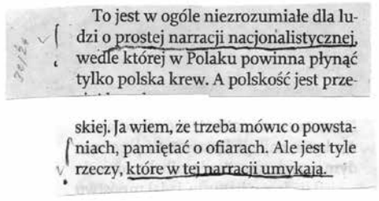

To jest w ogóle niezrozumiałe dla ludzi o prostej narracji nacjonalistycznej, wedle której w Polaku powinna płynąć tylko polska krew. A polskość jest prze-

skiej. Ja wiem, że trzeba mówic o powstaniach, pamiętać o ofiarach. Ale jest tyle rzeczy, które w tej narracji umykają.

„Tygodnik Powszechny" 2024, nr 17–18, s. 32
Bez manierycznej *narracji* ani rusz

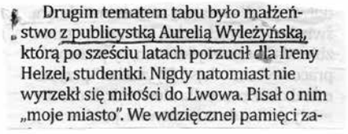

Drugim tematem tabu było małżeństwo z publicystką Aurelią Wyleżyńską, którą po sześciu latach porzucił dla Ireny Helzel, studentki. Nigdy natomiast nie wyrzekł się miłości do Lwowa. Pisał o nim „moje miasto". We wdzięcznej pamięci za-

„Do Rzeczy" 2024, nr 20, s. 34
Aurelia Wyleżyńska (1881–1944) ogłaszała szkice literackie i felietony, pisała powieści, była też tłumaczką

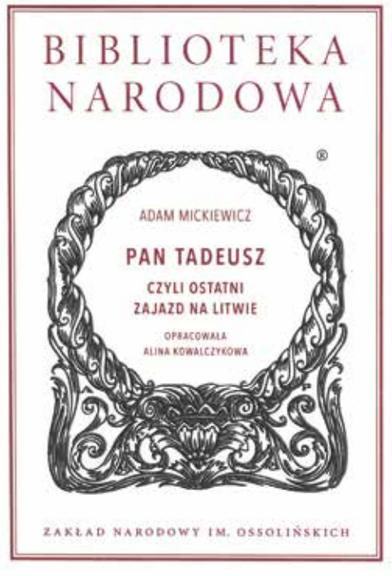

Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz czyli Ostatni zajazd na Litwie. Historia szlachecka z roku 1811 i 1812 we dwunastu księgach wierszem*, oprac. Alina Kowalczykowa, wydanie XV, Wrocław 2022, BN I 83

JAN MIODEK

KONTENT Z POWIEŚCI – KONTENT POWIEŚCI

Siedzę przy odbiorniku radiowym i słucham ciekawej audycji literackiej z Krakowa. Spokojny jej odbiór mącą mi jednak dobiegające co parę sekund do moich uszu wyrażenia typu „z powieści", „z literatury", „w książce", „w tekście" – z rażącym akcentem na przyimki „z" i „w". No a kiedy jeden z prowadzących program posłużył się frazą *z znanej powieści* – też z akcentem na spółgłoskę „z", w dodatku niepodpartą samogłoską „e", nie wytrzymałem nerwowo, przerwałem słuchanie i zasiadłem do pisania dzisiejszego „Indeksowego" odcinka. Jaka jest przyczyna mojej niecierpliwości?

W codziennym naszym obiegu komunikacyjnym funkcjonują enklityki i proklityki (z gr. *enklitike* i *proklitikon*). Tymi pierwszymi są wyrazy lub cząstki wyrazowe niemające samodzielnego akcentu, tworzące jeden zestrój akcentuacyjny z wyrazami, po których następują, np. krótkie formy zaimkowe: mi, ci, cię, go, mu, końcówki czasu przeszłego 1. i 2. osoby liczby mnogiej –śmy, –ście, cząstki trybu warunkowego: –bym, –byś, –by, –byśmy, –byście, –by, zaimek „się", partykuły „no", „że":

PO-daj mi, U-fam ci, WI-dzę cię, za-PY-taj go, PO-każ mu, wi-DZIE-li-śmy, sły-SZE-li-ście, PRZY-szedł-bym, za-ŚPIE-wał-byś, u-SIAD-ła-by , za-GRA-li-byśmy, od-po-CZĘ-li-byście, za-tań-CZY-liby, od-SU-nąć się, PO-każ no, PRZE-stań-że (akcentowane powinny być sylaby napisane wielkimi literami).

Proklityki natomiast to nieakcentowane wyrazy, najczęściej jednosylabowe, tworzące zestrój akcentuacyjny z wyrazami następującymi po nich, np. do pracy, na tarasie, z tobą, w książce.

Najczęstszym w tej chwili błędnym użyciem enklityki – nie ukrywam, że bardzo mnie irytującym – jest stawianie na pierwszym miejscu w zdaniu zaimka mi: *mi zabrakło czasu; mi się to podoba; mi daj; mi się to należy*. Ponieważ pierwszy wyraz w każdej wypowiedzi jest pod akcentem, obligatoryjna jest, oczywiście, obecność w takiej pozycji postaci pełnej „mnie": mnie zabrakło czasu, mnie się to podoba, mnie daj, mnie się to należy. Poprawne jest użycie krótkiego „mi" – *ex definitione* – po jakimś wyrazie: zabrakło mi czasu, podoba mi się to, daj mi, należy mi się to.

Coraz rzadziej wykorzystywana przez rodaków możliwość doczepiania ruchomych końcówek czasu przeszłego do różnych wyrazów w zdaniu (zaśpiewaliśmy to bardzo ładnie, bardzośmy ładnie to zaśpiewali, tośmy bardzo ładnie zaśpiewali, ładnieśmy to zaśpiewali – rozegraliście to inteligentnie, inteligentnieście to rozegrali, toście rozegrali inteligentnie*)*, powoduje z kolei, że końcówki –śmy, –ście w coraz powszechniejszej świadomości gramatycznej traktowane są jako zrośnięte z czasownikami, a skutkiem takiego odczucia – nietrudno się domyślić – jest coraz częstsze „swojskie" akcentowanie sylaby przedostatniej owej całostki: za-śpie-wa-LI-śmy, ro-ze-gra-LI-ście – zamiast za-śpie-WA-li-śmy, ro-ze-GRA-li-ście (przypominam: cząstki –śmy, -ście to enklityki).

Na wielu dworcach kolejowych słyszę też stały zwrot: „Proszę zachować ostrożność i nie zbliżać SIĘ do krawędzi peronu" – z aż nadto wyraźnie wyróżnioną akcentuacyjnie enklityką „się". Brzmienie poprawne: nie ZBLI-żać się – z jednym tylko przyciskiem na sylabie zbli–.

Błędnie akcentowane proklityki słyszy się przede wszystkim w tekstach oficjalnych. Daje tu o sobie znać opaczne przekonanie o staranniejszości, lepszości czytania literowego, więc dlatego: W książce, W tekście, Z powieści, Z literatury – z pauzą po akcentowanych przyimkach – zamiast FKSIĄŻ-ce, FTEKŚ-cie, spo-WIEŚ-ci, zli-te-ra-TU-ry (zastosowałem, oczywiście, zapis fonetyczny).

W zacytowanym natomiast na początku wyrażeniu „z znanej powieści" mówiący nie tylko niepoprawnie zaakcentował proklitykę „z", ale zachował się również hiperpoprawnie, popełnił błąd przesadnej poprawności językowej: ponieważ w wielu gwarach – zwłaszcza dialektu małopolskiego (a program – podkreśliłem na wstępie – nadawany był z Krakowa!) jeszcze dziś słyszy się odbiegające od normy języka standardowego połączenia typu: *we wodzie, ze szynką, we chlewie, ze drabiny*, wielu użytkowników polszczyzny, poprawiając się na poprawne brzmienia: w wodzie, z szynką, w chlewie, z drabiny, w swej nadgorliwości tworzy w mowie i w piśmie takie właśnie postacie, jak: *z znanej powieści, z smalcem, z Szczecina, z Świnoujścia, w Wrocławiu, w Wschowie* – zamiast jedynie poprawnych: ze znanej powieści, ze smalcem, ze Szczecina, ze Świnoujścia, we Wrocławiu, we Wschowie.

Hiperpoprawność to wielka siła w języku – powiedzmy na koniec. Może czasem nawet doprowadzić do zmiany paradygmatu morfonologicznego w odmianie słów. I tak np. czasowniki typu: szeptać, dreptać, deptać, plątać, bełkotać, druzgotać powinny przyjmować brzmienia z „c", bo „t" wymienia się w polszczyźnie na „c", „ć" (kobieta – kobiecy – kobiecie, chata – w chacie itp.): szepcę, szepcesz, szepce (Tadeusz Różewicz w jednym z wierszy napisał: „Czasem szepcemy do siebie") – drepcę, drepcesz, drepce – depcę, depcesz, depce itd. Dlaczego w takim razie – ciągle uznawane za dopuszczalne – przegrały jednak te formy z o wiele częstszymi – wtórnymi – wariantami odmiany z „cz", czyli: szepczę, szepczesz, szepcze – drepczę, drepczesz, drepcze - depczę, depczesz, depcze?

Ano dlatego, że brzmienia z „c" kojarzyli rodacy z najlepiej im znanym z gwar ludowych tzw. mazurzeniem, czyli wymową typu *copka, cas, cysty, cego, cuć* (czapka, czas, czysty, czego, czuć), więc Bogu ducha winne – chciałoby się żartobliwie powiedzieć, najpoprawniejsze w świecie formy typu: szepcę, drepcę, chłepcę zamienili na „lepsze" szepczę, drepczę, chłepczę.

A przecież i Warszawa jest hiperyzmem! To była najpierw *Warszewa* – z „e" – „osada Warcisława – Warsza": o Służewie koło *Warszewy* czytamy w dokumencie z roku 1241, podpisanym przez księcia mazowieckiego Konrada I; jeszcze Jan Kochanowski przywołuje w XVI wieku w jednej z fraszek most *warszewski*, mamy też *Warszewę* w tymże XVI stuleciu we *Flisie* Sebastiana Klonowica, a niedaleko naszej stolicy utrzymała się do dziś mała Warszewka – z pierwotnym „e".

Czemu w takim razie w tej dużej doszło do zamiany pierwotnej samogłoski „e" na „a"? Północnopolską – w tym mazowiecką – cechą fonetyczną było zastępowanie głoski „a" przez „e", np. *wiedro, jebłko, jegoda, reczek, Redzim* – zamiast: wiadro, jabłko, jagoda, raczek, Radzim. Poprawiał się więc Mazur na ten ostatni szereg wyrazowy z samogłoską „a", ale tak się bał każdego „e", że w końcu poprawną *Warszewę* zmienił na „lepszą" w jego mniemaniu Warszawę.

Pierwszy zapis tej nowej formy – z „a" – spotykamy dopiero w roku 1431. W XVI stuleciu staje się ona coraz popularniejsza, aby w XVII w. ostatecznie zwyciężyć. Nawet pisarz polityczny z XV w. Krzysztof Warszewicki zmienia swoje nazwiska na Warszawicki.

Taka jest prawda o Warszawie. Opowieść zaś o małżonkach imieniem Wars i Sawa trzeba włożyć między bajki, zwłaszcza że Wars byłby mazurzącą postacią zdrobnienia – skrócenia Warsz, a Sawa – z dawn. Saba – to hebrajskie imię męskie od wyrazu pospolitego saba – „zajęcie, niewola, zmiana", w Polsce bardzo rzadkie, częściej się pojawiające na kresach wschodnich.

***

W pewnym tekście publicystycznym czytam wyjaśnienie: „Content warning czy też trigger warning to ostrzeżenie przed treściami, które mogą wzbudzić jakiś dyskomfort".

Parę akapitów niżej autor się zastanawia: „Dlaczego trigger warning jest tak często stosowany, zwłaszcza przez młodszych twórców kontentu, tfu – treści?", żartobliwie się przy tym poprawiając z „kontentu" na „treść".

W podsumowującej części swego artykułu pisze już jednak bez żadnych zahamowań: „Wszechświat pełen jest śmiesznego kontentu, który nikogo nie obraża, ale jest też pełen kontentu, który obraża".

A ja jestem przekonany, że wielu użytkowników naszego języka – zwłaszcza należących do starszej generacji – ze zdumieniem przyjmuje wypowiedzi z takim jak wyżej użyciem formy *kontent*.

Opatrzona we wszystkich współczesnych słownikach kwalifikatorem przestarzałości, nawiązująca do francuskiego *content*, z dawien dawna funkcjonowała ona bowiem w znaczeniu „zadowolony, ucieszony, uszczęśliwiony, rad z kogoś lub z czegoś; wesół": „Ja jeden kontentem przecie, że teraz żyję na świecie" – pisał np. w wierszu *Mój raj* Jakub Jasiński (1759-1794). *Słownik języka polskiego* z roku 1861, wydany w Wilnie staraniem i kosztem Maurycego Orgelbranda, przy haśle *kontent* przywołuje również postać stopnia wyższego *kontentniejszy*, a także konstrukcję *kontent, że go Pan Bóg stworzył*, czyli „nie wiedzieć, z czego kontent". Z kolei Trzaski, Everta i Michalskiego *Słownik języka polskiego* z roku 1939 pod red. Tadeusza Lehra-Spławińskiego rejestruje

frazę *kontent, jakby go kto na sto koni wsadził* o znaczeniu „raduje się więcej, niżby można przypuszczać, nadzwyczaj zadowolony". Dziś – już tylko od czasu do czasu się słyszy: „Jestem z tego kontent" czy „był kontent z siebie".

Za to pod wpływem języka angielskiego, w którym pod brzmieniem *content* kryje się nie tylko znaczenie „zadowolony, rad", ale też „zawartość, treść, pojemność", pojawiają się coraz częściej we współczesnych polskich tekstach konstrukcje z *kontentem* znaczącym właśnie tyle, co „treść, zawartość" – jak te z początku niniejszego artykułu.

Jeszcze w trakcie jego przygotowywania znalazłem w jednym z tygodników takie oto wyznanie autorki pewnego felietonu: „(Marzy mi się) hub produkcyjny rozsiewający wartościowy, zróżnicowany światopoglądowo kontent".

Jak widać, pojawił się w nim nie tylko opisywany dziś *kontent* „treść, zawartość", ale i dorównujący mu teraz frekwencją angielski *hub* – „centrum, ośrodek, węzeł" (przeczytałem ostatnio w jednej z książek; „Oświęcim stanowił rodzaj hubu przeładunkowego emigrantów z Galicji, Słowacji, Bukowiny i zaboru rosyjskiego").

Nietrudno przewidzieć, że wraz z nasilającym się wpływem języka angielskiego będzie wzrastać liczba takich neosemantyzmów jak *kontent*. O wielu z nich – o diecie, karierze, kwocie, mapie drogowej – pisałem już w „Indeksie". Dziś dołączmy do nich skrypt, format i balans.

Do pierwszego z nich mam wyjątkowy sentyment, i to dzięki… Opolu! Proszę sobie bowiem wyobrazić, że na II roku studiów polonistycznych, kiedy obowiązkowym podręcznikiem do gramatyki historycznej były tzw. *Trojaczki*, czyli gruba książka Zenona Klemensiewicza, Tadeusza Lehra-Spławińskiego i Stanisława Urbańczyka, my i tak zabiegaliśmy wszyscy we Wrocławiu o przystępniej napisany, a wydany w opolskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej, skrypt prof. Stanisława Rosponda, szefa językoznawczych katedr we Wrocławiu i w Opolu.

A czym był skrypt? Nawiązujący do łac. *scriptum* „napisane", oznaczał on „rodzaj podręcznika zawierającego zbiór wykładów z określonej dziedziny, przeznaczonego zwłaszcza dla studentów" – czytamy w *Uniwersalnym słowniku języka polskiego* z roku 2003 pod red. prof. Stanisława Dubisza, a w dawniejszym – z lat 1958–1969 – *Słowniku języka polskiego* pod red. prof. Witolda Doroszewskiego: „zbiór wykładów, zwykle odbity na powielaczu"

W terminologii prawniczej znany jest skrypt dłużny – „dokument wystawiony przez dłużnika, stwierdzający istnienie długu i zobowiązanie do jego zwrotu; rewers". W dawnym języku skryptem nazywano również „pismo urzędowe, często tajne, dokument, list".

Ponieważ *script* w języku angielskim oznacza nie tylko „rękopis" i „kursywę", ale też „scenariusz", we współczesnych polskich tekstach spotkać można coraz częściej takie konstrukcje, jak np. „Jak napisać scenariusz lub skrypt filmowy", a słowniki internetowe informują: skrypt – „tekst będący podstawą filmu, przedstawienia bądź fabularnej audycji radiowej lub telewizyjnej, zawierający zarys fabuły, charakterystykę bohaterów i scenerii wydarzeń oraz dialogi", „to inaczej scenariusz, w którym znajdują się typowe zachowania, jakie wykonuje człowiek z utrzymaniem chronologii zdarzeń; skrypt jest strukturą poznawczą i wykonawczą, która stanowi gotowy program działania dla człowieka, jeżeli wystąpi on w roli jednego z aktorów skryptu".

Informatycy powiedzą, że skrypt to „prosty program komputerowy składający się z ciągu poleceń systemu operacyjnego lub instrukcji uruchamiających inne programy", a socjolodzy, że to „przyswojony przez jakąś osobę schemat poznawczy, wyznaczający właściwy dla niej schemat postępowania w określonych kontekstach sytuacyjnych".

Jak ogromnie się więc poszerzył zakres używalności tego rzeczownika! – powiem podsumowująco niejako w imieniu mojej generacji.

Słowa te można także odnieść do rzeczownika format – tradycyjnie rozumianego jako „rozmiar arkusza papieru, książki, zdjęcia itp. (*format A4, format 6x9*)" oraz jako „ogół cech ocenianych wysoko lub nisko (np. *format intelektualny*)".

Obecnie coraz częściej mówi się o *formatach radiowych* i o *formatach telewizyjnych*, czyli „rodzajach programów nadawanych w danej stacji radiowej bądź telewizyjnej", a i spotkałem się z *tradycyjnymi formatami papierowymi*, czyli – chciałoby się powiedzieć po prostu – „gazetami".

Dzieje się to wszystko pod wpływem języka informatycznego, w którym obiegowymi terminami są zarówno format – „rodzaj pliku związany z odpowiednim sposobem zapisu i odczytu", „reguły określające strukturę fizyczną, sposób rozmieszczenia, zapisu informacji danego typu, inaczej: wzorzec, szablon", „komenda w języku programowania Common Lisp", „polecenie systemu CP/J", jak i *formatowanie dysku, formatowanie tekstu* – „nadawanie tekstowi określonego stylu i kształtu". Taka semantyczna pojemność sprzyja ugruntowywaniu się nowych znaczeń.

Na koniec parę słów o *balansie*. Dosłownie przed chwilą przeczytałem w pewnym wywiadzie internetowym: „Znajduję w pańskich wypowiedziach równowagę pomiędzy kokieterią a samozachwytem", „Bardzo się staram tę równowagę zachować" – z dwa razy tradycyjnie użytą *równowagą*. Ponieważ jednak odpowiednikiem równowagi jest w języku angielskim *balance*, nie ma dnia, bym się nie zetknął z wypowiedziami typu „Staram się utrzymywać balans ducha", „Chodzi o balans między rozwojem gospodarczym a bezpieczeństwem socjalnym" czy „Zadbaj o swój balans psychiczny". W ten oto sposób *balans* używany w języku sportowym („przechylanie się, chwianie się z zachowaniem równowagi", „drąg używany przez linoskoczków w celu łatwiejszego utrzymania równowagi", „przyrząd gimnastyczny do ćwiczeń równoważnych") i technicznym („kółko wahadłowe tworzące wraz ze sprężyną włosową regulator chodu zegarka") staje się na naszych oczach pod wpływem języka angielskiego słowem polszczyzny ogólnej – leksykalnym wariantem *równowagi*.

INDEKSOWA GALERIA SZTUKI

ILUSTRAGAN 8. „BOTANIKA”

Za siedmioma polami, za siedmioma lasami czeka na was… ósmy Ilustragan! W tym roku skrada się w szuwarach, zagląda z drzew, skacze po lianach i zaczepnie szumi w liściach waszych niepodlanych domowych roślinek. Puste, białe kartki? Nie ma, że to wariegacja! Trzeba to wszystko zazielenić!

23 maja o 18.00 w Miejskiej Biblioteki Publicznej w Opolu otworzyliśmy kolejną, już ósmą edycję Ilustraganu. Jak zawsze wernisaż był także okazją do zaprezentowania książki – w tym roku wypełnionej aż 230 ilustracjami od ponad 140 artystów i artystek.

Ilustragan to cykliczny projekt Wydziału Sztuki Uniwersytetu Opolskiego, prezentujący twórczość ilustratorską studentów, absolwentów i wykładowców oraz gości związanych z Wydziałem. Uczestnicy realizują projekty zgodnie z wybranym tematem, a efektem ich pracy jest książka ilustrowana oraz wystawa, prezentowana w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu. W tym roku, jak i w poprzednim, Ilustragan towarzyszy Festiwalowi Książki Opole.

Organizator: Wydział Sztuki Uniwersytetu Opolskiego
Kuratorki: Magdalena Hlawacz, Ewelina Kędzia, Patrycja Kostyra, Katarzyna Mular, Magda Wolnicka.
Grafika: Katarzyna Mular
Współpraca: Miejska Biblioteka Publiczna w Opolu, Galeria Sztuki Współczesnej w Opolu, Biuro Programu Erasmus +, firma ZING, Pracownia Zróżnicowania Społecznego i Migracji Sojuszu Uniwersytetów Europejskich FORTHEM, ILSSA UO, Stowarzyszenie Moving.Lab, ECO Energetyka Cieplna Opolszczyzny, Festiwal Książki Opole.

Fotografie: Grzegorz Hussak, Kacper Ceglarz

BARTŁOMIEJ KOZERA

JACY JESTEŚMY?

Odrzucam determinizm w każdej postaci. Nawet genom do końca nie wierzę. To nie może być tak, że przeszłość wyznacza całkowicie teraźniejszość. Taka teza nie jest prawdziwa nawet w świecie roślin, nie mówiąc już o zwierzętach czy ludziach. Ale jakaś zależność istnieje, jakiś bardziej lub mniej delikatny wpływ przeszłości ma miejsce. Podobnie jest z genami. Jestem całym sercem indeterministą, uznaję że jednakowe przyczyny nie powodują takich samych skutków. Uznaję, że historia każdego społeczeństwa to efekt tego co było, tego co zastane i tego co obecne pokolenie wniosło. Tak jak odrzucam determinizm, tak obcy jest mi woluntaryzm, czyli myśl, że historia jest dziełem wybitnych jednostek, które dowolnie tworzą dzieje. W tej mierze jestem heglistą – istnieją w historii stałe tendencje, ale każde pokolenie je modyfikuje.

Gdy zastanawiam się nad nami, nad naszymi narodowymi wartościami, upodobaniami czy tęsknotami to ciekawi mnie, jakie piętno wycisnęła na nas historia, nasza przeszłość, a co myśmy z tą przeszłością zrobili. Oto uderza mnie, że w XX w. nasze zrywy społeczne, zawsze dotyczyły walki o chleb, nigdy nie wartości wyższe. Tak było w II RP, podobnie w PRL, a i obecnie niewiele nas porusza. Czy to znaczy, że nie mamy idei? A może są one zbyt oderwane od rzeczywistości?

Nasza historia to przedłużony feudalizm, ewidentny brak mieszczaństwa i kupiectwa. Przez wiele wieków występowały dwie warstwy – szlachta i chłopstwo. Tej pierwszej było niewiele, ale państwo do niej należało, ta druga była liczebnie wielka, ale żyła w systemie na poły niewolniczym, więc prowadziła ustawiczną walkę o przetrwanie. I my, ludzie XXI w., jesteśmy spadkobiercami tej tradycji. Nasza ideały wydają się mieć postszlacheckie pochodzenie, a nasze nawyki są postchłopskie. Cenimy więc honor, dumę, męstwo, odwagę, poświęcenie, bohaterstwo. A jakie mamy nawyki? Ano jesteśmy cwaniakami, krętaczami, naginaczami prawa, złodziejami.

I z takimi ideami i przywarami zaczęliśmy tworzenie kapitalizmu, podczas gdy na Zachodzie dominowało mieszczaństwo i jego cnoty, a więc systematyczność, pracowitość, oszczędność, zapobiegliwość. Cnoty mieszczańskie są dziełem rozumu i służą państwu. Ideały szlacheckie i chłopskie też rozumem były dyktowane. Były warunkiem przeżycia jednych i drugich. Tylko tylko, że ideały szlacheckie są dobre na okres wojny, a nieprzydatne, czy wręcz szkodliwe w czasach spokojnych, chłopskie natomiast są dobre dla indywidualnego przetrwania, ale destrukcyjne dla życia każdej wspólnoty.

A jednak zaszła jedna istotna zmiana, gdy idzie o postrzeganie siebie. Dawniej ważna była przeszłość – to, czyim jest się synem, z jakiej rodziny się pochodzi. Przeszłość stanowiła o nas, ona była decydująca. Obecne sytuacja uległa zmianie – ważna jest przyszłość, mianowicie to, kim są nasze dzieci. To one o nas stanowią. Ta zmiana to dowód, że żyjemy w wolnym kraju, że jednak jesteśmy w jakimś stopniu kowalami własnego losu.

SKRYPTY (12)

BARTOSZ SUWIŃSKI

„EPITAFIA" KAMIŃSKIEGO

G. L. Kamiński, *Epitafia*, Wrocław 2022, Wydawnictwo Warstwy

Epitafia Gabriela Leonarda Kamińskiego[1] to tom mądrej i dojrzałej poezji, w wielu miejscach wybitnej. Dawno nie czytałem wierszy o takiej intelektualnej hardości. Książka dedykowana jest *Mistrzom i Przyjaciołom*. Wiersze-epitafia ewokują pamięć o tych, którym są poświęcone. Wpisują się w bogatą tradycję utworów upamiętniających zmarłych. Stanowią zwykle zarys intelektualnego portretu, ilustrację dzieła czy próbę zadumy nad życiowymi wyborami wspominanych w dedykacjach autorek i autorów oraz swoich bliskich. Każdy wiersz, konsekwentnie, poświęcony jest określonej osobie. Ma się wrażenie jakby Kamiński odbywał niezwykle istotne, głębokie i intymne rozmowy z każdym z wzmiankowanych twórców i twórczyń z osobna. Jakby destylował najważniejsze wątki i motywy z twórczości artystów, których pamięć celebruje w swoich strofach.

Tom otwiera wiersz dedykowany Cyprianowi Kamilowi Norwidowi o tytule *Ani się modląc, ani skarżąc*. Kamiński zastanawia się w nim nam miejscem i samotnością autora, który dokonał żywota w przytułku pod Paryżem. I otwiera worek tematów. Dalej, pisząc o Baczyńskim, poeta przywołuje tragizm czasów odwróconej apokalipsy. Czytamy o pokoleniu, które pochłonęła wojenna pożoga, o głosach, co gwałtownie i zbyt szybko uwięzły w gardle. Natomiast Szymborska jest przedstawiona jako autorka myślącą w wierszu i nad wierszem. Widzimy artystkę deliberującą starannie i powoli, dla której poezja może być zapisem egzystencjalnych starań o znalezienie rąbka sensu, który sprawi, że sprawy nasze dzienne i nocne, choćby na moment, staną się bardziej czytelne i jasne. Na marginesach kolejnych portretów rozrzucone są refleksje dotyczące naszego świata i jego urządzenia. W wierszach poświęconych pamięci Marianny Bocian, Joanny Salomon, Anatola Ulmana, Zbigniewa Herberta, Feliksa Przybylaka, Jacka Łukasiewicza, Jerzego Krzysztonia, Ernesta Dyczka, Władysława Kopalińskiego, Jana Korcza, Ewy Dubińskiej, Bohumila Hrabala czy Jima Morrisona czytamy, że składamy się z czasu przeszłego, choć do końca stawiamy na element niedokonany w nas. Nosimy swoje kresy cierpliwie, z dziecinną nadzieją, że nie przypomną sobie o nas wcale. Kamiński pisze o tym, że kultura straciła centralne miejsce w naszym życiu i biedzi gdzieś na egzystencjalnych marginesach i opłotkach. Kończy na śmietniku jak zużyte opakowanie, obracając swoje przesłania we frazesy. Żyjemy – mówiąc Różewiczem – na hałdzie odpadów, gdzie poeta śmieci bliżej

1 G. L. Kamiński, *Epitafia*, Wrocław 2022. Wydawnictwo Warstwy. Wszystkie cytaty wg tego wydania.

jest prawdy niż poeta chmur i przepastnych horyzontów. Zacytujmy fragment wiersza *Fale leniwie podmywały brzeg*:

Fale leniwie podmywają brzeg, życie
zsuwa się coraz niżej poza
kreskę depresji, a ślady prowadzą donikąd.

Wątek moralnego regresu człowieka dziś jest jednym z dominujących w tomie tematów. Również przeświadczenie o zdetronizowaniu myślenia na rzecz bezrefleksyjnej konsumpcji. Kamiński opisuje mielizny codzienności, z żalem przyglądając się kluczeniu ludzi. Przekonuje nas, że twórczość jest aktywnością, która trwa bez końca. Człowiek zaaferowany jest ciągłą przemianą i podąża za ruchem myśli otamowanych kontekstem pojedynczego ciała. W *Świecie znaczeń,* dedykowanemu Stanisławowi Drożdżowi (1939–2009), znajdujemy fragment:

Świat znaczeń kurczył się
z dnia na dzień. Co było wczoraj,
nie zdarzy się po raz wtóry.

Procesualność wszystkiego jest faktem, podobnie nasze lawirowanie pomiędzy znaczeniami – nieustanna wędrówka z *jeszcze nie* do *już nie*. To również tom o nieprzystawaniu, o ludziach będących z boku życia, choć w samym środku jego przemian, o artystach płacących za swą nadwrażliwość i widzenie najwyższą często cenę. Kamiński pisze o życiu, które nie jest tylko próbą przetrwania miesiąca, wiązania końca z końcem, układania się z losem. Gonimy za tym, co ulotne, pociąga nas to, co nienazwane. Niewyrażalność dokucza nie mniej niż chwile wydarte swojej klepsydrze. Dzisiaj większość rzeczy wydaje się tymczasowa, opatrzona krótkim terminem do spożycia. Pośpiech wkrada się we wszystko i odrywa człowieka od niego samego. W publicznej fonii słychać utyskiwania i bluzgi, kaleczenie języka jest przykre dla ucha. W wierszu *Lawina*, poświęconym księdzu Józefowi Tischnerowi, czytamy:

(…) *dalej żyjemy niedbale,*
zakopani w płytkim grobie
materialnych idei, w których duch
jest tylko ślepą zjawą bez twarzy.

Kamiński to poeta upominający się o sens życia ufundowany na pogłębianiu człowieka wewnętrznego w sobie. Rozumie przeznaczenie jako ciągły rozwój, dzięki któremu możemy aspirować do wspólnoty wrażliwości. Interesuje go, czym jest myślenie, i kim pojedynczy człowiek. Próbuje odcyfrować świat symboli i znaczeń, kruchych przesłań wobec trwałych kolein czasu i intensyfikującej się samotności. Wie, że pustkę po innych czasem mogą zastąpić książki. I udowadnia, że bywają momenty, kiedy można się ukryć w myślach. Jakimś ratunkiem może być wyobraźnia – wymyślenie siebie na nowo.

STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA

MAZUROWIE I KOZOŁUBOWIE

Maria i Stanisław Mazurowie – rodzice dr. Ludwika Mazura, dziadkowie prof. Anety Mazur – na spacerze w Ogrodzie Jezuickim we Lwowie (ze zb. prof. Anety Mazur)

Z okolicami Gródka Jagiellońskiego związane są rodziny Mazurów i Kozołubów, których prominentni przedstawiciele zapisali wyrazisty ślad w powojennej historii Opola i naszego uniwersytetu. Były to zasiedziałe od kilku pokoleń w okolicach Zbadynia, Dobrostanów, Wołczuchów, Milatyna i Białogóry (Weissenbergu) rodziny o korzeniach włościańskich, z których wielu trafiło do zawodu nauczycielskiego. Okolice Gródka i Białogóry to były ziemie nazywane od czasów Jagiełły Królewszczyzną. W XV w. zarządzał nimi m.in. arcybiskup lwowski Grzegorz z Sanoka, później trafiały we władanie różnych rodzin: pod koniec I Rzeczypospolitej znalazły się w rękach Potockich i Małachowskich, w 1832 r., w czasach zaboru austriackiego, kupiła je Helena Ponińska dla swego syna Kaliksta, a po jego bezpotomnej śmierci dobra przejęli Lubomirscy, którzy zupełnie nie dbali o nie i stopniowo rozprzedawali lasy oraz łąki. Ich okazały dwór w Dobrostanach już przed I wojną światową był niezamieszkały. Mieszkańcy Królewszczyzny, wśród których wielu to niemieccy koloniści, nie byli więc typowymi poddanymi pańszczyźnianymi, mieli bardziej skomplikowaną przeszłość i różne tradycje.

Według ksiąg metrykalnych, do których dotarła prof. Aneta Mazur, w XIX w. jej przodkowie zamieszkiwali w dobrach należących do Małachowskich, a później Kaliksta Ponińskiego. W rodzinie były tradycje walk niepodległościowych. Jeden z Mazurów był żołnierzem Napoleona, inny wspomagał powstańców styczniowych, a ich następcy walczyli o niepodległość Polski w wojnie z Ukraińcami, bolszewikami, a w czasie II wojny światowej byli w szeregach Armii Krajowej.

Jeden z nestorów tej rodziny, której członkowie dostąpili awansu społecznego, był Stanisław Mazur (1903–1982) – przed wojną pracownik Dyrekcji Kolejowej we Lwowie. Jeden z jego kuzynów był wziętym weterynarzem i los rzucił go aż do Lidy (dziś na Białorusi), a drugi był nauczycielem w Dolinianach.

Stanisław Mazur zasłynął we Lwowie z pięknego, zdobnego pisma kaligraficznego, więc zlecano mu ręczne wypisywanie biletów kolejowych dla znanych profesorów Uniwersytetu i Politechniki Lwowskiej oraz dla prominentnych obywateli Lwowa i okolic. Żonaty z Marią z Nowaków (1906–1983), był ojcem Ludwika Mazura (1927–2015). Ludwik po ukończeniu szkoły powszechnej we Lwowie miał we wrześniu 1939 r. kontynuować naukę w jednym z lwowskich gimnazjów, ale w wyniku niebezpieczeństwa wybuchu wojny rodzice zdecydowali, że pójdzie do gimnazjum w Gródku Jagiellońskim. Plany te pokrzyżowało wejście Armii Czerwonej do tego miasteczka.

Rodzina Mazurów wojnę przeżyła w Białogórze i Gródku Jagiellońskim, będąc ciągle narażona na niebezpieczeństwo – początkowo wywózki na Sybir, a póź-

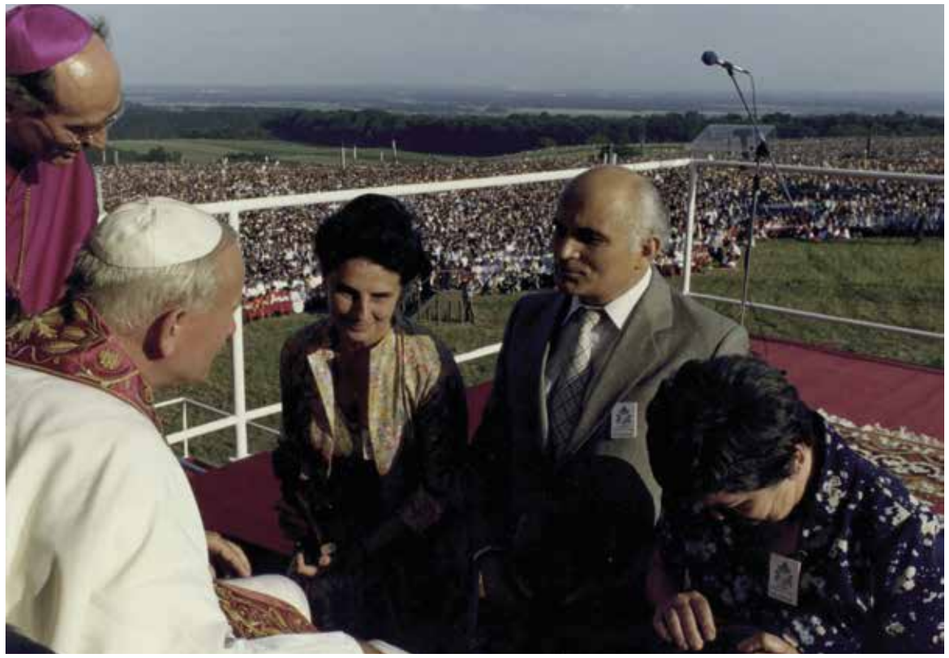

Dr Aurelia Podkówka – wybitna opolska internistka (z lewej) i dr Ludwik Mazur wręczają figurkę Eskulapa papieżowi Janowi Pawłowi II na Górze św. Anny, z lewej arcybiskup Alfons Nossol, rok 1983 (ze zb. prof. Anety Mazur)

Dr Ludwik Mazur (1927–2015) w swoim gabinecie ordynatora Oddziału Neurologii Szpitala Wojewódzkiego w Opolu (ze zb. prof. Anety Mazur)

Poloniści – Adela i Ludwik Kozołubowie, pierwsi absolwenci naszej uczelni, a później jej profesorowie

niej ze strony banderowców. Wobec nasilających się masowych zbrodni, dokonywanych na Polakach przez nacjonalistów ukraińskich, Maria i Stanisław Mazurowie z synem Ludwikiem i o trzy lata młodszą córką Jadwigą oraz Antonim Mazurem – kuzynem Stanisława, przedwojennym nauczycielem w jednej ze wsi pod Gródkiem Jagiellońskim, postanowili opuścić rodzinne strony i 15 maja 1945 r. dotarli na Śląsk. Stanisław i Antoni wspominali po latach, że dotarli na Śląsk Opolski dzięki temu, iż przekupili maszynistę, który chciał ich wysadzić gdzieś pod Gliwicami, a ponieważ Antoni kojarzył Opole jako „stary gród piastowski", to chciał dotrzeć przynajmniej w okolice tego miasta.

Po przybyciu na Opolszczyznę kilka tygodni koczowali na peronie w Popielowie. W tym czasie Stanisław i Antoni objeżdżali okolice w poszukiwaniu wolnego domu, gdyż w wielu mieszkali jeszcze Niemcy czekający na wysiedlenie, ale większość zasiedlili już Polacy, którzy przybyli w te strony wcześniej. Mazurowie szukali gospodarstwa posiadającego ziemię dobrą do uprawy. Ostatecznie ich wybór padł na wieś w powiecie brzeskim – Różynę, w której Stanisław Mazur został sołtysem i cieszył się tam dużym autorytetem.

W 1949 r. Ludwik Mazur uzyskał maturę w liceum w Brzegu i podjął studia medyczne we Wrocławiu. Trafił tam na znakomitych profesorów, m.in. Stanisława Falkiewicza (ojca znanej publicystki Magdaleny Bajer) – internistę. Choć był zafascynowany swym mistrzem i interną, los sprawił, że został neurologiem, pełniąc przez wiele lat funkcję ordynatora w Szpitalu Wojewódzkim w Opolu. Jako wybitny diagnosta był znany nie tylko na Śląsku Opolskim. Po studiach krótko pracował w szpitalu w Złotym Stoku. Od początku wykazywał zdolności badawcze. Do legendy przeszła obrona we Wrocławiu jego pracy doktorskiej; ponieważ jej tematyka miała charakter interdyscyplinarny, w obronie wzięli udział m.in. wybitny matematyk prof. Hugo Steinhaus oraz internista i diabetolog prof. Józef Kaniak, wuj poety Zbigniewa Herberta.

W 1952 r. wraz z żoną – Danutą z Małeckich (1932–1993), Wołynianką urodzoną we Francuzach w powiecie łuckim, koleżanką z brzeskiego liceum – zamieszkał w Brzegu. Siedem lat później powierzono mu stanowisko ordynatora w Szpitalu Wojewódzkim w Opolu. Przez wiele lat pracował w budynku, w którym obecnie mieści się Collegium Maius Uniwersytetu Opolskiego. Należał w Opolu do dość licznej grupy znakomitych lekarzy pochodzących z Kresów, będących pionierami medycyny w stolicy Śląska Opolskiego. Wśród nich byli m.in.: lwowianin Sergiusz Mossor – znakomity ginekolog, tarnopolanin Klemens Kiryłowicz – legendarny chirurg, nazywany „mistrzem lancetu", stanisławowianie Tadeusz Olszański oraz Tadeusz Heck, a także Boruch Milch-Zieliński z Podhajec (ocalony z Holokaustu ojciec wybitnej izraelskiej kompozytorki Elli Milch-Sheriff).

Oprócz intensywnej pracy zawodowej jako lekarz praktyk i naukowiec, Ludwik Mazur angażował się w życie społeczne, szczególnie w okresie Solidarności. Był jednym z głównych organizatorów tego ruchu w opolskim świecie medycznym. Po stanie wojennym skutecznie bronił prześladowanych działaczy opolskiej Solidarności, m.in. zabiegał o uwolnienie szefa Zarządu Regionu Romana Kirsteina i innych opolskich opozycjonistów, a także wrocławskich, w tym znanego polonisty z Uniwersytetu Wrocławskiego – prof. Czesława Hernasa, umożliwiając im pobyt w szpitalu w oddziale neurologicznym. Był to dla tych działaczy swoisty azyl. Współpracował też blisko z ks. prałatem Stefanem Baldym – proboszczem opolskiej katedry, odpowiedzialnym za dystrybucje pomocy napływającej z zagranicy w czasie trwania stanu wojennego. W uznaniu zasług Ludwik Mazur po 1989 r. otrzymał prestiżową Nagrodę im. ks. Aleksandra Skowrońskiego. W 1983 r. przewodniczył de-

Prof. Ludwik Kozołub (z lewej) w towarzystwie wybitnych polskich polonistów: Jana Trzynadlowskiego, Kazimierza Wyki i Władysława Studenckiego, pl. Wolności w Opolu, rok 1974

legacji opolskiej służby zdrowia podczas wizyty papieża Jana Pawła II na Górze św. Anny. Wręczył wówczas ojcu świętemu przywiezioną swego czasu przez farmaceutę ze Stanisławowa – Stanisława Lepiankiewicza figurkę Eskulapa, która przed wojną zdobiła jedną z głównych polskich aptek w Stanisławowie. Ta bardzo oryginalna figurka rzymskiego bożka – patrona medyków widocznie bardzo przypadła do gustu polskiemu papieżowi, gdyż później przez wiele miesięcy zdobiła apartamenty papieskie w Watykanie.

Ludwik Mazur był autorem artykułów i esejów naukowych. Spoczął na cmentarzu w Czarnowąsach[1]. Jego córką jest prof. Aneta Mazur (rocznik 1963) – polonistka, komparatystka i eseistka, a także tłumaczka z języka niemieckiego, autorka m.in. monografii *Parnasizm w poezji polskiej drugiej połowy XIX i początku XX wieku* oraz *Pod znakiem Saturna – motywy metafizyczne w polskiej i niemieckiej prozie II połowy XIX wieku*, autorka ważnych tekstów w „Twórczości", „Znaku" i „Pamiętniku Literackim"[2].

1 Korespondencja z prof. Anetą Mazur z kwietnia 2024; A. Mazur, *Dr Ludwik Mazur (1927–2015)*, [w:] *Leksykon. Kresowianie na Śląsku po 1945 roku*, red. K. Kleszcz i M. Kalczyńska, t. 2, Opole 2024.

2 A. Wierciński, *Głowy opolskie*, Opole 2008, s. 109–113.

Ludwik Mazur mieszkał z rodziną w śródmieściu, nieopodal pl. Kopernika, a przy sąsiedniej ulicy znajduje się mieszkanie innej rodziny kresowej – Adeli i Ludwika Kozołubów.

Prof. Ludwik Kozołub (rocznik 1935) to krajan Ludwika Mazura spod gródeckiej wsi Zbadyń-Gutenberg. Wieś miała podwójną nazwę, gdyż w połowie zamieszkiwali ją koloniści niemieccy. Rodzicami Ludwika Kozołuba byli Agnieszka z Horoszczaków (1907–1981) i Szczepan (1901–1990) Kozołubowie – właściciele 15-hektarowego, dobrze wyposażonego gospodarstwa rolnego (maszyny rolnicze wynajmowali innym gospodarzom). Mieli młocarnię, co wówczas w tym regionie było rzadkością. Zagrożeni przez banderowców (wielu członków rodziny Kozołubów zginęło z ich rąk), podobnie jak Mazurowie, opuścili Gródek Jagielloński późną wiosną 1945 r. i w czerwcu osiedli na ziemi strzeleckiej. W połowie lat 50. XX w. zamieszkali w Strzelcach Opolskich. Tam Ludwik Kozołub ukończył liceum, a następnie podjął studia polonistyczne w opolskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej (WSP). Wspólnie z przyszłą żoną – Adelą z Pryszczewskich (Kresowianką z Podola) należał do grupy pierwszych absolwentów tej młodej wówczas uczelni. Po otrzymaniu dyplomu oboje zostali pracownikami opolskiej WSP i z czasem jej profesorami.

W XIX tomie *Kresowej Atlantydy* obszernie pisałem o zmarłej w 2022 r. prof. Adeli Pryszczewskiej-Kozołub. Jej mąż Ludwik, przez ponad półwiecze związany z opolską oświatą, pełnił wiele funkcji kierowniczych, szczególnie w placówkach doskonalenia nauczycieli i w opolskim Kuratorium Oświaty. Jest autorem artykułów o gwarach i folklorze śląskim oraz prac socjologicznych. Jako socjolog ma w dorobku książki o kulturze ludowej na Opolszczyźnie. Jedna z najważniejszych jego prac nosi tytuł *Rodzima wieś opolska. Studium socjologiczno-etnologiczne*. Przez wiele lat współpracował z wybitnym językoznawcą prof. Stanisławem Rospondem, którego uważał za swego mistrza, oraz z profesorami Adolfem Naszem i Stanisławem Bąkiem, z którymi wspólnie przygotowywał różne ekspertyzy i gromadził materiały etnograficzne.

Oprócz pracy wykładowczej i badawczej na Uniwersytecie Opolskim Ludwik Kozołub był jednym z czołowych organizatorów (obok profesorów Jerzego Pośpiecha i Stanisława Gajdy) Olimpiady Literatury i Języka Polskiego na Śląsku Opolskim. Był promotorem licznych prelekcji, w których brali udział wybitni polscy uczeni. Kozołubowie, którzy prowadzili dom otwarty, często gościli luminarzy polskiej kultury, a zwłaszcza znakomitych historyków literatury, m.in. profesorów: Artura Hutnikiewicza, Juliana Krzyżanowskiego, Kazimierza Wykę, Mieczysława Inglota, Jana Trzynadlowskiego i Władysława Studenckiego mieszkającego w Bytomiu, ale na trwałe związanego z opolską uczelnią. Był to krąg przyjaciół Adeli i Ludwika Kozołubów, który promieniował na opolskie środowisko intelektualne.

NASI ABSOLWENCI

ALFRED MICHLER

895 KILOMETRÓW DO ŻYCIA

Alfred Michler ze swoją mamą Elżbietą

Oczywiście, jest to zbyt proste, niemal prostackie uproszczenie. Życia nie przeżywa się w kilometrach i żadnych innych fizycznych jednostkach miary. Podana w tytule liczba kilometrów to trasa, którą moja żona Maria Koszałkowska przebyła jako niemowlę od Kułaczkowiec w powiecie Kołomyja (w woj. Stanisławów, obecnie Iwano-Frankiwsk), poprzez Brzezie pod Krakowem do dolnośląskiej Złotoryi (wówczas Złotej Góry). Ale mogło tych kilometrów nie być, mogło też nie być tego życia…

Jest przełom roku 1941/1942. II wojna na wschodzie rozgorzała w pełni, ciężki mróz. Dobre dotąd stosunki między Polakami a Ukraińcami w tej części II Rzeczypospolitej, tzw. Zachodniej Ukrainie, zaczynają przybierać inne formy (choć do rzezi wołyńskiej jeszcze daleko). Zaprzyjaźniony z Koszałkowskimi sąsiad Ukrainiec mówi do mojego przyszłego teścia: *Bronek, źle zaczyna się dziać. Jeżeli możesz, zabieraj rodzinę i przenoś się do Polski* (czyli na zachód od Bugu). Co mieli począć Koszałkowscy z dopiero co narodzoną córeczką? Uznaję ich mądrość i odwagę! W trzaskający mróz 1942 r. opatulili dziecię w co tylko się dało i ruszyli na zachód (*do Polski*). Nikt z obecnie żyjących w rodzinie nie zapamiętał, dlaczego wysiedli w Brzeziu pod Krakowem (gm. Zabierzów). Tu w trójkę żyli do końca wojny, a kiedy po jej zakończeniu *ruszyli na zachód osadnicy* też i oni poszli w tym kierunku i dotarli do Złotej Góry (już nie do Goldbergu, ale jeszcze nie do Złotoryi).

Nie jest mi znany zasięg wczesnego ostrzegania rodzin polskich przez ukraińskie. Mogę natomiast twierdzić, że przypadek mojej rodziny nie był odosobniony, skoro w niewielkiej Złotoryi osiedliła się inna rodzina, również z powiatu Kołomyja, którą także ostrzegł Ukrainiec. Ale ta rodzina trafiła do Złotej Góry zdekompletowana, gdyż ojciec mojego rozmówcy nie dał wiary słowom Ukraińca i niebawem on sam, jako czteroletni chłopiec schowany w jakiejś kryjówce, był naocznym świadkiem brutalnej śmierci swoich rodziców.

Dlaczego mnie nie wysiedlili?

Gdyby po II wojnie moje życie toczyło się według ustaleń Wielkiej Trójki oraz w zgodzie z decyzją władz polskich, nie miałbym prawa spotkać się z moją żoną Marią, Kresowianką. Kiedy Koszałkowscy z Brzezia wybierali się na Dolny Śląsk, mnie jako rodowitego, „wykopaliskowego" Ślązaka miało na Śląsku już nie być, ponieważ zasadniczo przed osiedleniem się tu Kresowian, Ślązaków (Pomorzan, Mazurów) należało wysiedlić. I tak się działo. Dlaczego więc zostałem?

Miałem wtedy cztery lata (a więc mentalnie w czasie rzeczywistym tego oczywiście nie pojmowałem), kiedy w moim Brożcu pod Opolem zjawiło się około 300 Kresowian. Ale brożczanie (i inni parafianie) odmówili wyjazdu, nie chcieli opuścić swoich odwiecznych małych ojczyzn i siedzib. Złożyli się na trzyosobową delegację, która udała się do ówczesnego wojewody śląsko-dąbrowskiego

Wrzesień 2019, przed akademikiem Mrowisko: Maria Michler, jej córka Anna Królikowska i wnuczka Magdalena Borecka – absolwentki naszej uczelni (Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Uniwersytetu Opolskiego)

Aleksandra Zawadzkiego. Porozumieli się bez trudności, ponieważ Górnoślązacy, mimo 700-letniej separacji od państwowości polskiej, zachowali w mowie język w postaci gwary śląskiej (tego „naczelnik" Polski oczywiście nie wie; zresztą przeciętny polski maturzysta wychodzi ze szkoły z wiedzą, że Śląsk był także pod zaborem, jak np. Wielkopolska, o Kresach Zachodnich też raczej nic nie wie). Aleksander Zawadzki za właściwszego do załatwienia tej sprawy słusznie uznał swojego zastępcę, wicewojewodę Jerzego Ziętka – uczestnika powstań śląskich (jego krewny Henryk w latach 70. XX w. był burmistrzem Złotoryi). Decyzją obu brożczanie (w tym ja) pozostali na swojej ojcowiźnie, a 300 Kresowian, z którymi przez czas jakiś współmieszkali, zostało wyposażonych na dalszą drogę, na zachód (m.in. w rejon powiatu złotoryjskiego). Ale już ten krótki czas wystarczył, aby zawiązały *się* bliskie kontakty – jedna z kresowych rodzin w Brożcu pozostała, a jej przedstawiciel (Jan Dobrowolski) ożenił się z moją ciocią, zarazem chrzestną. Tym samym moje późniejsze małżeństwo z Kresowianką było drugim w rodzinie (wcale nie ostatnim) mariażem śląsko-kresowym.

Do szkoły w Brożcu skierowano też nauczycieli z Kresów. Wszyscy uczniowie (sami Ślązacy) bardzo dobrze zachowali ich w swojej pamięci. Do nich należała m.in. pani Zosia, czyli Zofia Paczosa – jej uczniem był także opolski abp senior Alfons Nossol, który do końca jej życia doglądał panią Zosię w Kujawach. Ja zaś do dziś pamiętam nauczycielkę Annę Kowalską, która na lekcji historii w sposób tak żywy i barwny przedstawiła ślub Jagiełły z Jadwigą, że… być może za jej sprawą ukończyłem historię na opolskiej Alma Mater (1964).

Matka mojej żony bardzo często wspominała swoje Kresy, szczególnie wiosną: *Marylko, gdybyś ty widziała te kwiaty, tak pięknych nie ma na całym świecie!* Marylka rzeczywiście *tych kwiatów* nie widziała (na szczęście!), ale w zamian mogła oglądać Złotoryję – najstarsze miasto

w Polsce, a później Opole… Mogła tulić prawnuki: Kubusia i Ludwisia (Filipek spóźnił się o miesiąc, bo ona sama się, niestety, pospieszyła…).

Nie mam dziś żadnych wątpliwości, gdyby ówczesne (w latach 1945–1946) władze Górnego Śląska stanowiły osoby o tak nacjonalistycznym zabarwieniu, jak np. obecny szef PiS, mieszkańcy co najmniej kilku opolskich wiosek, a więc i ja, żyliby dziś nad Renem, a nie nad Odrą, bo przecież śląskość *to opcja niemiecka*. Nie byłoby ani mnie, ani Marii Koszałkowskiej, ani naszej córki Anny Agnieszki Królikowskiej, nie byłoby absolwentów opolskiej historii…

Połtawianin na Opolszczyźnie, złotoryjanka w Opolu

Dzisiejsza migracja ludności ukraińskiej do Polski to skutek nie tylko zbrojnej napaści putinowskiej Rosji na Ukrainę, choć ta fala przypływu jest najintensywniejsza (liczona w milionach osób) – już przed 2013 r. Ukraińcy, powołując się na polskie pochodzenie swoich przodków lub po prostu powodowani chęcią poprawy swojego życia, emigrowali do *normalnego kraju*, za jaki uznawali Polskę.

Z takich powodów znalazł się na Opolszczyźnie urodzony w Połtawie (historyczne miasto znane ze zwycięstwa cara Piotra I nad Szwedami w roku 1709) Jurij Gładyr. Jako wysokiej klasy siatkarz znalazł swoje miejsce w Kędzierzynie-Koźlu oraz w klubie ZAKSA, w którym osiągnął wybitne wyniki. Przez pięć lat ubiegał się o przyznanie obywatelstwa polskiego. I być może czekałby jeszcze dłużej, ale w roku 2012 dyrektorką Wydziału Spraw Obywatelskich i Cudzoziemców w Opolskim Urzędzie Wojewódzkim była złotoryjanka, absolwentka WSP w Opolu (1995) moja córka Anna Agnieszka – po mężu Królikowska. Zajęła się sprawą rzetelnie i już w styczniu 2013 r. Jurij formalnie został obywatelem Rzeczypospolitej Polskiej.

Dzięki temu poprawiła się nie tylko przeciętna wzrostu mężczyzn – i na Opolszczyźnie, i w klubie. Jako człowiek niegdyś aktywnie uprawiający sport (np. w studenckich czasach WSP), a obecnie kibic ZAKSY, chciałbym dodać, że Jurij to niezwykle waleczny środkowy i dobrze dla przeciwników, że oddziela ich od niego siatka i nie muszą z nim rywalizować w grze kontaktowej…

Tak sobie dziś myślę: czyżby moja córka Ania, pomagając Jurijowi, spłacała dług za dobro, które 70 lat wcześniej anonimowy Ukrainiec uczynił jej matce i dziadkom?

Niedługo później Gładyrowie przemieścili się (dobrowolnie) do Jastrzębia-Zdroju, natomiast moja córka, już nie z własnej woli, została wyproszona z gmachu Opolskiego Urzędu Wojewódzkiego. Nigdy nie była członkiem żadnej partii i żadnej sile przodującej to nie przeszkadzało (ani SLD, ani PSL, ani PO), bo była dobrym urzędnikiem, dyrektorką, która awansowała, zaliczając po kolei wszystkie stopnie urzędnicze. Przestrzegała zasady etyki służby cywilnej, jednak z nastaniem PiS nic nie było brane pod uwagę – liczyła się przynależność, oczywiście do PiS, a takowej chęci zupełnie nie wykazywała.

Córka Anna i ja jesteśmy jedynymi w rodzinie (mam nadzieję), którzy z powodów politycznych, bo z pewnością nie merytorycznych, zostali zwolnieni z pracy. Mnie dotknęło to w roku 2000, kiedy wymówiono mi pracę w Wydziale Promocji Urzędu Miejskiego w Złotoryi – za rzekome germanofilstwo. Córkę spotkało to w roku 2016, ponieważ jako bezpartyjna nie stanęła w szeregu zwolenników zwycięskiej partii (PiS).

15 października 2023 r. (wybory parlamentarne) przyniósł gruntowne zmiany także w gmachu Opolskiego Urzędu Wojewódzkiego. Jedna z nich jest dla mnie wyjątkowo ważna: z dniem 1 lutego br., moja córka Anna Królikowska objęła stanowisko dyrektorki generalnej Opolskiego Urzędu Wojewódzkiego.

Cieszy mnie to podwójnie: i jako ojca, i jako Ślązaka, ponieważ moje dziecko, na mojej rodzinnej ziemi może wpływać na życie moich krajan.

NASI ABSOLWENCI

PIOTR OBRĄCZKA

O PROFESORZE WŁADYSŁAWIE STUDENCKIM PRYWATNIE

Promocja doktorska Piotra Obrączki (z prawej), Opole, 7 lipca 1970. Od lewej – prorektor doc. Zbigniew Romanowicz i promotor doc. Władysław Studencki

W grudniu przyszłego roku przypadają dwie ważne rocznice prof. Władysława Studenckiego: 115-lecie urodzin i 40-lecie śmierci. Był historykiem literatury polskiej, profesorem zwyczajnym opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej. W uczelni opolskiej, a także w WSP w Częstochowie wypromował około 500 magistrów, pod jego kierunkiem powstało 27 prac doktorskich.

Byłem studentem Profesora, słuchałem jego wykładów z zakresu poetyki, stylistyki i wersyfikacji, a także literatury polskiej okresu Młodej Polski, zdawałem kilka egzaminów. Na IV roku studiów zapisałem się na prowadzone przez niego, wówczas docenta, seminarium magisterskie. Nie wiem, czy pamiętałem wówczas, że to właśnie profesor Studencki, nadając w 1945 r. bytomskim ulicom i placom polskie nazwy, zmienił Breitestrasse, przy której się urodziłem i ponad ćwierć wieku mieszkałem, na Żeromskiego, ale to właśnie Stefan Żeromski był bliskim mi pisarzem, poprosiłem przeto promotora o temat *Stefan Żeromski jako krytyk literacki i artystyczny (na podstawie „Dzienników")*, na co Profesor wyraził zgodę. Starałem się później, w latach mojej pracy dydaktycznej w Opolu, naśladować Profesora, nie narzucać tematu pracy, nie ingerować zbytnio w trakcie jej powstawania, raczej nie przeszkadzać magistrantowi czy doktorantowi.

W okresie studiów spotykałem Profesora zarówno na opolskiej uczelni, jak i w bytomskim Klubie Literackim oraz w… pociągu na trasie Bytom-Opole-Bytom. Dzięki Profesorowi wróciłem z Opola do Bytomia: ówczesny wizytator szkół średnich w Kuratorium Oświaty w Katowicach Zbigniew Duszyk (wcześniej byłem jego uczniem w bytomskim Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Smolenia) szukał nauczyciela języka polskiego w bytomskim Technikum Mechaniczno-Elektrycznym dla Pracujących. Profesor wskazał na mnie i w ten sposób, jeszcze jako student V roku, podjąłem pracę w wymienionej szkole.

Bezpośrednio po egzaminie magisterskim Profesor odstąpił mi wykłady z literatury na działającym przy Muzeum Górnośląskim w Bytomiu Uniwersytecie Powszechnym Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Wykładali tam wówczas m.in. dr Barbara Bazielich (etnografka, później profesor Uniwersytetu Wrocławskiego), dr Jerzy Szydłowski (archeolog, później profesor Uniwersytetu Śląskiego), etnograf doc. Józef Ligęza (dyrektor Muzeum Górnośląskiego). Zastąpienie profesora Studenckiego było dla mnie, świeżo upieczonego absolwenta filologii polskiej, bardzo dużym wyróżnieniem.

Po ukończeniu studiów Profesor zaproponował mi pracę w kierowanej przez niego Katedrze Historii Literatury Polskiej. W Bytomiu miałem pracować przez pół roku, po czym przeszedłbym do Opola na staż asystencki (zwany oficjalnie asystenckimi studiami przygotowawczymi), tymczasem moje bytomskie zatrudnienie przedłużyło się o cały rok. Stało się tak na skutek pewnych zawirowań biurokratycznych (zbyt późne zgłoszenie kandydatury na posiedzenie Rady Wydziału).

Jeszcze przed rozpoczęciem stażu uzgodniłem z Profesorem temat pracy doktorskiej. Profesor, który interesował się szczególnie literaturą okresu Młodej Polski, zaproponował mi zajęcie się dramaturgią Jana Augusta Kisielewskiego. Zadecydowało tu zapewne żywe zainteresowanie Studenckiego problematyką biografistyki literackiej, wyszedł bowiem od stwierdzenia, że w jego rodzinnym Żywcu mieszka sędziwy ks. Leopold Kisielewski, przyrodni brat pisarzy: Jana Augusta i Zygmunta Kisielewskich, stryj słynnego Stefana Kisielewskiego (Kisiela).

Staż trwał dwa semestry, etatów na uczelni nie było, istniała natomiast szansa dostania się na trzyletnie studium doktoranckie. Udało się dzięki wydatnej pomocy profesora pedagogiki Jana Barteckiego (prowadzącego dla stażystów i doktorantów zajęcia z dydaktyki szkolnictwa wyższego) oraz Władysława Studenckiego (wówczas jeszcze docenta). Po dwóch latach rozprawa doktorska była gotowa, miałem przed sobą jeszcze rok studium doktoranckiego i widmo bezrobocia. Znowu uratował mnie Profesor, nadarzyła się bowiem szczególna okazja: w kierowanej przez niego katedrze ogłoszono konkurs na stanowisko asystenta/starszego asystenta. Kandydatów było kilkunastu (a może więcej?), zgłosiłem się również i ja. Profesorowi zawdzięczam wygranie konkursu, spośród wielu kandydatów (a była wśród nich m.in. żona jednego z sekretarzy partii, absolwentka studiów zaocznych) wybrał właśnie mnie, co było niemałą sensacją, a przede wszystkim aktem dużej odwagi Profesora: członek partii popierający bezpartyjnego, w dodatku niebędącego mieszkańcem Opola (o co mieli pretensje niektórzy kandydaci). W ten sposób – dzięki postawie Profesora – rezygnując z ostatniego roku studium doktoranckiego – zostałem starszym asystentem, wkrótce, po obronie pracy doktorskiej, adiunktem. Nadal korzystałem z cennej pomocy Profesora, szczególnie w publikowaniu tekstów. Profesor Studencki, mając niezwykle rozległe kontakty, również dzięki prowadzonemu w Bytomiu słynnemu Klubowi Literackiemu, ułatwiał młodym pracownikom publikację w ogólnopolskich czasopismach naukowych. Zapewne nie byłem jedynym, któremu umożliwił ogłaszanie tekstów naukowych poza ośrodkiem opolskim (m.in. w „Ruchu Literackim", „Przeglądzie Humanistycznym", „Teatrze").

Profesorowi Studenckiemu zawdzięczam niezwykle dużo: półtoraroczną pracę nauczycielską w Bytomiu, uzyskanie magisterium, dwuletnie studium doktoranckie, doktorat, zatrudnienie w opolskiej uczelni oraz start do późniejszych lat samodzielnej pracy naukowo-dydaktycznej. Staram się zawsze o tym pamiętać, jestem bowiem dłużnikiem Profesora. Moim skromnym podziękowaniem dla Profesora stała się współinicjatywa wystąpienia do bytomskiej Rady Miejskiej z wnioskiem o nadanie Miejskiej Biblioteki Publicznej w Bytomiu jego imienia, co nastąpiło 5 kwietnia 1993 roku. Kilkanaście lat później, w 2012, ukazała się pod moją redakcją publikacja *Profesor Władysław Studencki – patron bytomskiej biblioteki*, w której znalazły się teksty uczniów i przyjaciół Profesora.

NASI ABSOLWENCI

ELŻBIETA TRELA-MAZUR

WYBLAKŁE ZDJĘCIA, ŻYWE WSPOMNIENIA

Żakinada, 1967. Przed kinem Odra na pl. Wolności

Moje pierwsze kroki w Opolu w 1965 r. na egzaminie wstępnym do Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu (kierunek historia) okupiłam szalonym stresem. Komisję egzaminacyjną pamiętam jak przez mgłę, głównie panią prof. Elżbietę Hornową, która sympatycznie ze mną rozmawiała. Potem, w październiku, akademik w starej kamienicy przy obecnym pl. Kopernika – dokładnie naprzeciwko naszego dzisiejszego uniwersytetu. To było na poddaszu, wejście od podwórka po drewnianych, skrzypiących schodach. Pięć osób, z historii i polonistyki, łóżka piętrowe, ale pokój obszerny, choć dość ciemny. Na II roku już zamieszkałyśmy w Mrowisku, pierwsze piętro, też w pięć osób, z dwiema dziewczynami ze starszej polonistyki. Paliły papierosy – Cześka i Halinka, a wieczorami grały namiętnie w chińczyka. Wciągnęły nas w te nałogi. Znów łóżka piętrowe. A pod sufitem sznurek – na suszenie bielizny (!). Łazienki dość daleko, w drugiej połowie budynku.

Uczelnia w końcu lat 60. była cudownie kompaktowa. Istniał tylko jeden budynek przy ul. Oleskiej 48 (poza warsztatami fizyki i chemii przy ul. Luboszyckiej 7), połączony krzywymi schodami z DS. Mrowisko. Po tych krzywych schodach chodziło się bez mała przez pół wieku, dopóki wielki zjazd absolwentów w 2005 r. nie wymusił ich naprawy. Na szczęście wciąż trwa relikt dawnych czasów – popękany asfalt (dziś parking przed budynkiem) i ławeczki. Istniały wówczas tylko dwa wydziały: Filologiczno-Historyczny (Fil.-Hist.) i Matematyczno-Fizyczny

27 lutego 1968 r. w klubie Skrzat, ostatni dzień karnawału. Studenci III roku historii i polonistyki opolskiej WSP (od lewej): Barbara Chlebowska, Jadwiga Babicka, Andrzej Kopiec, Ewa Pobiasz, Elżbieta Kuc, Elżbieta Flakiewicz, Ewa Wedemska, Krystyna Dubiel (fot. Bronisław Sieczko)

(Mat.-Fiz.). Studenci różnych kierunków: filologii polskiej, rosyjskiej i historii (Fil.-Hist.) mieli niektóre wspólne wykłady w sali 154. Stołówka mieściła się w piwnicy DS Mrowisko: stało się często w bardzo długiej kolejce z bloczkiem obiadowym, a kto się zbytnio ociągał i przyszedł zbyt późno, otrzymywał tylko zupę, ewentualnie kartofle bez mięsa. W tej kolejce obserwowaliśmy się nawzajem, a po czasie znaliśmy się wszyscy z widzenia (w kolejce właśnie poznały się dwa małżeństwa). Miło było widzieć chłopaków z Mat.-Fiz.-u, bo Fil.-Hist. był w 80–90 proc. sfeminizowany. Dożyliśmy też otwarcia większej stołówki – długiego baraku, który stał na miejscu dzisiejszego Collegium Civitas. Za tym barakiem, tam gdzie dziś DS Spójnik, były wertepy porośnięte chaszczami. Wśród nich podczas letniej sesji egzaminacyjnej, na kocach, opalaliśmy się przy opasłych tomach historii starożytnej (Miszulin – ok. 300 stron, Maszkin – 854, Siergiejew – 606 stron), którą zdawaliśmy na I roku. Egzamin był trudny, a starożytnik prof. Eugeniusz Konik z Wrocławia – wymagający.

Klub Skrzat mieszczący się na parterze Mrowiska także nas integrował. Odbywały się tam świetne występy, a czasem tańce. Można było wypić kawę, herbatę i inne napoje (wyskokowych nie było). Innym źródłem rozrywki były Radio-Sygnały. W każdym pokoju w Mrowisku wsiał głośnik – tzw. kołchoźnik i słuchało się wieczorami muzyki i audycji (zresztą często powtarzanych). Na parterze akademika, pośrodku, mieściła się portiernia. Lewa strona akademika była męska, prawa – żeńska, a panie portierki bardzo tego podziału przestrzegały, pilnując, aby czasem nie dochodziło do gorszących, niekontrolowanych odwiedzin płci przeciwnej. Na odwiedziny kontrolowane był przeznaczony określony czas w określone dni: odwiedzający musiał zostawić na portierni legitymację lub dowód osobisty, zapisywano godzinę i miejsce odwiedzin. Co prawda, słyszało się od czasu do czasu, że komuś udało się nocą przeczołgać pod okienkiem portierni na drugą stronę albo że dyktę oddzielającą stronę lewą od prawej na piętrach ktoś mozolnie przesunął i zrobił wąskie przejście, ale były to wypadki sporadyczne.

Studenci IV roku historii opolskiej WSP na wycieczce do Zakopanego (1969). W pierwszym rzędzie, od lewej: Andrzej Szczepaniak, Agnieszka Ościak, Urszula Tadla, Elżbieta Lesik. W drugim rzędzie, od lewej: Danuta Piątkowska (tyłem), Maria Majtyka, Jerzy Kotowski, Janina Benad, Zdzisława Niżankowska, Justyna Lechr, Krystyna Dubiel, Janina Cebula, dr Barbara Leszczyńska (opiekunka roku, wrocławianka), Halina Oleksy

Mimo wszystko dobrze wspominamy tamte czasy. Sercem budynku uczelni przy Oleskiej też była portiernia; panie portierki wydawały klucze do sal, zapisując nazwiska pobierających. Znały wszystkich pracowników, a i student mógł klucz do sali otrzymać, pod warunkiem, że zostawił legitymację i zobowiązał się salę otworzyć oraz zamknąć po zajęciach. Portierki wiedziały niemal wszystko: czy jest już pan doktor, docent czy profesor i w jakiej sali. Miejsc integracji było kilka: ławeczki w holu na parterze, kolejki do dziekanatów na piętrze oraz kasa dla szczęśliwców, którzy stypendium otrzymali. Dziekanaty i kasa były otwarte tylko w określonym czasie, a kolejki do nich długie. Był też pod schodami na parterze, w prawym skrzydle klubik, składający się z dwóch salek: studenckiej i dla nauczycieli akademickich. Można było więc podejrzeć, kto w tej drugiej siedzi i pije kawę, posila się drożdżówką albo bigosem. W tej salce niektórzy profesorowie urządzali też seminaria. Miło tam był usłyszeć najnowsze plotki (szczególnie w latach późniejszych, gdy byłam już pracownikiem Instytutu Historii). Tego bufetu i miejsca spotkań przy stoliku w przerwach zajęć bardzo dziś brakuje.

W budynku głównym wszyscy mieliśmy zajęcia, ale prawe skrzydło należało do Mat.-Fiz. (gdy patrzeć od strony Oleskiej), zaś nasze lewe podzielono piętrami. Na parterze rozgościła się administracja, a na pierwszym piętrze w części środkowej dziekanaty: z lewej filologie, a na górze historia i wojsko. W dalszej części skrzydła lewego odbywały się nasze wykłady. Ćwiczenia na piętrze trzecim w gorących, mniejszych salach (np. 305) będziemy długo wspominać, bowiem na dwóch pierwszych latach były ćwiczenia z języka niemieckiego i łaciny. Dr Stefania Mazurek (język niemiecki) była wymagająca i groźna, a nawet zdarzało jej się mocno naszym nieuctwem zdenerwować, pokrzyczeć i czyimś zeszytem rzucić za drzwi. Łacinnik, niebieskooki Mieczysław Gąszczyński – przeciwnie, był spokojny, ale oceniał surowo i przepytywał bez końca z koniugacji i deklinacji. Teksty łacińskie „zaliczaliśmy" tylko dzięki pomocy księży jezuitów z sąsiedztwa… Te wówczas nagrzane słońcem sale dziś są latem nieco chłodniejsze, bo zacieniają je wysokie topole, które posadzono jako małe, chude drzewka w latach sześćdziesiątych.

Spotkanie absolwentów historii 1965–1970 u Krystyny Dubiel w Straconce, 22 września 1990

Wymagającym egzaminatorem był też dr Witold Kruk-Ołpiński, socjolog. Egzamin był trudny, ale łatwiej go było zdać studentkom… w niebieskich bluzkach (taki kolor podobno lubił). Do mnie, po południu, dyżurna bluzka dotarła już mocno przepocona, przez co trudno było się skupić, egzamin zdałam jednak na czwórkę.

Barwną postacią był też dr hab. Adolf Nasz z Wrocławia, elegancki, szczupły i niewielkiego wzrostu pan, który biegał jak wiatr po korytarzu, trzaskał drzwiami i mawiał żartobliwie: *jak byłem młodym, wysokim, przystojnym asystentem to*... Lubiliśmy go z powodu eleganckich marynarek w kratę, które nosił – był barwnym ptakiem na firmamencie powszechnej wtedy uniformizacji. Jego przeciwieństwem mógłby być doc. Władysław Dziewulski, który do stroju nie przywiązywał zbytniej wagi, a na wykłady (z historii Śląska) przychodził czasem ze swoim psem Żolikiem, podobnym do małego, kudłatego teriera. Żolik spokojnie siedział od 30 do 40 minut, po czym machał ogonkiem. A wtedy docent mówił: *Żolik twierdzi, że to koniec wykładu.* I wychodzili. Docent Dziewulski miał ogromną wiedzę. Potrafił zbić z tropu największe autorytety, czego świadkiem byłam w latach późniejszych na zebraniach OTPN (Opolskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk).

Chciałabym wspomnieć także o dr Urszuli Szumskiej z Katowic. Była zawsze ubrana w szarą prostą, długą suknię, co bardzo się nam kojarzyło z ubiorem szarytek. Jej szlachetne rysy twarzy zawsze przypominały mi twarz Iwana Groźnego z obrazu Riepina. Na jej wykładach (historia powszechna i historia Polski) ręce nas bolały od notowania – tempo wykładu i sam materiał były ogromne. Dr Urszula Szumska nie uznawała socjalistycznych podręczników – do egzaminu z historii Anglii należało przygotować lekturę po angielsku. Była bardzo wymagająca i zawsze poważna, ale wiedzę z tego okresu zachowałam najdłużej, podobnie jak zeszyty z wykładami.

Ówczesny dr Józef Jagas (później profesor) natomiast słynął z zabawnego przekręcania naszych nazwisk i trochę zaczepnych uwag wobec dziewczyn.

Ostatnie lata studiów były już o wiele łatwiejsze, choć nie mniej ciekawe, m.in. ze względu na matczyne podejście do studentów, jakie cechowało panią dydaktyk Marię Piwońską. Pamiętam też doskonale seminaria, jakie odbywaliśmy we Wrocławiu, w willi prawnika prof. Leszka Winowskiego, który był po zawale, zatem podróż do Opola nie wchodziła w grę. Przyjeżdżaliśmy więc do niego, ubieraliśmy kapcie muzealne, a pani profesorowa podawała herbatkę. Po skończonych zajęciach nasze sześcioosobowe seminarium oczywiście hulało po Wrocławiu…

Studia zaczęliśmy na I roku historii w grupie 40 osób. Ukończyło je 38 magistrów, z których wyrosło czterech profesorów, dwóch doktorów, kilku dyrektorów i wielu nauczycieli szkół średnich. To był dobry rok. I piękne czasy. Do dziś się spotykamy dzięki Mateuszowi Czuprynie, naszemu *spiritus movens*.

P.S. O wielu postaciach związanych z opolską WSP bardzo rzetelnie napisał w swoich pracach, w tym w *Alma Mater Opoliensis* (Opole 2004) prof. Stanisław Sławomir Nicieja.

STUDENCKIE WOJSKO

Studium Wojskowe było jednostką organizacyjną szkoły wyższej powołaną do prowadzenia szkolenia wojskowego i obronnego studentów (zajęcia prowadzili wojskowi). Studium wojskowe traktowane było przez uczelnie jak przedmiot obowiązkowy, a brak jego zaliczenia albo negatywna ocena uniemożliwiały kontynuowanie studiów. Na zdjęciach – studenci Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu w trakcie zajęć Studium Wojskowego w latach 1967–1969.

Studencki obóz wojskowy w Kożuchowie (26 czerwca–25 lipca 1969), przed apelem (z archiwum Jerzego Kotowskiego)

Pluton studentów II roku (różnych kierunków) WSP w Opolu, sierpień 1967 r., tuż po złożeniu przysięgi wojskowej. Na zdjęciu w drugim rzędzie, w środku – mjr Władysław Szarek, ówczesny szef Studium Wojskowego opolskiej WSP (z archiwum Mateusza Czupryny)

Defilada po przysiędze wojskowej, sierpień 1967 (z archiwum Mateusza Czupryny)

Zgrupowanie studentów Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Wyższej Szkoły Inżynierskiej, Opole, 1967 (z archiwum Mateusza Czupryny)

Obóz wojskowy w Kożuchowie, lipiec 1969. Na zdjęciu studenci IV roku historii, od prawej: Bogdan Cimała (późniejszy profesor WSP i Uniwersytetu Opolskiego), N.N., Zdzisław Bieniek, Mateusz Czupryna i Jerzy Kotowski (z archiwum Jerzego Kotowskiego)

LISTY, POLEMIKI

Żakinada, 1967. Przed kinem Odra na pl. Wolności

Szanowna Pani Redaktor!

Dzięki życzliwości i niezwyczajnej uprzejmości Pana dr. Adama Wiercińskiego docierają do mnie, do Torunia, od 17 lat kolejne numery „Indeksu", pisma Uniwersytetu Opolskiego. Lektura dla mnie interesująca i cenna. Moje ulubione teksty to właśnie znakomity cykl dr. Adama Wiercińskiego pt. *Za szybkie pisanie*, artykuły prof. Stanisława Sławomira Nicieji lub fragmenty z jego *Kresowej Atlantydy*, felietony o sztuce Agnieszki Kani, a także pojawiające się od niedawna rozważania prof. Jana Miodka o języku, świetne. W numerze z lutego 2024 r. przeczytałam i obejrzałam z ogromną przyjemnością przygotowaną właśnie przez Panią Redaktor całą drugą część, poświęconą Uniwersytetowi Opolskiemu – absolwentowi opolskiej WSP – jak była Pani uprzejma określić. Bardzo dziękuję i gratuluję takiego wyboru!

Wyższa Szkoła Pedagogiczna to była moja uczelnia! Od 1956 roku. Pamiętny rok, kiedy Polacy przeżywali dojście do władzy Władysława Gomółki. Brać studencka Opola (w tym i studenci rusycystyki) brała udział w wiecu popierającym postać, z którą społeczeństwo wiązało tyle nadziei. Wiec w Opolu odbył się na pl. Armii Czerwonej, dziś pl. Kopernika. Grupa, do której i ja należałam, obawiała się, myśląc o pracy po studiach, że być może nie będą już w polskich szkołach prowadzone lekcje języka rosyjskiego i w związku z tym wszyscy rozpoczęliśmy również studia na drugim kierunku – historii. Nie był to jednak, jak się okazało, najlepszy pomysł, ponieważ w rezultacie mieliśmy tyle zajęć, że nie udało się nikomu z roku (chyba prócz jednej osoby) napisać pracy magisterskiej w terminie. Swoją pracę broniłam rok później.

Przeglądając kolejne numery „Indeksów", myślę z żalem, że coraz mniej znanych mi twarzy znajduję na fotografiach, tak licznie zdobiących pismo. A z czasów moich studiów? Lata 1956–1960? Z trudem przypominam sobie nazwiska profesorów, asystentów, ba, nawet koleżanek i kolegów. Często gubię imiona. Spośród wykładowców z wdzięcznością wspominam profesorów: Alojzego Gembalę, Leszka Winowskiego, Kazimierza Orzechowskiego, Witolda Kruka-Ołpińskiego, Maurycego Horna, Stanisława Kolbuszewskiego. Asystentami byli wtedy: Jerzy Kopeć, Janina Sałajczyk, Zygmunt Fajks, Halina Smolińska (później dr nauk humanistycznych), Stanisław Kochman – później rektor WSP. To m.in. dzięki jego staraniom powołano Uniwersytet Opolski. Pamiętam też: panią Janinę Sas, portierkę (nas, studentki, traktowała jak mama), koleżankę z roku – Małgosię Czocharę i kolegę Staszka Bandziaka, kolegów z polonistyki – Stanisława Racławickiego (później redaktora naczelnego Rozgłośni Polskiego Radia w Opolu) i Wacława Horoszkiewicza (później dziennikarza z Katowic). To były postaci z lat mojej młodości. Wielu już odeszło. Naprawdę człowiek staje się stary, kiedy nie ma już z kim wspominać.

A przecież zawsze myślę z wdzięcznością, ciepłem i czułością o tych, którzy zaszczycili mnie swoją przyjaźnią, serdeczną uwagą i troską; o Halinie Smolińskiej, Stanisławie Kochmanie i Stanisławie Racławickim. Ze wzruszeniem wspominam serdeczną przyjaciółkę Jagę Miśkiewicz, po mężu Soroczyńską, z Katowic. Kiedy od 1960 r. wciągnęła mnie, wręcz pochłonęła na 47 lat, praca w Polskim Radiu Opole, spotkałam wielu wspaniałych

ludzi, dziesiątki, setki. Moim zdaniem to, co jest najcenniejsze w pracy dziennikarskiej – to właśnie spotkania z ludźmi. Poznawanie historii ich życia, ich osiągnięć, planów i marzeń, tych spełnionych i nie. Poznałam też Panią Redaktor naczelną „Indeksu" – Barbarę Stankiewicz. Aż trudno uwierzyć, że takie dobre i ciekawe pismo jak „Indeks" tworzy jedna osoba.

Pani Barbaro! podziwiam Pani pracowitość, skuteczność, dbałość o szczegóły, upór i przekonanie o tym, że trzeba i warto, no i naturalnie pracę dziennikarską (ach, te Pani wywiady!). Szczerze gratuluję! Dziękuję jeszcze raz za część drugą ostatniego wydania „Indeksu", za przywołanie przeszłości. Zdjęcia i teksty pozwoliły mi dopomnieć lata młodości.

Posyłam zdjęcie z juwenaliów w 1958 r., od prawej – Jaga Miśkiewicz, Danka Dudycz i ja. Mieszkałyśmy w Domu Studenta Mrowisko, pokój nr 6 (ten z balkonikiem).

Pozdrawiam. Życzę powodzenia i pomyślności!
Aleksandra Czyżniewska
Toruń

INDEKS

RELACJE, RECENZJE, NOTY

ODESZLI

DR HAB. EDWARD BOROŃSKI, PROF. UO (1949–2024)

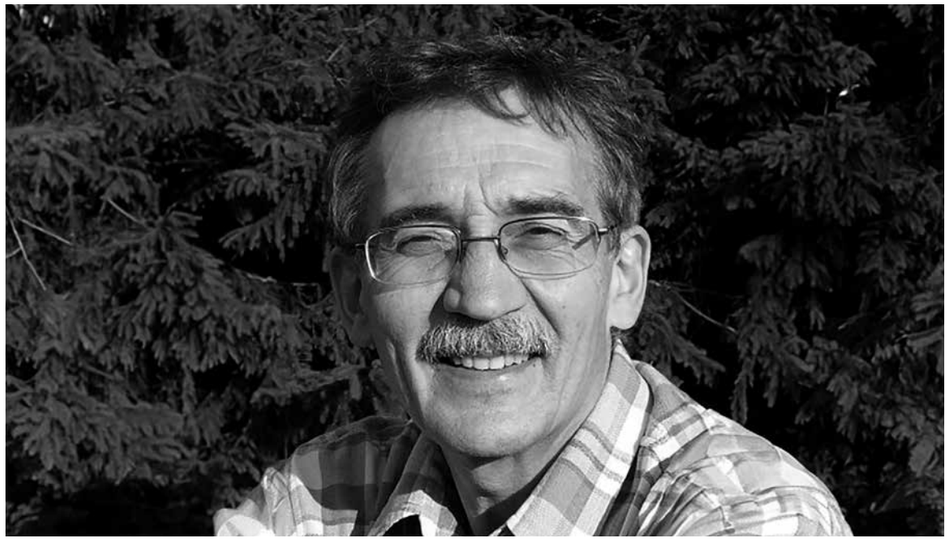

Prof. Edward Boroński

5 kwietnia br. zmarł dr hab. Edward Boroński, prof. UO, w latach 2007–2017 pracownik naukowo-dydaktyczny Instytutu Fizyki.

Absolwent XII LO we Wrocławiu (1967) i Wydziału Mat. Fiz. i Chem. Uniwersytetu Wrocławskiego (1972), w latach 1972–1977 doktorant w Instytucie Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych Polskiej Akademii Nauk (INTiBS PAN) we Wrocławiu.

W 1977 r. uzyskał stopień doktora nauk fizycznych na podstawie rozprawy *Rozkład ładunku elektronowego wokół pozytronu w gazie elektronowym*. Tytuł rozprawy doktorskiej w istocie określa ramy nie tylko wówczas aktualnych, ale również przyszłych zainteresowań badawczych młodego naukowca: fizyka teoretyczna ze wspomaganiem numerycznym w zakresie metod fizyki jądrowej w fizyce ciał stałych, w szczególności teorii metali.

W 1977 r. świeżo wypromowany doktor podjął pracę w Instytucie Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych Polskiej Akademii Nauk, którą kontynuował do 2007 r. jako adiunkt, kolejno w zakładach: Teorii Ciała Stałego, Teorii Metali i Teorii Struktury Elektronowej. Był to okres jego intensywnej pracy badawczej. Ważne publikacje – przede wszystkim w „Physical Review B" – dotyczyły analizy procesów anihilacji pozytronów w ramach teorii oddziaływania elektron-pozytron w gazie elektronowym, ciałach stałych i materiałach zdefektowanych. Wnosiły też wkład w badanie struktury elektronowej (pasmowej) ciał stałych.

Najważniejsze wyniki przyniosła współpraca z H. Stachowiakiem, G. Kontrym-Sznajd (INTiBS, Wrocław) oraz R. M. Nieminenem (Uniwersytet Jyväskylä, Finlandia), w tym praca z 640 cytowaniami, źródło tzw. Boroński-Nieminen formula. Warto tu wspomnieć opinię prof. Kontrym-Sznajd z roku 2012: „Do dziś nie powstała teoria, która opisywałaby czasy życia pozytonu w metalach lepiej niż sławna teoria Boroński-Nieminen".

Pracowitość, talent i aktywność naukowa Edwarda Borońskiego były docenione nie tylko poprzez zaproszenia na długoterminowe staże naukowe na Uniwersytecie Jyväskylä i Uniwersytecie Genewskim w latach 1982–1999. Zaproszono go także na cztery miesiące w charakterze *visiting professora* na Politechnikę w Lozannie. Był stałym uczestnikiem, również w charakterze wykładowcy (*invited talks*, Sombathely 1991, Pekin 1994), na Międzynarodowych Konferencjach Anihilacji Pozytronów. Kierował projektami badawczymi Komitetu Badań Naukowych oraz projektem badawczym Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej w Wiedniu. Recenzował rozprawy doktorskie i habilitacyjne, regularnie pisał recenzje dla „Physical Review B".

W 2006 r. dr Edward Boroński przedstawił rozprawę habilitacyjną pt. *Wpływ efektów wielociałowych oraz niejednorodności układu na charakterystyki anihilacji pozytronów w metalach*. Już jako pracownik Instytutu Fizyki Uniwersytetu Opolskiego (od 1 lutego 2007), decyzją Rady Naukowej INTiBS PAN, w 2007 r. uzyskał stopień naukowy doktora habilitowanego nauk fizycznych.

W Instytucie Fizyki UO pracował na stanowisku adiunkta z habilitacją (2007–2014) i profesora nadzwyczajnego w Katedrze Zastosowań Fizyki Jądrowej (2014–2017). Jako fizyk teoretyk służył swoim doświadczeniem w zakresie badań wspieranych numerycznie przypisane wersje metody Monte Carlo), nadal publikując artykuły w periodykach naukowych.

Dopiero po podjęciu pracy na Uniwersytecie Opolskim Edward Boroński odkrył swoje powołanie dydaktyczne. Wcześniejsza praca w Polskiej Akademii Nauk nie sprzyjała bowiem częstym kontaktom ze studentami. Z wielkim zaangażowaniem przygotowywał się do zajęć i czerpał satysfakcję z kontaktów z młodzieżą. Zwłaszcza gdy zauważał prawdziwe zainteresowanie fizyką, otwartość i żywą ciekawość świata. Prowadził też niełatwe wykłady kursowe i monograficzne na temat fizyki ciała stałego, elektrodynamiki, modelowania komputerowego i procesów fizycznych.

Był ciekawym człowiekiem, z licznymi i niebanalnymi zainteresowaniami. Pasjonowały go: muzyka klasyczna (słuch absolutny), radioelektronika (tester dźwięku), turystyka górska, turystyka rowerowa, narciarstwo biegowe, kajakarstwo (spływy), żeglarstwo i wędkarstwo. Przy tym był żywo zainteresowany fizyką jako swoistą teorią wszystkiego, poszukiwał odpowiedzi na podstawowe pytania naukowe i filozoficzne*: Jeśli Wszechświat jest odpowiedzią, to jakie jest pytanie?*, *Rzeczywistość nie jest tym, czym się wydaje* (C. Rovelli) i *Czym jest prawda* (w nauce, J. Peebles).

Dla nas, koleżanek i kolegów Edwarda Borońskiego z Uniwersytetu Opolskiego ważne jest zdanie jego rodziny: *W Instytucie Fizyki znalazł prawdziwie przyjazne środowisko, życzliwych przełożonych, współpracowników i serdecznych kolegów. Zawsze był bardzo zadowolony z decyzji podjęcia pracy w Opolu i wdzięczny za tych dziesięć dobrych lat w jego życiu.*

I najważniejsze: był dobrym Człowiekiem i Kolegą, którego naukowe i pozanaukowe opinie miały dla nas znaczenie. Żegnaj Edwardzie, dla wielu, po prostu – Edku…

Władze i pracownicy Instytutu Fizyki UO

ODESZLI

MGR INŻ. ANDRZEJ LAMENC (1962–2024)

Mgr inż. Andrzej Lamenc

23 maja br. zmarł nagle mgr inż. Andrzej Lamenc, zastępca dyrektora Centrum Inwestycyjnego ds. Inwestycji i Remontów Uniwersytetu Opolskiego.

Andrzej Lamenc zatrudniony był na naszym uniwersytecie od 2 marca 2015 roku. W 1987 r. ukończył Wojskową Akademię Techniczną w Warszawie z tytułem mgr. inż. budownictwa lądowego. Na Uniwersytecie Opolskim pełnił m.in. funkcję zastępcy kierownika Działu Technicznego, a od lipca 2020 – zastępcy dyrektora Centrum Inwestycyjnego.

Mgr inż. Andrzej Lamenc był zaangażowany w realizację wielu flagowych inwestycji na Uniwersytecie Opolski – w ostatnim czasie m.in. w budowę Międzynarodowego Centrum Badawczo-Rozwojowego na rzecz Rolnictwa i Przemysłu Rolno-Spożywczego.

GRZEGORZ HEBDA

CIEPŁO, CIEPLEJ, GORĄCO!

Badania entomologiczne na poletkach doświadczalnych w Ogrodzie Botanicznym w Radzionkowie

Globalne ocieplenie. Konsekwencja przeszłości, nasza rzeczywistość, rosnące zagrożenie w przyszłości. Szczególnie na łamach uniwersyteckiego czasopisma nie ma potrzeby nikogo przekonywać, że jest faktem, wpisanym już w naszą codzienną egzystencję. Każdy kolejny rok pobija rekord temperatur, upały każdego kolejnego lata są dla nas, żyjących w strefie umiarkowanej, coraz bardziej nieznośne, a ekstremalne zjawiska pogodowe jak powodzie i orkany, coraz częstsze.

Dla biologa środowiskowego globalne ocieplenie niesie za sobą wiele wyzwań badawczych, dotyczących choćby badań zmian rozmieszczenia gatunków zarówno w skali regionalnej, jak i w skali globalnej, ekspansji gatunków typowych dla cieplejszych stref klimatycznych, zaniku środowisk wodno-błotnych i zwiększającego się udziału środowisk stepowych lub ogólnie ciepłolubnych. Tak sformułowane zagadnienia wpisują się w szeroko pojęte badania bioróżnorodności. Bo przecież wpływ zmian klimatycznych można obserwować w każdym z jej typów: zróżnicowania krajobrazowego, ekosystemów, gatunkowego, na poziomie genetycznym zachowanych populacji. W każdym z tych układów odpowiedzi można szukać na różnych poziomach. Na poziomie strukturalnym badamy strukturę i stosunki ilościowe w całych ekosystemach (łąka) lub tylko w zbiorowościach organizmów (np. zapylaczy na łące), a na poziomie funkcjonalnym opisujemy zależności między organizmami i zasady funkcjonowania takich układów ekologicznych, np. zależność pojawu zapylaczy od fenologii kwitnienia roślin.

Ten interesujący i potrzebny nurt badawczy zgłębiali przez ostatnie trzy lata pracownicy Instytutu Biologii: **dr hab. Sylwia Nowak, prof. UO**, niżej podpisany **dr Grze-**

Odłowy owadów w Ogrodzie Botanicznym w Radzionkowie

Członkinie Koła Naukowego Biologów i kosaćce syberyjskie w Radzionkowie

gorz Hebda oraz dwaj dawni pracownicy Instytutu: **prof. dr hab. Arkadiusz Nowak** i **dr Sebastian Świerszcz**, w ramach grantu NCN OPUS pt. *Ekstremalne zjawiska klimatyczne a bioróżnorodność – wpływ globalnego ocieplenia na ekosystem traworośli strefy umiarkowanej*, którego kierownikiem jest prof. Arkadiusz Nowak, obecnie dyrektor Ogrodu Botanicznego – Centrum Zachowania Różnorodności Biologicznej PAN w Powsinie.

Grant naukowy obejmuje badania wpływu globalnego ocieplenia na cały ekosystem, w różnych aspektach: zmiany mikroklimatu w obrębie łąk (dla uproszczenia tak dalej nazywać będę mniej oczywiste traworośla), zmiany składu gatunkowego roślin, transformacji fitosocjologicznej łąk, zmiany zespołów owadów, w tym zapylających, owadów epigeicznych (przebywają głównie na ziemi i w powierzchniowej jej warstwie). Jako że reakcji na tak duże zaburzenia warunków środowiska należy spodziewać się na różnym poziomie, badane były nawet zmiany w obrębie kolorystyki kwiatów, obecności grzybów patogenicznych i metabolizmu roślin. Tak szerokie spektrum poruszanych zagadnień wymaga współpracy naukowców z różnych dyscyplin biologicznych. Do zespołu badawczego prof. Arkadiusz Nowak, będący w momencie składania grantu pracownikiem Uniwersytetu Opolskiego, zaprosił dominujący w grancie zespół botaników, ale też entomologów, mykologów, ekologów roślin i zwierząt, fizjologów roślin oraz genetyków. Zespół ten rekrutuje się z różnych ośrodków naukowych w Polsce: trzech pracowników Instytutu Biologii (dr hab. Sylwia Nowak, prof. UO, dr Grzegorz Hebda, **dr Miłosz Mazur**), Ogrodu Botanicznego CZRB w Powsinie, Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, Instytutu Fizjologii Roślin PAN w Krakowie. Co szczególnie dla mnie istotne i miłe, w pracach terenowych przez wszystkie trzy lata pomagali również studenci biologii naszego uniwersytetu, zrzeszeni w Kole Naukowym Biologów. Kilka razy w miejscu prowadzenia badań terenowych w ogrodzie botanicznym odbywały się wyjazdowe zajęcia terenowe dla studentów kierunków biologicznych.

Nie mniej ciekawe od tematyki badawczej jest miejsce realizacji projektu – Śląski Ogród Botaniczny w Radzionkowie. Ten działający od niespełna 15 lat ogród na terenie Księżej Góry w Radzionkowie powstał w wyniku porozumienia gminy Radzionków i związku stowarzyszeń pod nazwą Śląski Ogród Botaniczny. Od początku powstania ogrodu Instytut Biologii UO aktywnie współpracował z tą jednostką, bo przecież z nią związani byli wieloletni pracownicy Instytutu, botanicy i anatomowie roślin: **prof. dr hab. Wiesław Włoch**, **dr Aldona Gizińska**, **dr Adam Miodek** i **dr Paweł Kojs**, który po odejściu z Uniwersytetu Opolskiego sprawuje funkcję dyrektora Śląskiego Ogrodu Botanicznego w Mikołowie. Do chwili obecnej Śląski Ogród Botaniczny jest jednym z kilku najaktywniejszych interesariuszy zewnętrznych Wydziału Przyrodniczo-Technicznego.

A jak wyglądała nasza praca? Na terenie ogrodu w Radzionkowie, na tzw. basenach, gdzie utrzymywane są zbiorowiska traworośli przeniesione tu z obszaru lotniska w Pyrzowicach (to bardzo interesujący naukowo i praktycznie wątek wart rozwinięcia w oddzielnym tekście), wyznaczone zostały poletka badawcze. I tu robi się ciekawy eksperyment biologiczny! Połowa z poletek badawczych była „ocieplana". Do uzyskania efektu podniesienia temperatury zastosowana została metoda OTC tj. otwartych namiotów (z ang. *Open Top Chamber*), które pozwalają uzyskać ocieplenie powietrza na poziomie gruntu w takim zakresie, w jakim podnosi się globalna temperatura na Ziemi (w przybliżeniu 1–2 stopnie Celsjusza). Do tego wszystkiego dołożono modyfikację uwilgotnienia łąk, sterując automatycznym podlewaniem połowy poletek. I w tak skonstruowanym układzie badawczym od wiosny do jesieni przez trzy lata uwijali się wcale nie w przysłowiowym, a w rzeczywistym ukropie biolodzy, by poznać reakcje środowiska traworośli i zamieszkujących je organizmów na zafundowane (dosłownie) zmiany warunków ich życia. Metodologicznie w badaniach posługiwano się przeróżnymi metodami, technikami i przyrządami. Np. owady czerpakowano z roślinności zielnej, odławiano w pułapki Barbera, robiono regularne spisy roślinności, wybrane rośliny mierzono, ważono, określano intensywność kolorów kwiatów, zasysano powietrze w specjalny aspirometr – by później badać zarodniki grzybów, wykorzystywano termohigrometry, fotometry itp. Wszystko po to, by dowiedzieć się więcej. I żebyśmy byli lepiej przygotowani na to, co w środowisku, którego jesteśmy częścią, się wydarzy w raczej bliższej niż dalszej przyszłości.

Na wyniki i odpowiedzi trzeba jeszcze chwilę poczekać, dowiemy się wszystkiego niebawem z publikacji naukowych (pierwsze już w drodze!), których – patrząc na dorobek naukowy w szczególności kierownika grantu, ale i jego wykonawców – można się spodziewać w najbardziej renomowanych czasopismach.

STANKOMIR NICIEJA

IMPONUJĄCA ROCZNICA PARTNERSKIEJ UCZELNI

525-lecie Uniwersytetu w Walencji

Budynek La Nau z zewnątrz

Nie tylko Uniwersytet Opolski obchodzi w bieżącym roku swój świetny jubileusz. Również nasza partnerska uczelnia, Uniwersytet w Walencji, z którą od 2019 r. współtworzymy sojusz akademicki FORTHEM, obchodzi imponującą rocznicę 525-lecia powstania. Uniwersytet, którego pełna nazwa w języku walencjańskim brzmi: Universitat de València-Estudi General, został ufundowany w 1499 roku. Niemniej jednak wysiłki i zabiegi, aby utworzyć prestiżową uczelnię w Walencji zaczęto podejmować znacznie wcześniej.

Podobnie jak dziś, 525 lat temu Walencja była jednym z najszybciej rozwijających się ośrodków miejskich w basenie Morza Śródziemnego. Bogactwo miasta opierało się przede wszystkim na prężnym handlu (głównie z portami Italii) oraz zaawansowanej produkcji rolnej w rozległej i żyznej dolinie okalającej Walencję – słynnej Huercie. Dzięki temu w XV w. Walencja wyrosła na najludniejsze i najbogatsze miasto Korony Aragonii. Do pełnego potwierdzenia swojego statusu brakowało jej jedynie dynamicznego ośrodka akademickiego. Włodarze i elity Walencji pragnęły, aby przyciągać do miasta nie tylko zdolnych kupców i rzemieślników, ale także, jak to miało miejsce wcześniej w Bolonii czy Salamance, najbystrzejsze umysły regionu.

Choć możliwość podjęcia studiów wyższych w niektórych specjalnościach istniała w Walencji już od XIII w., były to przedsięwzięcia rozproszone i o nierównym poziomie. Pierwszą próbę konsolidacji kościelnych i świeckich ośrodków edukacyjnych w mieście podjęto w 1412 roku. Niestety, wysiłki te okazały się nietrwałe i inicjatywa rozpadła się zaledwie po czterech latach. Stworzono wtedy jednak silną podstawę dla przyszłego uniwersytetu.

Budynek Wydziału Filologii, Przekładu i Komunikacji w kampusie Blasco Ibáñez

Do pomysłu utworzenia uniwersytetu w Walencji powrócono pod koniec XV w., tym razem z większą determinacją. W 1493 r. władze miasta zakupiły i zaadaptowały budynki w sercu miasta na potrzeby edukacyjne, tworząc w ten sposób jeden z ciekawszych zabytków współczesnej Walencji – Le Nau. Po zabezpieczeniu bazy materialnej konieczne było jeszcze zabezpieczenie statusu prawnego dla nowej placówki. Ostatecznie stało się to poprzez zatwierdzenie statutu uczelni 30 kwietnia 1499 roku. Rok później utworzenie uniwersytetu zostało zatwierdzone przez pochodzącego z Walencji papieża Aleksandra VI. Po uzyskaniu bulli papieskiej król Ferdynand Katolicki wyraził ostatecznie zgodę na funkcjonowanie uniwersytetu w przywileju konfirmacyjnym, nadanym w lutym 1502 roku.

Dość szybko Uniwersytet w Walencji stał się jednym z najważniejszych ośrodków akademickich Hiszpanii. Zacne grono najstarszych hiszpańskich uniwersytetów otwiera założony w 1218 r. Uniwersytet w Salamance. Przed ufundowaniem Uniwersytetu w Walencji na Półwyspie Iberyjskim powstały jeszcze Uniwersytet w Valladolid w 1241, Uniwersytet w Murcji w 1272, Uniwersytet Complutense w Madrycie w 1293, Uniwersytet w Barcelonie w 1450 oraz Uniwersytet w Santiago de Compostela w 1495 roku. Przy tej okazji wspomnieć należy jeszcze portugalski Uniwersytet w Coimbrze założony w 1290 roku.

Najlepszym bodaj materialnym świadectwem świetności walenckiej wszechnicy jest wspomniany wcześniej historyczny budynek La Nau. Nazwa ta wywodzi się od akronimu: *La Nostra Antiga Universitat* (w języku walencjańskim dosł. „nasz stary uniwersytet") i choć na tle innych, spektakularnych zabytków historycznego centrum Walencji z zewnątrz budynek nie prezentuje

się szczególne okazale, wrażenie radykalnie się zmienia, gdy przekroczymy bramę i wejdziemy na wspaniały dziedziniec oraz do poszczególnych sal wykładowych. Pod względem architektonicznym La Nau jest znakomitym przykładem łączenia stylu renesansowego i barokowego, z misternie zaprojektowanym dziedzińcem, wielkimi salami i ozdobnymi fasadami. Obecnie budynek nadal służy miastu i regionowi jako muzeum oraz ośrodek kulturalny i edukacyjny, w którym regularnie odbywają się wystawy, konferencje i inne przedsięwzięcia akademickie.

Dziś Uniwersytet w Walencji to nowoczesna instytucja, która płynnie łączy swoje bogate dziedzictwo z najnowocześniejszymi badaniami i światowej klasy edukacją. Zachowując status jednego z przodujących uniwersytetów w Hiszpanii, regularnie zajmuje wysokie pozycje w krajowych i międzynarodowych rankingach uniwersyteckich. Na Uniwersytecie w Walencji studiuje obecnie prawie 60 000 studentów, a kadra akademicka liczy ponad 3300 wykładowców. Uniwersytet w Walencji funkcjonuje dziś w ramach czterech głównych kampusów. Są to Blasco Ibáñez, Tarongers, Onteniente i Burjasot-Paterna. Największy kampus, Blasco Ibáñez, mieści wydziały humanistyczne, pedagogiczne i medyczne. Kampus Burjassot-Paterna koncentruje się na naukach przyrodniczych i inżynierii, kampus Tarongers – na naukach społecznych, ekonomicznych i prawnych, natomiast kampus Onteniente mieści m.in. wydziały: pielęgniarstwa, zarządzania i finansów. Uczelnia jest również tętniącym życiem centrum kulturalnym, z licznymi muzeami, galeriami sztuki oraz historycznymi budynkami. Wśród nich na uwagę zasługuje Ogród Botaniczny, założony w 1567 r., który jest jednym z najstarszych w Europie.

PREZYDENCJA FORTHEM NA SPOTKANIU W WALENCJI

Reprezentanci Uniwersytetu Opolskiego, uczestnicy spotkania Prezydencji FORTHEM w Walencji. Na zdjęciu, od lewej: Iryna Shvets, Patrycja Bochenek, Agnieszka Kalemba, rektor elekt prof. Jacek Lipok, dr Barbara Curyło i prorektor prof. Rafał Matwiejczuk

Uczestnicy spotkania na hiszpańskim Uniwersytecie w Walencji (24–25 kwietnia br.) dyskutowali o perspektywach finansowych i celach strategicznych sojuszu FORTHEM po 2030 r., projekcie European Degree i wspólnym wzmacnianiu doskonałości akademickiej na szczeblu międzynarodowym. Podpisali też Statut Sojuszu.

Obradom przewodniczyła rektor Uniwersytetu w Walencji – **prof. Maria Vicenta Mestre Escriva**. Uczestniczyli w nich także: **prof. Gundars Berzins z Rygi** (Łotwa), **prof. Sorin Radu** z Sibiu (Rumunia), **prof. Vincent Thomas** z Burgundii (Francja), **prof. Sunniva Whittaker** z Agder (Norwegia), **prof. Jari Ojala** z Jyväskyla (Finlandia), **prof. Georg Krausch** z Moguncji (Niemcy) i **prof. Fabio Mazzola**, który zastąpił **Massimo Midiriego** z Palermo (Włochy).

Uniwersytet Opolski reprezentowali: rektor elekt **prof. dr hab. Jacek Lipok**, **dr Barbara Curyło** (w spotkaniach Prezydencji FORTHEM uczestniczy jako przewodnicząca Komisji Koordynacyjnej sojuszu), prorektor ds. rozwoju i finansów **dr hab. inż. Rafał Matwiejczuk, prof. UO**, oficer komunikacyjna FORTHEM **Agnieszka Kalemba**, menedżerka FORTHEM na Uniwersytecie Opolskim **Patrycja Bochenek** i **Iryna Shvets** z Biura Marketingu i PR UO.

– Prezydenci i rektorzy poruszyli wiele tematów związanych z rozwojem sojuszu, w tym przyszłych perspektyw finansowych i celów strategicznych po 2030 roku – informuje dr Barbara Curyło. – W programie dyskusji znalazły się również tematy strategiczne z punktu widzenia inicjatyw Komisji Europejskiej, choćby w zakresie „European Degree" oraz wspólnego wzmacniania doskonałości akademickiej.

Punktem kulminacyjnym spotkania było podpisanie Statutu Sojuszu, którego tekst opracowała dr Barbara Curyło. Symbolizuje on wspólne zaangażowanie na rzecz zasad i celów jednoczących wspólne struktury FORTHEM i potwierdza starania uczelni partnerskich na rzecz długoterminowej współpracy.

Równolegle odbywały się też dwa inne spotkania. W pierwszym, dotyczącym strategii zwiększania i wzmacniania współpracy naukowej w sojuszu, uczestniczyli prorektorzy uczelni partnerskich – nasz uniwersytet reprezentował prorektor ds. rozwoju i finansów dr hab. inż. Rafał Matwiejczuk, prof. UO. Drugie wydarzenie zgromadziło 25 ekspertów ds. komunikacji z dziewięciu uniwersytetów. Omawiali strategię komunikacyjną sojuszu, w szczególności pod kątem komunikowania inicjatyw sojuszu studentom uczelni partnerskich. W tej grupie pracowały trzy osoby z naszej uczelni: Agnieszka Kalemba, Patrycja Bochenek i Iryna Shvets.

Podobne spotkania odbywają się co roku. Przyszłoroczne odbędzie się we włoskim Palermo. Uniwersytet Opolski przyjmie rektorów i prezydentów uczelni partnerskich w 2026 roku.

(k)

WIKTORIA PODBORACZYŃSKA

OPOLE W SEWILLI, CZYLI STUDIA W RYTMIE ANDALUZJI

Wiktoria Podboraczyńska w ludowym stroju Andaluzji

Mam na imię Wiktoria, jestem studentką II roku dziennikarstwa i komunikacji społecznej. Postanowiłam – korzystając z możliwości, jakie stwarza mi Uniwersytet Opolski – że semestr spędzę poza granicami Polski, w ramach programu Erasmus+.

Mieszkam teraz w Sewilli, a więc w sercu południowego regionu Hiszpanii – Andaluzji. Decydując się na ten wyjazd, liczyłam się z ewentualnymi wyzwaniami. Byłam przygotowana na barierę językową, różnice kulturowe czy też drobne niezgodności w systemie edukacji – z czasem zdążyłam już do nich przywyknąć, ale na początku były zdecydowanie bardziej odczuwalne. Zaczynając od oczywistej zmiany, czyli języka, w którym się uczę, a kończąc na sporej różnicy, jeśli chodzi o pory spożywania posiłków – niby nic, ale przyznam, że ciężko było mi się przyzwyczaić do jedzenia obiadu o godzinie 10.00 lub 11.00 wieczorem.

Hiszpanie są bardzo otwarci, choć dla osób nieznających hiszpańskiego nawiązanie z nimi bliższej relacji może być niemałym wyzwaniem – płynny angielski jest wśród Hiszpanów, niestety, rzadko spotykany. Na szczęście, mają w zwyczaju życzliwie namawiać do nauki i porozumiewania się w ich języku, nie wyśmiewając przy tym popełnianych przez cudzoziemców błędów.

Życie płynie tu bardzo powoli, a mieszkańcy Andaluzji nie mają w zwyczaju przesadnie stresować się swoją karierą, przyszłością, a tym bardziej spieszyć gdziekolwiek, przez co spóźnienia są tutaj na porządku dziennym. Poznałam wielu wspaniałych ludzi, zarówno Hiszpanów, jak i osoby innych narodowości, zdecydowanie łatwiej mi jednak nawiązać kontakt z innymi studentami Erasmusa. Tworzą oni tak bogatą mieszankę kulturową, że można z niej czerpać pełnymi garściami. Przyznam, że to chyba mój ulubiony aspekt tego wyjazdu. Po dwóch miesiącach dzielenia codzienności z ludźmi pochodzącymi z tak różnych kultur, dochodzę do wniosku, że tak naprawdę tyle, ile nas dzieli, wciąż tyle samo nas łączy.

Różnice widoczne są też na samym uniwersytecie. Po pierwsze – zwracanie się do wykładowców po imieniu jest tutaj na porządku dziennym! Wciąż nie jestem w stanie się do tego przyzwyczaić. Podobnie jak do obecności napojów alkoholowych na terenie uniwersytetu. Oczywiście, w trakcie trwania naszych opolskich Piastonaliów jest to naturalne, ale piwo czy wino sprzedawane w każdej kafeterii o każdej porze dnia jest dla mnie czymś zupełnie nowym. Tutaj z kolei widok studentów sączących wino w przerwie między zajęciami jest całkowicie normalny. Ale nie wszystko, jeśli chodzi o organizację życia na uczelni, jest tutaj kolorowe – w takich sytuacjach zawsze doceniam nasz opolski uniwersytet. Tak jak wspomniałam wcześniej, Hiszpanie z niczym się nie spieszą,

tak więc czas oczekiwania na załatwianie jakichkolwiek spraw organizacyjnych może być dla niektórych sporym zaskoczeniem.

Oprócz różnic w życiu codziennym, o których wyżej wspomniałam, spotkałam się też z różnicami w kulturze i tradycjach. Choćby tradycji obchodzenia Świąt Wielkanocnych. Tutaj ostatni tydzień marca jest wolny od pracy i szkoły. *Semana Santa*, czyli Tydzień Święty, jest tu wielkim wydarzeniem. Na ulicach każdego dnia można spotkać ogromne procesje, tłum ludzi i muzykę charakterystyczną dla świąt w tym regionie. Centrum miasta dosłownie pęka w szwach, a każdy dzień ma swój odrębny, szczegółowo zaplanowany harmonogram (przygotowania trwają cały rok). Zaskoczył mnie fakt, że Poniedziałek Wielkanocny jest dniem roboczym.

Były to moje pierwsze Święta Wielkanocne spędzone bez rodziny. Ale nie spędziłam ich sama – wśród cudzoziemców pojawił się pomysł zorganizowania wspólnego, wielokulturowego śniadania wielkanocnego. Dzielenie się świątecznymi potrawami pochodzącymi z różnych państw i poznawanie innych tradycji to naprawdę bardzo interesujące przeżycie. Nawet będąc daleko od domu, wcale nie czułam się samotna.

Przede mną jeszcze sporo czasu, a wraz z nim również wyzwań. Już po dwóch miesiącach mogę stwierdzić, że ten wyjazd zmienił moje życie. Z czystym sumieniem mogę polecić program Erasmus+ każdemu, kto ma w sobie odrobinę odwagi i chce nabrać doświadczenia w innej, niż dotychczas, dziedzinie.

KAROLINA MŁOTEK, PAULINA PANIC

MIĘDZYNARODOWY TYDZIEŃ NA UNIWERSYTECIE OPOLSKIM

Podczas zajęć z Patrycją Biniek z Biura Dydaktyki i Spraw Studenckich UO (fot. Paulina Panic)

W dniach 22–26 kwietnia br. Uniwersytet Opolski był gospodarzem V Środkowoeuropejskiego Tygodnia Międzynarodowego (5th Central European International Week – CEIW). Idea organizacji tego wydarzenia na Uniwersytecie Opolskim pojawiła się ponad sześć lat temu. W kwietniu 2018 r. zorganizowano na Uniwersytecie Opolskim I Central European International Week, który okazał się niebywałym sukcesem. W wydarzeniu uczestniczyli wówczas przedstawiciele z 20 krajów partnerskich całego świata, co skłoniło organizatorów do organizacji kolejnej edycji w 2019 roku. Zainteresowanie uczestników (realizujących głównie mobilności w ramach programu Erasmus+ na naszej uczelni) również tym razem przerosło oczekiwania organizatorów. W kolejnych dwóch latach pandemia COVID-19 uniemożliwiła realizację tego wydarzenia, jednak w 2022 oraz 2023 r. powrócono do idei CEIW – spotykając się z równie pozytywnym odzewem i frekwencją uczestników z zagranicznych instytucji partnerskich.

Tegoroczna edycja CEIW dotyczyła szeroko rozumianej idei polityki powitalnej (tzw. *welcome policy*) dla gości z zagranicy. Realizując projekty międzynarodowej wymiany studentów i pracowników w ramach programu Erasmus+ oraz innych, krótkich form mobilności, uczelnie wypracowują efektywne i korzystne dla obu stron procedury przyjmowania gości z zagranicy. Zapewniają studentom oraz pracownikom m.in. dostęp do zasobów uczelni, organizują spotkania z przedstawicielami poszczególnych jednostek, pomagają w procedurze uzyskania wizy czy organizacji zakwaterowania. Wszystkie te działania (i dużo więcej) mają na celu zapewnienie gościom z zagranicy bezpiecznego i jak najbardziej

Uczestniczki V CEIW z organizatorkami: Dominiką Gamroth i Karoliną Młotek (z prawej). Fot. Paulina Panic

komfortowego pobytu na uczelni. Dzięki udzielonemu wsparciu uczestnicy mobilności mogą skupić się na pracy merytorycznej i w pełni wykorzystać czas pobytu w instytucji przyjmującej. Część takich procedur zasługuje na szczególne uznanie i stanowić może inspirację dla innych uczelni. Tegoroczny CEIW stanowił platformę wymiany dobrych praktyk oraz dzielenia się doświadczeniem w zakresie *welcome policy*.

Program tego pięciodniowego wydarzenia obfitował w spotkania, wykłady, warsztaty, a także wydarzenia mające na celu lepsze poznanie się i wymianę doświadczeń wśród wszystkich uczestników wydarzenia.

Oficjalna inauguracja V CEIW miała miejsce 22 kwietnia br. w sali Senatu Collegium Maius. Przybyłych gości uroczyście powitały prorektor ds. kształcenia i studentów **dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO**, oraz kierownik obszaru mobilności międzynarodowej Biura Nauki i Obsługi Projektów **Karolina Młotek**. W czasie otwarcia uczestnicy wydarzenia mieli okazję poznać nieco Opole i naszą uczelnię dzięki prezentacji przedstawionej przez **Darię Gogol** z Zespołu ds. Mobilności Międzynarodowej BNiOP. Atrakcją tego pierwszego dnia było zwiedzanie jednego z piękniejszych miejsc regionu – zamku w Mosznej. Uczestnicy mieli wówczas okazję lepiej się poznać i zintegrować, co korzystnie wpłynęło na pracę w grupach, zaplanowaną na kolejne sesje w programie, poczuli się bowiem dużo bardziej swobodnie i skłonni byli do aktywnego uczestnictwa w dyskusjach.

W kolejnym dniu przybliżono partnerom system wsparcia dla obcokrajowców na naszej uczelni – służył temu wykład *Support for foreigners at UO – from candidates to alumni* przygotowany przez **Darię Feder** i **Patrycję Biniek** z International Students Office Biura Dydaktyki i Spraw Studenckich UO. Następnie **Aleksandra Czarnecka** z lokalnego zespołu FORTHEM w Opolu wprowadziła gości w świat sojuszu, zapoznając ich z jego działalnością i strukturą.

Trzeci dzień rozpoczął się spotkaniem *online* z przedstawicielką Uniwersytetu w Walencji (Hiszpania) – partnera Uniwersytetu Opolskiego w sojuszu FORTHEM. Esther Enjuto zaprezentowała ideę *welcome policy* i postęp prac nad tym zagadnieniem w sojuszu. Kolejnymi prelegentkami były: **Anna Bereźnicka** i **Halyna Hudyma** z Centrum Wsparcia Psychologiczno-Terapeutycznego UO, które podczas wykładu pt. *Providing psychological counselling for students and employees of the University of Opole* przedstawiły zakres usług oferowanych przez CWPT dla studentów i pracowników naszego uniwersytetu. Uczestnicy Tygodnia Międzynarodowego mieli też okazję zapoznać się z założeniami *Strategii umiędzynarodowienia Uniwersytetu Opolskiego w latach 2022–2027* w kontekście polityki przyjmowania i obsługi gości z zagranicy. Paulina Panic z Biura Nauki i Obsługi Projektów przedstawiła również kroki, jakie nasza uczelnia podejmuje w celu internacjonalizacji dydaktyki i nauki.

Praktyczne podejście do tematu przyjmowania przedstawicieli uczelni partnerskich zaprezentowały pracownice Zespołu ds. Mobilności Międzynarodowej BNiOP. 25 kwietnia br. najpierw Karolina Młotek przedstawiła proces wdrażania *welcome policy* z perspektywy realizacji założeń Karty Erasmusa dla szkolnictwa wyższego (Erasmus Charter for Higher Education, ECHE) oraz projektów mobilnościowych programu Erasmus+. Następnie **Martyna Sikora** i **Sofiia Struchkova** przeprowadziły naszych gości przez proces przyjmowania studentów z zagranicznych instytucji partnerskich na semestralny pobyt na Uniwersytecie Opolskim. Wytłumaczyły krok po kroku reguły rekrutacji oraz zarysowały zakres obowiązków studentów naszej uczelni działających w programie *Buddy Mentor*. Te dwie prezentacje uświadomiły naszym gościom, jakie wymagania stawia przed uczelnią uczestnictwo w programie Erasmus+ i jak rozbudowany może być proces przyjmowania studentów na wymiany semestralne. Podczas prezentacji podkreślano szczególną rolę, jaką w ramach *welcome policy* dla studentów przyjeżdżających do naszej uczelni odgrywają nie tylko pracownicy Uniwersytetu Opolskiego, ale również jego studenci.

Punktem wieńczącym wydarzenie była sesja networkingowa zorganizowana 26 kwietnia br., którą połączono z rundą prezentacji przygotowanych przez uczestników. Był to ostatni moment na wymianę wizytówek i adresów mailowych. V Środkowoeuropejski Tydzień Międzynarodowy na Uniwersytecie Opolskim zakończył się rozdaniem gościom certyfikatów uczestnictwa.

Przez cały ten tydzień goście z zagranicznych instytucji partnerskich mieli mnóstwo okazji do swobodnej wymiany doświadczeń, myśli i spostrzeżeń. Dzięki wykładom, warsztatom i spotkaniom zaplanowanym w dobrze przemyślanym programie mogli nawiązać nowe kontakty oraz podzielić się wnioskami wyciągniętymi z uczestnictwa w poszczególnych sesjach V CEIW. Uczestnicy chętnie prowadzili konwersacje dotyczące swojej pracy w zagranicznych instytucjach partnerskich, kultury regionów, z których pochodzą, dzielili się osiągnięciami zawodowymi oraz napotkanymi wyzwaniami. Takie nieoczekiwane, spontaniczne rozmowy i interakcje mogą prowadzić do ciekawych pomysłów, współpracy lub nawet przyjaźni między uczestnikami. Umożliwienie tego typu mniej formalnych spotkań sprzyja budowaniu więzi, wymianie wiedzy i doświadczeń oraz nawiązywaniu i pogłębianiu kontaktów zawodowych z pracownikami zagranicznych instytucji partnerskich.

ŁUKASZ ŁUKASIK, STANKOMIR NICIEJA

CAMINO

Dwie dekady kulturowej różnorodności w zjednoczonej Europie

Od lewej: prof. Stankomir Nicieja, Natalia Molenda i prof. Elżbieta Szymańska-Czaplak podczas wystawy nagrodzonych fotografii *Zainspirowani Europą* w gmachu Parlamentu Europejskiego w Brukseli, 15 kwietnia 2024

Grupa uniwersytetów z Europy Środkowo-Wschodniej nawiązała współpracę, której głównym celem jest wspólne uczczenie 20. rocznicy rozszerzenia Unii Europejskiej. Sojusz uniwersytecki, który powstał w wyniku tej współpracy, nosi nazwę CAMINO, a wśród jego sygnatariuszy jest Uniwersytet Opolski.

Pod koniec maja br. Uniwersytet Opolski formalnie przystąpił do nowego uniwersyteckiego sojuszu o nazwie CAMINO. Sojusz zrzesza siedem uczelni z regionu Europy Środkowej i oprócz naszej uczelni współtworzą go Uniwersytet Łotewski w Rydze, Uniwersytet Wileński, Uniwersytet w Tartu z Estonii, Uniwersytet J. E. Purkyně w Ústí nad Labem z Czech, Narodowy Uniwersytet Służby Publicznej z Budapesztu, Uniwersytet Komeńskiego z Bratysławy, a także studio filmowe Very Films z Łotwy i Uniwersytet Króla Danyła z Iwano-Frankiwska w Ukrainie jako członkowie stowarzyszeni.

CAMINO nie jest ani alternatywą, ani konkurencją dla funkcjonującego już od 2019 r. sojuszu FORTHEM. To raczej poszerzenie pola międzynarodowej aktywności Uniwersytetu Opolskiego. Współpraca w ramach programu CAMINO ma w obecnym kształcie inny wymiar niż FORTHEM. Skupia się przede wszystkim na działaniach kulturowych i dydaktycznych, a nie, jak ma to miejsce w przypadku FORTHEM, głównie naukowych. Niemniej

Opolscy studenci wykonujący *flash mob* przed budynkiem Collegium Maius, 9 maja 2024

jednak, po zrealizowaniu projektu, sojusz CAMINO będzie podejmował nowe zadania związane z integracją europejską oraz badaniami nad różnorodnością kulturową Europy.

Projekt, którego pełna nazwa brzmi *CAMINO: Dwadzieścia lat kulturowej różnorodności w zjednoczonej Europie*, jest w całości finansowany przez Komisję Europejską, formalnie ruszył 15 stycznia 2024 r. i potrwa dokładnie rok. Obejmuje on serię wydarzeń kulturalnych i edukacyjnych, takich jak konkurs fotograficzny, *flash mob*[1], stworzenie ogólnodostępnego kursu komunikacji międzykulturowej oraz produkcję filmu dokumentalnego. Zasadniczym celem projektu jest uczczenie 20-lecia rozszerzenia Unii Europejskiej oraz przedstawienie wpływu obecności w Unii na kultury nowych państw członkowskich. Jak scharakteryzowała to przedsięwzięcie jedna z liderek projektu, prof. Ina Druviete, prorektor Uniwersytetu Łotewskiego w Rydze: „Naszym celem jest spojrzenie wstecz na ostatnie 20 lat członkostwa w UE z perspektywy naszej młodzieży, podkreślenie wyjątkowości kulturowej każdego kraju oraz uczczenie naszej wspólnej historii i przyszłego dziedzictwa w kontekście europejskiej jedności".

W ramach projektu zrealizowano już dwa zaplanowane zadania. Pierwszym z nich był międzynarodowy studencki konkurs fotograficzny *Zainspirowani Europą* (*Inspired by Europe*), który odbył się w połowie marca. Każdy z uczestników mógł przesłać zdjęcia przedstawiające własny, unikatowy styl życia, wartości, nadzieje i marzenia w ramach jedności europejskiej. Momentem kulminacyjnym konkursu była wystawa zwycięskich prac w budynku Parlamentu Europejskiego w Brukseli 15–19 kwietnia 2024 roku. Wśród finalistów konkursu są dwie

1 *Flash mob* (z ang. dosłownie: błyskawiczny tłum) to spontaniczne wydarzenie w miejscu publicznym, w którym uczestniczą przypadkowe osoby znające jedynie termin i plan działania. Celem jest zaskoczenie świadków czymś niezwykłym, jak taniec, *performance* czy inna forma ekspresji.

studentki Uniwersytetu Opolskiego: **Natalia Molenda** z Wydziału Filologicznego oraz **Sofiia Serdiuchenko** z Wydziału Nauk o Polityce i Komunikacji Społecznej. Wszystkie prace nagrodzone w konkursie można obecnie oglądać na wystawie na drugim piętrze budynku Collegium Maius.

Drugim wydarzeniem projektu CAMINO był *flash mob – Oda do radości*. Jednego dnia, 9 maja, w dniu święta Europy i o jednej godzinie (12.30) na wszystkich siedmiu kampusach rozpoczęły się celebracje. Opolska impreza zorganizowana została na pl. Kopernika przed budynkiem Collegium Maius. Wydarzenie wspólnie otworzyli rektor Uniwersytetu Opolskiego **prof. dr hab. Marek Masnyk**, prezydent Opola **Arkadiusz Wiśniewski** oraz **Peter Herr**, konsul Republiki Federalnej Niemiec w Opolu. Studenci grupowo zatańczyli do *Ody do radości*, sam hymn Unii został również brawurowo odśpiewany przez chór dziecięcy OPUSowcy z Państwowej Szkoły Muzycznej w Opolu pod dyrekcją **Ludmiły Wocial**. Tego dnia odbyła się również gra terenowa *Europa dla każdego* zorganizowana przez Oddział Dziecięco-Młodzieżowy Miejskiej Biblioteki Publicznej.

W dalszych planach sojuszu jest produkcja filmu dokumentalnego na temat konsekwencji kulturowych integracji europejskiej we wszystkich państwach członkowskich CAMINO. Jego głównym założeniem jest ukazanie znaczenia zachowania tożsamości narodowej i kulturowej dla lepszej integracji europejskiej oraz pokazanie, jakie możliwości stwarza członkostwo w Unii Europejskiej.

Najważniejsze zadanie, za które odpowiedzialny jest w ramach projektu Uniwersytet Opolski, to opracowanie i przeprowadzenie ogólnodostępnego kursu edukacji ustawicznej na temat różnych aspektów i problemów komunikacji międzykulturowej. Według planów kurs ma być dostępny *online* dla wszystkich chętnych już pod koniec bieżącego roku.

Na Uniwersytecie Opolskim trzon zespołu odpowiedzialnego za realizację projektu stanowią: **dr hab. Stankomir Nicieja, prof. UO** (kierownik), **dr Elżbieta Szymańska-Czaplak, prof. UO**, (zastępczyni kierownika) oraz studenci Wydziału Filologicznego: **Zuzanna Notka**, **Emilia Gonsior**, **Hubert Pieczyński** oraz student Wydziału Nauk o Polityce i Komunikacji Społecznej **Łukasz Łukasik**.

Projekt CAMINO to finansowane przez Unię Europejską przedsięwzięcie skierowane do młodych osób, głównie studentek i studentów, choć jego odbiorcami są wszyscy obywatele państw świętujących 20 lat członkostwa w UE. Wszystkie wydarzenia związane z projektem odbywać się będą z udziałem studentów, kadry akademickiej, interesariuszy kulturalnych i politycznych, a także opinii publicznej we wszystkich krajach partnerskich.

LILIANNA CHOMICZ

STUDENCKIE KOŁO NAUKOWE ONOMA

O tym, jak działa jedno z najstarszych kół na Uniwersytecie Opolskim

Na konferencji językoznawczej w Karpaczu. Od lewej: Marta Wacławczyk, Kacper Kozdraś, Oliwia Doszczak, Lilianna Chomicz, Alicja Bulak, Katarzyna Preuhs

Jako zreformowane Koło Naukowe Onomastów, znane dziś pod nazwą Studenckie Koło Naukowe Onoma, w nowym składzie i ze świeżą energią wyznaczyliśmy sobie wiele celów: językoznawczych, naukowych i popularyzatorskich. O tym, jak działamy od kilku lat wielostronnie i interdyscyplinarnie, z sentymentem patrząc na onomastykę.

Kim jesteśmy?

Osoby członkowskie naszej organizacji łączy interdyscyplinarne zamiłowanie do języka. Są wśród nas studenci lingwistyki stosowanej, logopedii z językiem polskim jako obcym oraz filologii i psychologii. Opiekunką Koła jest magistra Katarzyna Preuhs, przewodniczącą – Marta Wacławczyk, a do naszego grona należą także: Alicja Bulak, Lilianna Chomicz, Oliwia Doszczak, Agnieszka Janiszewska, Weronika Kłysz, Kacper Kozdraś i Anna Mularczyk. Do zainteresowań badawczych i pozanaukowych poszczególnych członkiń i członków należą m.in. język i kultura osób LGBT+, etniczność i tożsamość grup mniejszościowych, etnolingwistyka, literatura czarnoromantyczna, języki obce oraz historia kobiet w języku i sztuce.

Podczas rejestracji uczestników XXIII Międzynarodowej i Ogólnopolskiej Konferencji Onomastycznej, która obradowała na Uniwersytecie Opolskim w październiku ubiegłego roku

MiOKO XXIII – Onoma wraca do korzeni onomastycznych

Bieżący rok akademicki przywitaliśmy cykliczną XXIII Międzynarodową i Ogólnopolską Konferencją Onomastyczną, odbywającą się w połowie października – w tym roku na Uniwersytecie Opolskim – i wspieraną przez Polską Akademię Nauk, Polskie Towarzystwo Onomastyczne oraz Opolskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Jako Studenckie Koło Naukowe Onoma wolontariacko wzięliśmy udział w przygotowaniu konferencji, koordynując panele i dbając o referujących gości z Polski oraz innych krajów (nie tylko słowiańskich). Mieliśmy również okazję zaprezentować działalność Koła w referacie poświęconym naszym dotychczasowym dokonaniom i projektom, a także zainteresowaniom badawczym i planom na dalszy rozwój.

Jubileuszowy Konkurs Wiedzy o Języku Polskim

W tym roku miała miejsce XXV edycja Konkursu Wiedzy o Języku Polskim. Osoby członkowskie Studenckiego Koła Naukowego Onoma, po przejęciu roli organizatorów po istniejącym niegdyś kole językoznawczym, od wielu lat nieprzerwanie dbają o każdy z trzech jego etapów, tj. szkolny, wojewódzki i oratorski. Odpowiedzialność spoczywa na nas nie tylko w kwestiach organizacyjno-logistycznych, takich jak współpraca z mediami akademickimi i opolskimi oraz Wydziałem Filologicznym i Kuratorium Oświaty w Opolu. Przygotowania obejmują przede wszystkim część merytoryczną konkursu – dyktando oraz testy wiedzy z zakresu językoznawstwa z elementami polonistyki na podstawie wybranych utworów literackich dla szkół podstawowych (od klasy IV) oraz ponadpodstawowych, a także tematy wystąpień oratorskich. Aby podkreślić ponadczasowość i uniwersalność wyselekcjonowanej przez nas poezji, prozy i dramatu, stanowiących oś tworzonych następnie zadań testowych, staramy się wybierać utwory zaskakujące, niszowe i bliskie młodemu odbiorcy. W tym roku postawiliśmy na klasykę twórczości kobiet – Elizy Orzeszkowej, Narcyzy Żmichowskiej, Wisławy Szymborskiej, a także na nietuzinkową opowieść *fantasy* pisarki Anny Hrycyszyn, która przyjęła nasze zaproszenie i wygłosiła wykład inauguracyjny o nieszablonowym spojrzeniu na śmiałe dziecięce bohaterki literackie. Staramy się łączyć tradycję i współczesność. W ubiegłych latach wykorzystaliśmy m.in. dzieło *sci-fi* Mary Shelley – *Frankensteina* i *Wilkołaka* T. A. Olizarowskiego oraz zestawiliśmy kontrastujące ze sobą utwory z motywem podróży – *Statek Parowy* (fragment

Pieśni III w utworze *Podróż do Ziemi Świętej z Neapolu*) Juliusza Słowackiego oraz tekst utworu hip-hopowego *Wyjeżdżam, by wrócić* polskiego rapera Małpy.

Feminatywy, maskulatywy i neutratywy, czyli nasze badania naukowe

Niezwykle ciekawym zagadnieniem z perspektywy socjolingwistycznej stało się dla nas zrozumienie tendencji słowotwórczych oraz związanej z nimi opinii Polek i Polaków dotyczącej żeńskich i męskich nazw zawodów oraz pełnionych funkcji. Z tego powodu rozpoczęliśmy badania naukowe, które zaowocowały w ubiegłym roku 30-minutowym referatem na naszej pierwszej naukowej ogólnopolskiej konferencji studencko-doktoranckiej w Karpaczu – *Problemy i zadania współczesnego językoznawstwa* organizowanej przez Uniwersytet Wrocławski. Zaprezentowaliśmy wówczas przekrój historyczny (nie) obecności feminatywów w języku polskim oraz przegląd literatury obrazujący proces derywacji najbardziej produktywnych formantów, a także opisaliśmy badanie pilotażowe, wykorzystując trzyczęściowy kwestionariusz. Zawierał on m.in. zadania dotyczące nazwania zawodów na podstawie obrazów wygenerowanych przez sztuczną inteligencję, autorski kwestionariusz diagnozujący opinię badanych w zakresie potrzeby tworzenia form żeńskich i męskich, a także społecznego postrzegania ich w języku polskim, oraz tzw. *but-test* oparty na zdaniach przeciwstawnych, wykorzystywany m.in. przez Jerzego Bartmińskiego do badań nad stereotypami. Wyciągnięte wnioski opatrzone cennymi komentarzami innych uczestników konferencji, jak i wartościowe wskazówki naszych wykładowczyń posłużyły nam do zmodernizowania naszego badania, w tym szczególnie narzędzia badawczego. Rozpoczęliśmy także współpracę z Uniwersytetem Warszawskim nad nowym, wspólnym projektem komparatystycznym, dotyczącym nacechowania płcią pełnionych funkcji i wykonywanych zawodów w języku polskim – nastawionym na binarność językową, i w języku fińskim – dążącym do całkowitej neutralności płciowej. Wyniki nowych badań zaprezentowaliśmy w dwóch referatach na tegorocznej ogólnopolskiej konferencji językoznawczej *Horyzonty języka XIII, czyli jak daleko sięga językoznawstwo* organizowanej przez Uniwersytet Szczeciński w Pobierowie.

Z sali wykładowej przed srebrny ekran – *Let's talk movies!*

Do naszych działań należą nie tylko prace naukowe, lecz również lokalna promocja uniwersytetu, dzięki projektowi *Różnorodne Opolskie. Let's talk movies!* realizowanemu we współpracy z kinem Meduza w ramach programu *Opolskie dla młodzieży*. Dzięki tej inicjatywie w ciągu kilku miesięcy zorganizowaliśmy dla mieszkańców województwa opolskiego cykl bezpłatnych warsztatów ze specjalistami oraz pokazów filmowych, przybliżających różne problemy kulturowo-polityczne, takie jak kryzys uchodźczy czy dyskryminacja mniejszości seksualnych, a także wydarzenia przedstawiające metody posługiwania się komunikacją bez przemocy i bez dyskryminacji różnych, często wykluczonych grup społecznych.

„Semestralnik Językoznawczy" nowym medium studenckim

Najnowsza inicjatywa Koła to wydanie czasopisma popularnonaukowego, które ukazywać się będzie co semestr pod opieką merytoryczną redaktora naczelnego, Kacpra Kozdrasia. Pierwsze wydanie – dostępne w formie internetowej oraz papierowej podejmuje temat różnych wymiarów językowego oblicza tożsamości oraz tego, w jaki sposób język kształtuje i odzwierciedla autoidentyfikację jednostek oraz wybranych grup społecznych. Najnowszy numer „Semestralnika" poświęca więc uwagę historii i początkom działalności naszego Koła, przedstawionym w rozmowie z jego pierwszą opiekunką – profesorką Danutą Lech-Kirstein. Zgłębia również kwestię mniejszości arumuńskiej i ojczystej mowy ludności irlandzkiej, wprowadza do debaty na temat niebinarności płciowej oraz językowego krajobrazu przestrzeni uniwersyteckiej, przybliża wizję rzeczywistości lingwistycznej istot pozaziemskich, a także zostaje zwieńczony dwoma kącikami – onomastycznym i poetyckim. Najnowszy numer czasopisma (a także przyszłe wydania internetowe) dostępny jest na stronie Wydziału Filologicznego w zakładce Student w kategorii Koła Naukowe Wydziału Filologicznego lub bezpośrednio pod adresem: https://wfil.uni.opole.pl/semestralnik-jezykoznawczy/.

W przestrzeni internetowej

Naszą działalność naukową oraz akademicką na bieżąco rejestrujemy postami i relacjami w mediach społecznościowych – na Facebooku (Studenckie Koło Naukowe ONOMA) i Instagramie (uo.onoma). Zapraszamy do obserwowania naszych inicjatyw, a także do dołączenia do naszego grona lub współpracowania z nami – jesteśmy otwarci na nowe pomysły i wyzwania!

MARIA PACŁAWSKA, ANGELIKA KULAK

POMAGANIE MA MOC

Web-korki to więcej niż korepetycje

Już od najmłodszych lat słyszymy o pomaganiu i zaczynamy angażować się w niesienie pomocy innym ludziom. Wpływa to pozytywnie na nasze zdrowie, poprawia samopoczucie, a także daje nam radość. To właśnie wtedy, kiedy udzielamy pomocy, odczuwamy dumę, rośnie nasza samoocena oraz mamy poczucie solidarności z innymi. Jaki jest tak naprawdę fenomen pomagania oraz jak można zaangażować się w pomoc innym? Tego dowiemy się w tym artykule, przybliżając działalność Fundacji Web-korki, w której jesteśmy wolontariuszkami.

Działalność Web-korków rozpoczęła się w 2020 r. jako projekt społeczny, w ramach programu *Zwolnieni z teorii*, założony przez Olgę Kotyk, której pasją jest działalność społeczna. Rok później, w 2021, projekt przeistoczył się w oficjalną fundację, w której obecnie działa ok. 200 wolontariuszy. Misją Web-korków jest niesienie pomocy edukacyjnej i wyrównywanie szans dzieci z domów dziecka, placówek opiekuńczo-wychowawczych, a także z pieczy zastępczej – poprzez udzielanie im korepetycji *online*. Fundacja współpracuje z 47 placówkami. Celem udzielania tych wyjątkowych korepetycji nie jest tylko poprawa ocen i doskonalenie z danego przedmiotu, równie ważne jest wsłuchanie się w potrzeby dziecka i okazanie mu uwagi. Dzieci, a szczególnie te doświadczone przez los, potrzebują akceptacji, zaufania oraz poczucia spokoju i bezpieczeństwa. Pomysłodawczyni Web-korków Olga Kotyk podkreśla, że największym prezentem, jaki możemy dać naszym podopiecznym, jest poświęcony im czas.

Jako wolontariusze mamy możliwość pomóc im uwierzyć w siebie, zwiększyć samoocenę, przyczynić się do odkrycia ich potencjału, talentów i predyspozycji. I tak się dzieje, co obserwujemy podczas zajęć – uczniowie otwierają się przed nami, rozmawiają i dzielą się swoimi codziennymi przeżyciami. Ich uśmiechy, wdzięczność oraz entuzjazm napędzają nas do działania. W Web-korkach nacisk postawiony jest na relacje: korepetytor podchodzi indywidualnie do swojego ucznia. Zajęcia odbiegają od typowego podręcznikowego nauczania, ponieważ są nastawione na potrzeby ucznia, a nauka w formie zabawy, quizów, przy wykorzystaniu materiałów interaktywnych, prowadzona jest w taki sposób, aby zaciekawić i zainteresować uczniów, jednocześnie pogłębiając ich wiedzę. Każdy wolontariusz ma swojego podopiecznego, a zajęcia odbywają się raz w tygodniu o stałej porze. Jeżeli wolontariusz nie jest w stanie z przyczyn losowych przeprowadzić swoich lekcji, zastępuje go inny korepetytor. Regularność jest tu niezmiernie ważna – nasi podopieczni muszą mieć poczucie bezpieczeństwa i poczucie, że są ważni, doceniani.

Wolontariuszami są uczniowie, studenci, a także osoby pracujące z różnych zakątków świata, którzy łączą się z podopiecznymi *online*, nie szczędząc im swojego czasu i energii. Czynnikiem, który wyróżnia Web-korki na tle innych fundacji, jest system wsparcia dla wolontariuszy poprzez prężnie działające programy rozwojowe. Zapewnia im się m.in. udział w grupowych warsztatach z psychologiem oraz uczestnictwo w zajęciach ogólnorozwojowych. Warto wspomnieć, że zespół Web-korków to nie tylko korepetytorzy, ale także ich opiekunowie, koordynatorzy zastępstw, zespół ds. mediów społecznościowych, marketingu, administracji oraz rekrutacji. Wszyscy współpracują ze sobą, tworząc zgraną drużynę.

Działalność w Web-korkach to nie tylko metoda dzielenia się wiedzą, ale i sposób budowania więzi między ludźmi i wspierania ich rozwoju osobistego. Wolontariat pozwala nam odczuwać radość i spełnienie wynikające z dzielenia się swoim czasem i energią z innymi. Możemy doświadczyć, że dawanie pomocy jest bardziej satysfakcjonujące niż jej otrzymywanie, co więcej – że niesienie pomocy innym może stać się celem, dodać naszemu życiu poczucia sensu.

W codziennym pośpiechu czasami zapominamy, jak wielkim szczęściem jesteśmy obdarzeni, będąc zdrowymi ludźmi, mając wokół swoich bliskich. Praca w fundacjach, zaangażowanie w pomoc drugiemu człowiekowi pozwala spojrzeć na świat ze znacznie szerszej perspektywy, docenić wszystko, co mamy. Zaczynamy też dostrzegać drobne gesty, czyjś uśmiech, dobre słowo, zwykłe pozdrowienie, ciepło, którym obdarowują nas inni. Wolontariat jest niezwykle istotną formą pomocy, budującą więzi społeczne i wzmacniającą społeczeństwo, a także sposobem na tworzenie lepszego i bardziej sprawiedliwego świata dla wszystkich.

JERZY DUDA

CO ZOBACZYŁY OCZY MONY?

Książka dla wszystkich wnuków

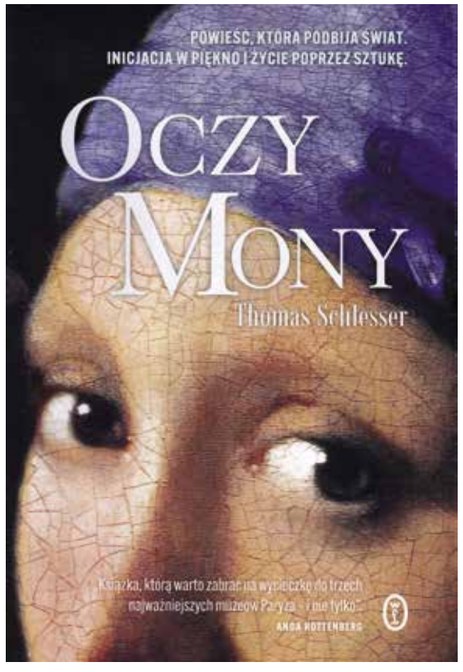

Thomas Schlesser, *Oczy Mony*, Kraków 2024, Wydawnictwo Literackie

Thomas Schlesser, znany historyk francuski, swoją najnowszą książkę *Oczy Mony* zadedykował *Wszystkim babciom i dziadkom na świecie*. Bohaterem opowieści jest bowiem dziadek o nazwisku Henry Vuillemir opiekujący się dziesięcioletnią wnuczką Moną, która pewnego dnia traci wzrok, wprawdzie tylko na godzinę, lekarze jednak nie potrafią określić przyczyny tego wydarzenia, nie potrafią też powiedzieć, czy to może się powtórzyć. Zatroskani rodzice szukają pomocy, ale tylko jeden z lekarzy stawia tajemniczą diagnozę: *pięćdziesiąt na pięćdziesiąt*, wskazując, że na obecną chwilę najlepszym rozwiązaniem będzie skierowanie dziewczynki na terapię psychiatryczno-psychologiczną. Do akcji wkracza dziadek Henry, poproszony, by wraz z wnuczką uczestniczył w seansach terapeutycznych (rodzice dziewczynki uznali, że tak będzie najlepiej). Ta propozycja spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem Mony, uwielbiającej swojego dziadka, szczególnie za to, że zawsze traktował ją poważnie, z atencją przysługującą dorosłym osobom.

W tajemnicy przed rodzicami ustalają, że nie będą chodzić po psychologach, tylko jeden dzień w tygodniu poświęcą na odwiedziny muzeów. Swoją wędrówkę rozpoczynają od Luwru, potem przyjdzie kolej na Muzeum d'Orsay i wreszcie na Centrum Pompidou – Muzeum Beaubourg. Te wizyty mają pozostać ich wspólną tajemnicą.

W taki oto sposób Henry i Mona wyruszają na roczną wędrówkę, towarzyszyć im będą w wielkich i sławnych paryskich muzeach wielcy twórcy – malarze i rzeźbiarze, działający na przestrzeni pięciu wieków. Pierwszy, zgodnie z umową, jest Luwr. Po przekroczeniu progów muzeum dziadek wyjaśnia zasady: „Mono, co tydzień w muzeum oglądać będziemy jedno dzieło, tylko jedno, nic więcej. Ci ludzie wokół chcieliby wchłonąć wszystko na raz i błądzą, nie wiedząc, jak zaspokoić swoje pragnienie. My będziemy znacznie mądrzejsi, znacznie bardziej rozsądni. Będziemy oglądać jedno dzieło, najpierw przez długie minuty bez słowa, a później o nim porozmawiamy".

Pierwszym wspólnie oglądanym obrazem jest Sandra Botticellego *Wenus i trzy Gracje składające dary młodej dziewczynie* (powstawało w latach 1475–1500). Po kilkunastu milczących minutach Henry, starannie dobierając słowa, opowiada o wszystkim, co ma istotne znaczenie: technice malarskiej, życiu malarza, kontekście historycznym. Mona jest oszołomiona wiedzą dziadka, ale on, odgadując jej myśli, mówi: „gdy wydaje ci się, że twoje odczucia nie pokrywają się z tym, czego inni od ciebie oczekują, możesz czuć, co tylko zechcesz…".

Kiedy wracają do domu, niespokojna Mona, która już dawno przyrzekła rodzicom, że nigdy, przenigdy nie skłamie, pyta dziadka, co ma powiedzieć, kiedy zapytają ją o nazwisko lekarza, u którego rzekomo byli, ten po

krótkim zastanowieniu odpowiada: „byliśmy u doktora Sandra Boticellego".

Kolejne lekcje muzealne sprawiają, że Mona staje się bystrą i wygłaszającą oryginalne sądy analityczką, obdarzoną przy tym – ku zdumieniu dziadka – niezwykłą zdolnością dostrzegania szczegółów, które i jego uwadze czasem uchodziły. Ostatnim, 19. z kolei, dziełem, które oglądali w Luwrze, był obraz Williama Turnera *Krajobraz z rzeką i zatoką w oddali* (z 1845).

Wizytę w Muzeum d'Orsay, w którym eksponowane są dzieła z okresu 1848–1914 rozpoczęli od obrazu Gustave'a Courbeta *Pogrzeb w Ornans* z 1850 roku. Henry zwrócił uwagę Monie, że jedną z osób uczestniczących w tym pogrzebie jest dziadek malarza, wcześniej związany z rewolucją francuską, który przekazał swojemu wnukowi pewną zasadę: „Krzycz głośno i idź przed siebie". Tracąca wzrok Mona uznała ten okrzyk za bardzo ważny w jej trudnym położeniu.

Kolejnym celem tajemnych wycieczek z dziadkiem było Muzeum Beaubourg prezentujące sztukę nowoczesną. Monę ogromnie poruszył obraz René Magritte'a *Czerwony model* z 1935 r. przedstawiający ucięte stopy, które przypominały buty. Widząc wzburzenie dziecka, Henry uznał, że to dobry moment, aby wytłumaczyć wnuczce, że sztuka nie ma za zadanie dostarczać nam wyłącznie pięknych i wzniosłych rzeczy. Że malarstwo, rzeźba, fotografia, literatura, muzyka i teatr powinny poruszać najgłębsze warstwy naszego jestestwa, wyostrzać nasze lęki.

Ostatnim (52.) dziełem, który wspólnie oglądali w Beaubourgu był *Obraz 200x220 cm* (z 2002) Pierre`a Soulages'a, obraz abstrakcyjny, utrzymany w zgaszonych barwach, o kształcie niemal kwadratu. Przedstawia pięć czarnych płyt, rozmieszczonych w regularnym, poziomym układzie na dużej, cienkiej płycie pilśniowej. Po długiej obserwacji Mona uznała, że obraz ten należy oglądać tak, jak ogląda się dawne, przepełnione figurami dzieła. Bo mimo że pozornie w tych czarnych pasach trudno cokolwiek wypatrzyć, to kryje się tam mnóstwo detali: faktury materii, płyty pilśniowej… I światło unoszące się na jego powierzchni. Trzeba dostrzec to, co nam podpowiada wyobraźnia, to jest nasze, a więc najważniejsze.

Ten roczny kurs sztuki, tę podróż przez wieki – od namalowanego przed 500 laty obrazu Botticellego po współczesne dzieło Pierre`a Soulages'a – Mona podsumowała tak: „Mam nadzieję, że jeśli utracę wzrok, ten raj kolorowy pozostanie w mojej pamięci".

Ostatnia wizyta u okulisty przyniosła ostateczne wyjaśnienie tajemniczej choroby dziewczynki. Otóż od najmłodszych lat była związana ze swoją babcią Colette, ukochaną żoną Henry'ego, którą obdarzała taką samą bezgraniczną miłością jak dziadka. Kiedy babcia, wobec gwałtownie narastającego zaniku pamięci, podjęła decyzję o eutanazji, Mona doznała szoku. Tuż przed wyjazdem babci do kliniki otrzymała od niej zawieszkę z muszelką – podobną muszelkę miał też dziadek. Znalezione kiedyś na francuskiej plaży były znakiem ich wielkiej miłości. Mona zawiesiła ją sobie na szyi. Pewnego razu, odrabiając lekcje, machinalnie ją zdjęła. I w tym momencie, w jednej chwili, przestała widzieć. Wzrok powracał, kiedy muszelka wracała na jej szyję. W przygotowanym raporcie lekarz, który przez rok prowadził obserwację dziecka, uznał, że to właśnie zdejmowanie zawieszki było powodem chwilowej utraty widzenia. Okazało się także, że Mona ma wyjątkowy, wręcz snajperski wzrok.

Tuż po tej diagnozie, w czasie wakacji, Henry i Mona zakopali muszelki na tej samej plaży, z której przed laty zostały zabrane. Wtedy zaniki widzenia u Mony ustąpiły.

Wędrówki z dziadkiem po muzeach, zastępujące terapię psychologiczną, pozwoliły dziewczynce zarchiwizować w pamięci prawdziwe skarby, po które może sięgnąć na wypadek, gdyby ciemność miała ją kiedykolwiek ogarnąć.

Ta książka to krótki, atrakcyjny kurs historii sztuki – malarstwa i rzeźby, podany w niezwykle ciekawej, wzruszającej, baśniowej opowieści. To opowieść o wielkiej, mądrej miłości dziadka – erudyty do wkraczającej w życie wnuczki. Książka, która stała się światowym bestsellerem, została znakomicie przetłumaczona przez Magdalenę Kamińską-Maurugeon. Planowana jest jej ekranizacja. Ozdobą dzieła jest oryginalna dwustronna obwoluta z prezentacją wszystkich oglądanych przez Henry'ego i Monę dzieł sztuki.

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU OPOLSKIEGO

NOWOŚCI WYDAWNICZE

Beata Koper,
Imienniczki migreny. Szkice o literaturze,
Studia i Monografie nr 634, ISBN 978-83-8332-033-5, Wyd. UO, 2024, format B5, 134 s., oprawa miękka, **cena 16,00 zł**

„W literaturze pojawiają się bohaterki i bohaterowie, którzy nie odgrywają wyznaczonych im ról społecznych, buntują się przeciwko zastanym zasadom, nie chcą podporządkować się normom wyznaczonym przez społeczeństwo, przyjętym jako prawo naturalne. To melancholiczki i melancholicy, marzycielki i marzyciele, szalone i szaleńcy, samobójczynie i samobójcy. Nieobecnym spojrzeniem patrzą za linię horyzontu, myślami przebywają gdzie indziej, szukają języka, by wyrazić to, co niewyrażalne, lub zupełnie rezygnują z istnienia, którego nie mogą dłużej znieść. Wśród nich znajdziemy też migreniczki. Kultura utrwaliła ich obraz w postaci kobiet leżących na szezlongach, ukrytych w buduarach, odpoczywających w alkowach. Ich dłonie w charakterystycznym geście dotykają czoła. Nierzadko doskwiera im również *globus histericus* – najsłynniejsza dolegliwość dam. […]

W pierwszej części książki przedstawiam ogólny zarys historii migreny z dwóch perspektyw – medycznej i literaturoznawczej. W trzech kolejnych częściach pozwalam sobie na lekturowe zbliżenia biograficzne i literaturoznawcze. Bohaterkami tych opowieści są Emilia Korczyńska, postać z powieści *Nad Niemnem* Elizy Orzeszkowej, Virginia Woolf, angielska prozaiczka, i Słodka Darusia z powieści Marii Matios. Imienniczki migreny. I choć jedna z nich żyła naprawdę, a dwie pozostałe w naszej wyobraźni, to wszystkie nieodmiennie kojarzą się z bólem głowy". […]

(ze *Wstępu*)

„Język a Edukacja", t. 9:
Wizualizacja materiału gramatycznego na przykładzie języka hiszpańskiego jako obcego,
Anna Andrzejewska, ISBN 978-83-8332-034-2, ISSN 2299-5528, Wyd. UO, 2024, format B5, 196 s., oprawa miękka, **cena 23,00 zł**

Publikacja łączy trzy perspektywy – glottodydaktykę, językoznawstwo kognitywne oraz neurodydaktykę. Autorka, przeanalizowawszy 1050 ilustracji z podręczników do nauczania języka hiszpańskiego jako obcego, na podstawie wymiarów obrazowania Ronalda Langackera tworzy system opisu rysunków wspomagających tłumaczenie gramatyki. Czytelnik odnajdzie w opracowaniu również opis zastosowania kategorii wizualizacji, w tym przedstawienie wyników pilotażowego badania wdrożeniowego, przeprowadzonego wśród uczniów.

Praca może być przydatna nie tylko dla nauczycieli języka hiszpańskiego, ale również innych glottodydaktyków. Jak wskazuje recenzent tomu prof. Bartłomiej Maliszewski: „Autorka wykazuje dużą dbałość o to, aby także ci odbiorcy, którzy nie znają języka hiszpańskiego, mogli zrozumieć funkcję oraz treść omawianych rysunków i (tym bardziej) docenić wartość wizualizacji wybranych zagadnień gramatycznych jako środka glottodydaktycznego".

Ponadto ukazały się:

„Literaport Revue annuelle de la littérature francophone" No 10: *Le charme pervers de la décadence dans la littérature française et francophone*, Tomasz Różycki, ISSN 2392-0637, Opole: Wyd. UO, 2023, format B5, 124 s., oprawa miękka, cena 12,00 zł

„Stylistyka" t. XXXII, Marzena Makuchowska (red. nauk.), ISSN 1230-2287, e-ISSN 2545-1669, Wyd. UO, 2023, format B5, 536 s., oprawa miękka, cena 54,00 zł

Przygotowała: **Lidia Działowska**
Zapraszamy na stronę Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego:
www.wydawnictwo.uni.opole.pl
Znajdź nas na Facebooku:
www.facebook.com/WydawnictwoUO/

REDAKCJA WYDAWNICTW WYDZIAŁU TEOLOGICZNEGO UO

NOWOŚCI WYDAWNICZE

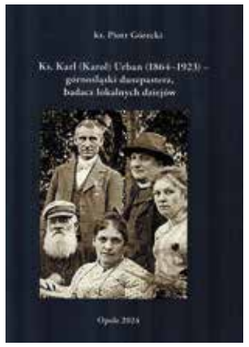

Ks. Piotr Górecki,
Ks. Karl (Karol) Urban (1864–1923) – górnośląski duszpasterz, badacz lokalnych dziejów (seria: Z Dziejów Kultury Chrześcijańskiej na Śląsku, nr 127), Opole, 2024, 311 s., **cena 22,58 zł**

Monografia podzielona została na trzy, równe objętościowo części: *Życie i posługa duszpasterska*; *Charakterystyka badań naukowych i twórczości pisarskiej*; *Spuścizna pisarska ks. Urbana*. Tłumaczenia wybranych dzieł.

Przygotował: **Piotr Juszczyszyn**

NOTY O AUTORACH

Tomasz Chabior – dziennikarz, fotoreporter (do niedawna związany z portalem Opowiecie.info), pracownik Biura Marketingu i Public Relations UO.

Lilianna Chomicz – członkini Studenckiego Koła Naukowego Onoma.

Dr hab. Sławomir Czapnik, prof. UO – doktor habilitowany nauk o polityce i administracji, profesor Uniwersytetu Opolskiego. Były dziennikarz. Autor ponad stu publikacji naukowych. Jego teksty ukazały się w języku polskim, angielskim i tureckim. Specjalizuje się w myśli Karola Marksa i marksizmie, płynnej nowoczesności i teorii komunikowania. Prywatnie punkowiec i wegetarianin.

Jerzy Duda – emerytowany nauczyciel, b. kurator oświaty i wychowania w Opolu, autor wielu publikacji dotyczący historii oświaty w województwie opolskim.

Adam Dybek – absolwent Uniwersytetu Opolskiego, publicysta, *free lancer*.

Dr hab. Grzegorz Gajos, prof. UO – absolwent Wydziału Grafiki Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu, kierownik Katedry Intermediów Instytutu Sztuk Wizualnych, zastępca dziekana Wydziału Sztuki UO. Zajmuje się fotografią, wideo, audio, muzyką, projektowaniem graficznym i grafiką.

Dr Grzegorz Hebda – adiunkt i koordynator kierunków studiów w Instytucie Biologii. W pracy naukowej zajmuje się ekologią zwierząt, szczególnie ptaków i owadów w ekosystemach leśnych. Zaangażowany w społeczny ruch ochrony przyrody i badania krajowej bioróżnorodności.

Roman Hlawacz – opolski fotografik, członek rzeczywisty Okręgu Dolnośląskiego Związku Polskich Artystów Fotografików (kierownik opolskiego oddziału), prezes Foto Klubu Opole.

Józef Tomasz Juros – badacz dziejów przemysłu, prezes Stowarzyszenia Dolina Małej Panwi, założyciel Muzeum Hutnictwa w Ozimku, propagator wiedzy na temat historii Śląska, industrializacji XVIII–XIX w., związków przemysłu Śląska i Królestwa Polskiego tamtego okresu, propagator języka śląskiego, autor kilkunastu książek o historii i dziejach przemysłu oraz wielu artykułów w czasopismach polskich i zagranicznych; członek Komitetu Międzynarodowych Spotkań Miłośników Żeliwa Europejskiego oraz Polskiego Komitetu Ochrony Dziedzictwa Przemysłowego.

Agnieszka Kania – opolska lekarka dentystka. Od kilkunastu lat prowadzi galerię sztuki „Panaceum". Dwukrotna laureatka (I nagroda) w ogólnopolskim konkursie literackim im. prof. Andrzeja Szczeklika *Przychodzi wena do lekarza* (2012, 2013), a w 2016 r. – I nagrody w konkursie poetycko-prozatorskim *Puls słowa*. Wydała tom szkiców i felietonów *Zapatrzenia* (Opole, 2011) oraz opowiadań *Którędy do buszu?* (2018).

Sylwester Koral – fotoreporter, przez wiele lat związany z opolskim oddziałem „Gazety Wyborczej", pracownik Biura Marketingu i Public Relations UO.

Dr hab. Bartłomiej Kozera, prof. UO – emerytowany pracownik naukowy Instytutu Filozofii Uniwersytetu Opolskiego. Tematyka badań: filozofia średniowieczna i jej współczesne kontynuacje, filozofia Boga i filozofia religii, filozofia społeczna.

Prof. dr hab. Ludwik Kozołub – emerytowany pracownik Uniwersytetu Opolskiego, socjolog kultury, polonista. Członek Opolskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu, Stowarzyszenia Instytut Śląski w Opolu, Komisji Studiów nad Przyszłością Górnego Śląska Oddział PAN w Katowicach. Autor ponad 200 rozpraw i artykułów naukowych, recenzji i czterech monografii, m.in. *Rodzima wieś opolska – kultura i życie społeczne. Studium socjologiczno-etnologiczne* (1998).

Angelika Kulak – studentka IV roku fizjoterapii Uniwersytetu Opolskiego.

Łukasz Łukasik – absolwent Wydziału Nauk o Polityce i Komunikacji Społecznej UO, obecnie student politologii (studia magisterskie). Jest przewodniczącym Studenckiego Koła Naukowego Politologów oraz członkiem zespołu projektowego CAMINO na Uniwersytecie Opolskim.

Joanna Matlachowska-Pala – opolska lekarka i poetka, członkini Unii Polskich Pisarzy Lekarzy. Wielokrotnie nagradzana w konkursach poetyckich (dwukrotna laureatka Konkursu Poetyckiego im. R. Brandstaettera, XIX Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Dać Świadectwo", wyróżniona w Konkursie Poetyckim o Nagrodę im. K.K. Baczyńskiego). Autorka tomików wierszy: *Most dla motyla* (1995), *Biało-błękitne* (2000), *Telegram Eklezjasty* (2011), *A wróble już to wiedzą* (2015), *Bezpowrotne* (2021).

Dr hab. Elżbieta Trela-Mazur, prof. UO – emerytowany pracownik Instytutu Politologii UO, specjalizuje się w historii politycznej współczesnego świata, szczególnie Niemiec i Rosji.

Alfred Michler – absolwent Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu (studia na kierunku historia w latach 1959–1964), współzałożyciel i pierwszy prezes istniejącego od ponad 30 lat Towarzystwa Ziemi Złotoryjskiej.

NOTY O AUTORACH

Prof. dr hab. Jan Miodek – językoznawca, dyrektor Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego w latach 1989–2016 i kierownik Zakładu Historii Języka Polskiego w latach 2001–2016, doktor *honoris causa* Wileńskiego Uniwersytetu Pedagogicznego, Uniwersytetu Opolskiego i Uniwersytetu Rzeszowskiego, b. członek Komitetu Językoznawstwa PAN, członek Rady Języka Polskiego od roku 1996. Od roku 1968 do grudnia 2020 prowadził cotygodniową rubrykę *Rzecz o języku* we wrocławskim „Słowie Polskim" (późn. „Gazecie Wrocławskiej"). Znany z telewizyjnych programów *Ojczyzna polszczyzna* (1987–2007), *Prof. Miodek odpowiada* (1995–2009), *Polska z Miodkiem* (2015–2017) oraz *Słownik polsko@polski* (od2009).

Karolina Młotek – koordynatorka Zespołu ds. Mobilności Międzynarodowej Biura Nauki i Obsługi Projektów UO.

Prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja – historyk (biografistyka najnowszych dziejów Polski, historia najnowsza), wieloletni rektor Uniwersytetu Opolskiego, współautor filmów dokumentalnych, autor kilkunastu książek, m.in.: *Cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie 1786–1986*; *Cmentarza Obrońców Lwowa*; *Z Kijowa na Piccadilly. Wokół biografii Tadeusza Zabłockiego-Gwasza*; *Łyczakowa – dzielnicy za Styksem*; *Tam gdzie lwowskie śpią Orlęta*; *Cmentarza Łyczakowskiego w fotografii*; *Twierdz kresowych Rzeczypospolitej. Historia, legendy, biografie*; *Kresowego Trójmiasta. Truskawiec-Drohobycz-Borysław*; *Lwowskich Orląt. Czyn i legenda*; cyklu *Kresowa Atlantyda*.

Dr hab. Stankomir Nicieja, prof. UO – pracownik Katedry Nauk o Kulturze i Religii w Instytucie Językoznawstwa, kierownik projektu CAMINO na Uniwersytecie Opolskim.

Prof. dr hab. Piotr Obrączka – emerytowany pracownik Uniwersytetu Opolskiego (specjalność: literatura polska i niemiecka), autor ponad 220 publikacji, w tym 14 książek. Jego zainteresowania naukowe dotyczą literatury polskiej okresu Młodej Polski, zwłaszcza dzieła Jana Augusta Kisielewskiego oraz stosunków literackich polsko-niemieckich, ze szczególnym uwzględnieniem polskiej recepcji literatury niemieckojęzycznej.

Elżbieta Olak – anglistka, mieszka w Opolu, pracuje jako nauczycielka języka angielskiego w PLO Nr V w Opolu. W 2019 r. wydała tomik *Otulina* (wydawnictwo FORMA, Szczecin), w 2023 tomik *W deszczu* (wydawnictwo FORMA, Szczecin). Jej wiersze i teksty prozą były publikowane w czasopismach „Kompas dla Kobiet" oraz „e-elewator".

Leszek Ołdak – opolski grafik, plakacista, rysownik, ilustrator i scenograf. Członek grupy Narol. Jako karykaturzysta debiutował w 1974 r. w Szpilkach. Współpracował z pismami: „Ty i ja", „ITD.", „Radar", „Przegląd Techniczny", „Trybuna Opolska", „Wprost" i „Gazeta Wyborcza". Jest laureatem wielu prestiżowych nagród (zdobył m.in. srebrny i brązowy medal Satyrykonu, nagrody Muzeum Karykatury).

Maria Pacławska – studentka IV roku filologii angielskiej Uniwersytetu Opolskiego, wolontariuszka w Fundacji Web-korki.

Paulina Panic – specjalistka w Zespole ds. Współpracy Międzynarodowej Biura Nauki i Obsługi Projektów UO.

Wiktoria Podboraczyńska – studentka II roku dziennikarstwa i komunikacji społecznej Uniwersytetu Opolskiego.

Dr Bartosz Suwiński – poeta, krytyk literacki, adiunkt w Instytucie Nauk o Literaturze UO. Opublikował monografie: *Pory poezji. Koncepcja czasu w twórczości poetyckiej Krystyny Miłobędzkiej* (Kraków 2017), *Anegdota o istnieniu. Poezja Haliny Poświatowskiej* (Kraków 2020) oraz książkę z esejami: *Po tej stronie rzeki. Szkice o poetach znad Odry* (Opole 2017) i wybór wierszy Jana Goczoła (*Kosturem po korze*, Poznań 2018). Wydał siedem tomów wierszy, ostatnio *Nawie* (Szczecin-Bezrzecze 2020). W 2022 r. zadebiutował jako prozaik powieścią pt. *Terpentyna.*

Dr Adam Wierciński – historyk literatury, krytyk, publicysta. Zainteresowania naukowe: historia literatury, historia i kultura dawnej Polski, kultura języka. Autor kilku książek (m.in.: *Przywracania pamięci*, 1993, 1997; *Głów opolskich*, 1999, 2008; *O „nijaczeniu" języka*, 2006) oraz kilkuset tekstów naukowych, publicystycznych i paraliterackich.

IMPRESSUM
Wydawca: Uniwersytet Opolski (nakład: 400 egz.)
Adres redakcji: DS „Niechcic", ul. Katowicka 87 B, pok. 12, 45-061 Opole,
tel. +48 77 452 73 99, e-mail: indeks@uni.opole.pl, www.indeks.uni.opole.pl
Redaktor naczelna: Barbara Stankiewicz-Buchowska
Zdjęcia: Sylwester Koral, Tadeusz Parcej, Filip Ożarowski
Opieka merytoryczna: prof. Stanisław S. Nicieja
Projekt graficzny/skład: Grzegorz Gajos
Druk: Drukarnia ABAKUS, 55-200 Oława, ul. Perłowa 7
Redakcja zastrzega sobie prawo do adiustacji, skrótów, dawania własnych tytułów, śródtytułów, nagłówków, przypisów itp., a w przypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania.
Dziękuję Basiu... G:)

UNIWERSYTET
OPOLSKI